

G. ZAPOLSKA

Utwory Dramatyczne

Utwory Dramatyczne



→ Biblioteka domowa ←

GOLINSKICH

No

UTWORY DRAMATYCZNE.

Gabryela Zapolska.

Utwory Dramatyczne.

—❧ Biblioteka domowa —❧

GOLINSKICH

N^o

95



Gabryela Zapolska

WARSZAWA.

1910

K. FISZLER



101684 L-P

KAŚKA KARYATYDA

MELODRAMAT

w sześciu odsłonach.

O S O B Y:

BUKOWSKI, urzędnik.

TRAWIŃSKI, doktor.

WODNICKI, rzeźbiarz.

SZERKOWSKI.

JAN.

NIEMOWA.

MATEUSZ

JÓZEF { stróże.

TOMASZ

INTROLIGATOR.

LOKAJ.

KARMELKARZ.

KRAWIEC.

ŻYD Z LOTERYĄ.

WYNAJMUJĄCY HUŚTAWKI.

OLEJAREK

ŻWAN { tkacze.

KAŚKA OLEJAREK.

OLEJARKOWA.

CZEMPIELEWSKA.

BUKOWSKA.

MARYNKA.

JULKA.

ZOŚKA.

JÓZIA

ZUZIA { dziewczyny fabryczne.

WOŹNY.

POŚLUGACZ SZPITALNY.

1

2 { służące.

1

2 { rzemieślniczki.

3

SIOSTRA MIŁOSIERDZIA.

POŚLUGACZKA SZPITALNA.

Sługi, żydówki, rzemieślniczki, fabrykantki,
mały kowalczyk.

AKT PIERWSZY.

Scena przedstawia kuchnię w pomieszkaniu Bukowskich. Na prawo drzwi wejściowe, na lewo prowadzące do mieszkania. Wysoko w górze małe okienko. Na ścianach półki, na nich rondle, samowar, garnki. W głębi komin, przy nim konewki, szafliki i balia. Na środku sceny kuferek zielony, na nim tłomok z pościelą. Na lewo koło drzwi łóżko puste z siennikiem nawpół napełnionym słomą.

S C E N A I.

BUKOWSKI i CZEMPIELEWSKA.

B u k o w s k i (łysy, chudy, zawiedły, stoi w szlafroku koło półek z dużą książką czarno oprawną w ręku. Czempielewska kończy wiązać pościel w prześcieradło). Gdzie Czempielewska podziała durszlak?

C z e m p i e l e w s k a (mrukliwie). No gdzie? musi być na półce.

B u k o w s k i. Nie widzę! Gdzie jest durszlak?

G. Zapolska: Kaśka Karyatyda.

C z e m p i e l e w s k a. Abo ja wiem!

B u k o w s k i. A kto ma wiedzieć? ja? Czempielewska, skoro przyszła, podpisała się tu, w książce, że wzięła trzy durszlaki: jeden mały, drugi średni, a trzeci większy. Gdzie jest średni durszlak? (Czempielewska milczy). Będzie Czempielewska odpowiadać, czy nie? Czempielewska dostała trzy durszlaki, prawda? Podpisała się Czempielewska.

C z e m p i e l e w s k a. Podpisałam, ale durszlak się zużył. Bez co się pan teraz mnie czepia?

B u k o w s k i. Zużył się durszlak? blaszany? zużył się? Wy, sługi, to i żelazo zgryzicie! Miłosierdzie Boże!... nowy durszlak.

C z e m p i e l e w s k a. Jaki tam był nowy! Czego pan wydziwia? Stare durszłaczysko, całe było podziurawione!

B u k o w s k i. Czempielewska mi za niego zapłaci! Ja Czempielewskiej odtrączę z pensyi.

C z e m p i e l e w s k a (z wściekłością, ujmując się pod boki). Widzicie go! wytrąci mi z pensyi! A niedoczekanie pańskie! Wytrącać mi będzie! Jeszcze czego!

B u k o w s k i. Żebym wam wszystkim darowywał to, co mi natłuczecie i nagubicie, to niedługo musiałbym pójść na żebry.

Czempielewska. Bez taki mały durszlak, stary i pokrecony. O Jezu miłosier-
ny! Bez taki durszlak pan mnie chce ukrzyw-
dzić i zaraz mi wytrącać z tych marnych
zasług? A mało się to naharowałam, nala-
tałam po tych trzecich piętrach, bucików
nadarłam, obcasów nawykrzywiałam? A ma-
ło to się kole pana naskakałam z pana cho-
robami i stękanie? O Jezu najśodszy
i Matko przenajświętsza! Wy, coście wi-
dzieli pracę moją, nie dajcie mnie krzyw-
dzić tak niegodziwie, bo chyba już nijakiej
sprawiedliwości na świecie niema, skoro pan
mi za ten durszlak będzie miał potrącić!
(beczy głośno i siada na kufrze).

Bukowski. Cicho!... nie zuchwał się,
bo ci do świadectwa wpiszę, żeś zuchwała
i pyskujesz.

Czempielewska. Ojej!... a to niech
pan wpisze!... Myśli pan, że ja się tem świa-
dectwem od państwa będę chwaliła? Takie
państwo z trzeciego piętra, od tyłu je wchód
bez kuchniom! To nie żadne państwo!

Bukowski. Cicho!... Gdzie jest blasza-
na łyżka?

Czempielewska. Niech se pan szuka!

Bukowski. Schowałaś przecie do ku-
ferka! Otwórz kuferek!

Czempielewska. I zaraz! Bez świad-
ków? Nie! Nie otworzę, trzeba świadków

bo jak pan nie znajdzie, to ja pana zaskarżę o obrazę honoru! A!... a!... Widzisz go, jaki mądry!

Bukowski. Za łyżkę ci także wytrącę!

Czempielewska (wybuchając wrzaskiem). A Jezu miłosierny!... i za łyżkę także! abo to była łyżka? to był wiór, nie łyżka! Pan Bóg państwa pokarze za moje ciężkie krzywdy!

SCENA II

CIŻ, BUKOWSKA.

Bukowska (młoda, ładna kobieta, w skromnym, niebieskim szlafrocuku). Co się tu dzieje? Dlaczego Czempielewska tak krzyczy? A mój Boże, czyż żadna służąca nie może od nas odejść bez krzyków i awantur?

Bukowski. Naturalnie... Paniby chciała, żebym oczy na wszystko zamknął i pozwoił, ażeby mi te darmożjady całe moje mienie rozniosły. Ale tak nie będzie! skoro żona jest lekkomyślna i marnotrawna, mąż musi myśleć o ładzie domowym. Czy pani wie, że przy tej czarownicy zginął durszlak średni, durszlak, moja pani, i łyżka blaszana? Czy pani wie o tem? (Bukowska milczy). Naturalnie! tobie to wszystko jedno! bo nie ty pracujesz, tylko ja i to ciężko, krwawo! I to ciebie nie nie obchodzi, że

już się boki w samowarze pozapadały, a bali się rozeszła w piwnicy! to panią nie nie obchodzi! Grać tylko cały dzień trum-brum i fioczki-koczki na głowie zawijać... A tu, panie tego, dobytek z dymem idzie...

C z e m p i e l e w s k a. Niech mi pan da moje zasługi, bo ja się wyniosę.

B u k o w s k i. Oddaj mi durszlak i łyżkę.

C z e m p i e l e w s k a (wrzeszcząc). To pan chce, żebym darmo służyła? to pan za pracę moją ciężką nie chce mi nawet zapłacić? to ja tu harowałam bez co? to takie państwo! to dobrze! to sąd za mną sierotą się upomni... a państwo to i tak znani na całej ulicy, że już żadna porządna sługa się do nich nie zgodzi i nie wybędzie! Dobrze! dobrze!

B u k o w s k a (do męża). Mój Edgarze!

B u k o w s k i. Co? co? Edgarze! co chcesz... żeby jej zapłacić?

B u k o w s k a. Skoro się jej należy!

B u k o w s k i. Mnie się także należy za durszlak i łyżkę...

S C E N A III

CIEŻ, SZERKOWSKI, WODNICKI.

W o d n i c k i (młody, ładny chłopiec). Ho! ho! cóż to, znowu batalia ze sługami? Sły-

chać na schodach, jak wujaszek się złości.
Dzień dobry wujeneczce!

Szerkowski (młody, znudzony życiem człowiek, wąsy obwisłe, bezustanna ironia).
Przepraszam, że w tak niestosowną chwilę.

Bukowska. Panowie pozwolą do pokoju... Prawdziwie to mieszkanie jest tak niewygodne... Wejście przez kuchnię...

Szerkowski. Nie miejsce człowieka, ale człowiek miejsce zdo bi.

Wodnicki (wskazując na Czempielewską). Czasem człowiek miejsce szpeci!

Czempielewska. A ten czego chce odemnie? Co się pan nademną natrząsa? Widzicie go! próżniak, gipsiarz, co figurki z gliny lepi, wydziwia się nad uczciwom sługom, co haruje za darmo w takim zatraconym domu.

Szerkowski. Pani ma rację złorzeczyć przeciwko niesprawiedliwości społecznego ustroju.

Czempielewska. Za co mi pan od panów wymyśla? co? Ja jestem ino Czempielewska, kucharka, ale wierna Czempielewska i krzywdzić się nie dam.

Bukowski. Cicho! będziesz ty cicho!

Czempielewska. A pan czego mnie tyka? Co to ja z panem gęsi zaganiałam? co?

B u k o w s k a. Proszę, niech panowie przejdą do pokoju. Mój mężu, idź z panami, ja tu Czempielewską wyprawię.

B u k o w s k i. Kiedy ja muszę...

W o d n i c k i. Nic wujaszek nie musi! Co to za mania, żeby ciągle do garnków się mieszać... To nie wujaszka wydział, niech wujaszek pójdzie z nami! (chwytając go wpół i wyciąga ze sceny). Chodź, Władek! (Szerkowski wychodzi). Czempielewska! valet!

S C E N A IV.

BUKOWSKA, CZEMPIELEWSKA.

C z e m p i e l e w s k a. Balet! co za balet! ty sam balet, wiercipięta jeden, a nie ja, wierna sługa.

B u k o w s k a (szybko oglądając się na drzwi). Moja Czempielusiu, niech Czempielewska zejdzie na dół i zanieś ten list do pana doktora.

C z e m p i e l e w s k a. Ani myślę... niech mi pani przedtem zasługi zapłaci. Dosyć się tych kartek nanosiłam do tego czułego dochtora!...

B u k o w s k a. Czempielewska wie, że to pan ma pieniądze, a że ja nie mam. Gdybym miała, zapłaciłabym Czempielewskiej natychmiast.

C z e m p i e l e w s k a. Tere fere kuku!
A zresztą, abo to nie wstyd, żeby taka pani
nigdy nie miała centa przy duszy, ino
o wszystko opowiadała się mężowi?

B u k o w s k a. To do Czempielewskiej
nie należy.

C z e m p i e l e w s k a. Zresztą, ja z do-
mu nie wychodzę, bo ja idę do służby do
państwa adwokatów z pierwszego. I będę
tu co dzień przychodzić po moje pieniądze,
dokąd mi państwo nie zapłacicie! O Jezuu,
taka krzywda! (idzie ku drzwiom wejścio-
wym i woła wrzaskliwie) panie Janie! panie
Janie! (odwraca się do Bukowskiej). I listu
nie zaniosę, bo to tylko obraza Pana Boga
takie listy, nie więcej! (woła) panie Janie!
panie Janie!

J a n (za sceną). A czego?

C z e m p i e l e w s k a. Niech też pan
Jan przyjdzie mi dopomoże przenieść kufe-
rek i pościel na pierwsze.

J a n (j. w.). Zaraz idę!

C z e m p i e l e w s k a. Dzięki miłosier-
nemu Bogu, już nie będę sobie nóg po trze-
cich piętach obijać!

B u k o w s k a. A ja tu mieszkam od pię-
ciu lat.

C z e m p i e l e w s k a. To też pani do
tego zwyczajna, a ja nie!

SCENA V

TEŻ, JAN.

Jan (rosły, tęgi mężczyzna, w ubraniu stróża). No jestem! (kłania się Bukowskiej). Dzień dobry wielmożnej pani.

Czempielewska. Weźcie, mój dobry panie Janie, tę moją chudobę i zanieście na dół do państwa adwokactwa.

Jan (bierze kuferek). A no, to dyabelnie ciężkie. Pani Czempielewska musi mieć chyba srebro w tej skrzynce...

Czempielewska. Ja? Jezu miłosierny!... a gdziebym się tego srebra dorobiła?... Może tu? w tej kuchni? (zaczyna lamentować i mrucząc wychodzi, Jan za nią). A toć że mnie skrzywdzili, bo pensyi mi nie zapłacili i zadatek chcom potrącić, i o ten durślak i łyżkę się upominają (głos jej ginie w oddali).

SCENA VI.

BUKOWSKA, później WODNICKI.

Bukowska (sama). Ach, Boże! Boże! cóż to za straszne życie! Wszak to wegetacya w nędzy i poniżeniu! Jakie z tego błędnego koła wyjście? żadne! całe lata jeszcze trwać muszę w tej upokarzającej nie-

woli! (siada przy stole i opiera głowę na rękę).

W o d n i c k i. I cóż, wujenka pozbyła się tej pani Czempielewskiej?

B u k o w s k a (ocierając oczy). Tak, ale nie na długo! A zresztą, przyjdzie inna, będzie taka sama, a może jeszcze gorsza...

W o d n i c k i. Czy wujenka gniewa się na mnie, że przyprowadziłem Szerkowskiego?

B u k o w s k a. Nie. Ale przyznam ci się, iż dla mnie jest rzeczą żenującą przyjmować gości w podobnych warunkach.

W o d n i c k i. Wujeneczko, to wszystko przesady. Szerkowski porozumiał się z wujaszkiem i dyskutuje teraz w najlepsze nad drożyzną mieszkań w Warszawie!

B u k o w s k a. Tem lepiej. Ale dlaczego właściwie ten pan do nas przyszedł? To dziennikarz? co? Widziałam go dwa razy u twojej matki.

W o d n i c k i. Ja to później wujeneczce wytłómaczę. Tylko proszę, niech wujenka nie przeszkadza mu w rozmowie z wujem.

B u k o w s k a. Ależ nie! nie! niech rozmawia, ile sam zechce! Boże drogi! także szczególne amatorstwo!

W o d n i c k i. Dlaczego? Wujaszek jest bardzo interesującym okazem!

B u k o w s k a. Jak dla kogo. Szczególniej, gdy jest chory.

W o d n i c k i. No, wszakże teraz już ma się lepiej.

B u k o w s k a. Tak, ale doktor jeszcze często przychodzi.

W o d n i c k i. Ten z pierwszego piętra?

B u k o w s k a (zażenowana). Tak.

W o d n i c k i. Julek Trawiński.

B u k o w s k a (j. w.). Tak.

W o d n i c k i. To bardzo młody—świeżo upieczony doktor.

B u k o w s k a. Ale bardzo — bardzo zdolny.

W o d n i c k i. Ej, wujeneczko! wujeneczko!

B u k o w s k a. Co?

W o d n i c k i (całując ją). Nic! nic! ale ktoby to po wujence przypuszczał? Taka trusia... coś niby tego!... a tu... no!... no!...

B u k o w s k a. Nie wiem, o czym chcesz mówić.

W o d n i c k i. Ale, widzi wujenka, o... nim!

B u k o w s k a. Ależ zaręczam ci...

W o d n i c k i. Dobrze! dobrze! niech wujenka za nic nie ręczy, bo nie wiemy, co nam jutro sądono.

B u k o w s k a. Lepiej idź do kantoru i dowiedz się, kiedy mi sługę przyprowadzą.

W o d n i c k i. A zapisała się wujenka?

B u k o w s k a. Wczoraj rano. Ale....
w kantorze już znają mojego męża... więc...

W o d n i c k i. Bodaj to być kawalerem!
Człowiek sobie sam buty wyczyści, a o zamiatanie i ścieranie kurzu to się wcale nie troszczy! Choć ja od miesiąca mam już mego grooma.

B u k o w s k a. A! tego niemowę!

W o d n i c k i. Ajakże! Ma przynajmniej tę jedną zaletę, że mi zuchwale nie odpowiada i nie może mnie skompromitować, upominając się głośno o pensję. Śpi na kupie gliny, a odziewa się w płachty, któremi drapuję moje modelki. Bardzo porządny chłopak, tylko trochę brudny. Może wujenka chce, to go wujence wypożyczę...

B u k o w s k a. Nie — dziękuję ci! Zatrzymaj go dla siebie!

W o d n i c k i. Dobrze! a tem lepiej, że właśnie pozuje mi jednocześnie do Dawida i lwa. Na Dawida jest tak jak jest, a na lwa odziewam go w starą wilczurę, aby tylko zachować linie i pozy. I zobaczy wujenka, że będzie z tego arcydzieło!! Niech żyje młodość!

B u k o w s k a. Ach! ty sowizdrzale! Ale idź do pokoju, bo wujaszek gotów pomyśleć, że tu jakie spiski knujemy.

W o d n i c k i. Na jego kieszeń! A to stary sknera!

B u k o w s k a. Czy wiesz, że mi teraz każe podpisywać wszystko, co od niego wezmę na wydatki domowe.

W o d n i c k i. A wujenka podpisuje?

B u k o w s k a. No! cóż chcesz—muszę!

W o d n i c k i. Jabył tego nie zrobił. No, uciekam!... a wujenka do nas przyjdzie?

B u k o w s k a. Natychmiast... idź, idź!

W o d n i c k i (całując ją w rękę). Jakie wujeneczka ma śliczne ręce, ręce próżniaka, prawdziwego próżniaka! Żeby też wujenka pozwoliła mi swoje ręce odlać w gipsie! to wujeneczkę nie będzie bolało. Troszkę ściśnię... nie więcej, a mnie się przyda!... Modele takie drogie u nas, we Lwowie... a przytem ręce brzydkie, połączenia ordynarne.

B u k o w s k a. Dobrze!... dobrze!... przyjdę do ciebie którego dnia i pozwolę wymodelować moją rękę...

W o d n i c k i. Dziękuję, wujeneczko, dziękuję! (wybiega).

S C E N A VII.

BUKOWSKA, później KAŚKA i WOŹNY.

B u k o w s k a. Jak tu dać znać Julianowi, że Czemplewska odeszła, że nowa słu-
G. Zapolska: Kaśka Karyatyda.

żaća wejdzie do domu. Gotów znów dziś przysłać list, nie wiedząc, że Czempielewskiej już niema. Ach! mój Boże!... jak mnie to wszystko męczy!

(Pukanie do drzwi).

Kto tam? Proszę wejść (wchodzą Kaśka i woźny). A, to służąca, z kantoru z ulicy Strzeleckiej?

W o ź n y (zapita twarz, długi, zielonkawy surdut). Całuję rączki i tak, proszę wielmożnej pani.

B u k o w s k a. Czy to panna, czy męzatka?

W o ź n y. Dziewczyna, proszę wielmożnej pani.

B u k o w s k a. Służyła już gdzie?

W o ź n y. U państwa Pinkusów, na Kopernika, proszę wielmożnej pani!...

B u k o w s k a. A czy ma świadectwo?

W o ź n y. A jakże (wyciąga rękę z kartką papieru).

B u k o w s k a (czyta). „Stojała przed bramą i biła piskata“. No, no, to nieszczególne świadectwo.

W o ź n y. Niech wielmożna pani na to nie zważa. Wiadomo, jak nasza dziewczyna służy w izraelskim domu, to coś-nie-coś odpowie i taki pan zaraz wpisze: „była pyskata“. Ale ja ją znam od dziecka... to porzon-

na dziewczyna i bardzo rzetelnie uczciwa. Nie lwowska — i to coś znaczy, bo we Lwowie to się porzonna dziewczyna nie uchowa; a potem tegie to i zdrowe. Wodę na piętro wydźwignie i na szczotkach przetańcuje po salonie, jakby jaka panna z cyrku...

B u k o w s k a (do Kaśki). Jakże ci na imię?

K a ś k a (która do tej chwili stała owinięta chustką, zbliża się cokolwiek i z ramion jej spada chustka. Uczesana gładko, włosy ściągnięte z czoła. Silna, rosła, tęga, bardzo łagodna i bardzo w obejściu kobieca. Mówi lekliwie i bardzo miłym głosem). Kaśka, proszę wielmożnej pani.

B u k o w s k a (patrzy na nią przez chwilę). Umiesz gotować?

K a ś k a. Tak sobie... kremu, ani galarety nie uradzę, ale proste potrawy umiem.

B u k o w s k a. Roboty się nie lękasz?

K a ś k a. Nie, proszę wielmożnej pani.

B u k o w s k a. Pan jest ciągle chory... Trzeba co noc wstawać, gotować ziółka, samowar nastawiać...

K a ś k a. To się wstanie, proszę wielmożnej pani!

B u k o w s k a. Wodę musisz sama nościć, węgle także. Nie trzymamy posługaczki.

K a ś k a. Dobrze, proszę wielmożnej pani!

W o ż n y. Co do siły, proszę wielmożnej pani, we Lwowie mało kto jej zrówna.

B u k o w s k a. Czy jesteś naprawdę taka silna?

K a ś k a (łagodnie). Bardzo, proszę wielmożnej pani!

B u k o w s k a. Muszę cię ostrzedz, że pan jest trochę grymaśny i często może ci co przykrego powie...

K a ś k a. To nic, proszę wielmożnej pani.

B u k o w s k a. Podobasz mi się, bo ci uczciwie z oczów patrzy. A teraz chodź do pana i staraj mu się przypodobać. Chciałabym, ażebyś u nas została.

K a ś k a. Ja takżebym chciała, proszę łaski pani.

B u k o w s k a. Chodź do pokoju (wychodzą, woźny zostaje w kuchni).

SCENA VIII.

WOŻNY, później MARYNKA.

W o ż n y. Dla nich taki tłumok będzie w sam raz! Nic im przecie porządnego nie mogłem przyprowadzić! To musi być jakości paskudny latawiec ta Kasiuchna, choć to niby trzech zliczyć nie umie. Przyplątała się dziś rano do kantoru na ich szczęście... Ot!... zażyjmy tabaki! (zażywa).

M a r y n k a (fertyczna służą, z grzywką, w różowym staniku. Pod pachą trzyma psa i prowadzi drugiego na sznurku. Zagląda ostrożnie przez drzwi). Pani Czempielewska! pani Czempielewska! Jakto! niema nikogo?... A, to pan, panie Tarmosiński!... dzień dobry!

W o ż n y. Dzień dobry pannie Maryannie! Czegóż to panna Maryanna szuka?

M a r y n k a. Ano, przyszedłam do Czempielewskiej po klucz od góry.

W o ż n y. Czempielewskiej już niema. Przyprowadziłam nową, jest w pokoju.

M a r y n k a. Hi! hi! hi! a cóż to takiego pan przyprowadził?

W o ż n y. E!... taki jakiś tam wiejski tłumok! W sam raz dla takiego domu, jak ten.

M a r y n k a. Niech-no pan Tarmosiński spojrzysz tylko na półki. Co to za naczynia? A gdzie rondle? Gdzie tu porzonna służą by wybyła?

W o ż n y. Ja też zawsze tu same wybierki przyprowadzam.

M a r y n k a. On—brekacz, ona—Boże odpuść! To nie żadne państwo, takie państwo!...

W o ż n y. Ja się też tu nie spieszę, bo wiem, że takie piwne, jakie mi dadzę, to i wrony nie upoi... A pannie Maryannie dobrze?

M a r y n k a. Nieźle! Co pan chce! Jedna stara panna i te dwa psie koczkodony! Niańczy ich bez cały dzień, ale to nic—oberchapki mam dobre; pani wiecznie gubi klucze, bo tylko o tych małpikrólach myśli... (kopiąc psa). A ty pastrano! będziesz mi stać spokojnie!...

W o ź n y. A to im panna Maryanna dojedzie!

M a r y n k a. A cóż pan Tarmosiński myśli, że będę jeszcze z temi poczwarami jakie fidrygance wyprawiała? Mało to się najedzą marcepanów i na aksamitnych poduszkach nawylegają?

W o ź n y. Pst!... idą!... (wyprostowuje się i staje u drzwi).

M a r y n k a. Ostate, bom strasznie tego tłomoka ciekawa.

W o ź n y. Co tłomok, to tłomok! Obaczy panna Maryanna!

M a r y n k a. Tem lepiej, będziemy mieli z czego się wyśmiewać! Pan Jan nam pomoże.

W o ź n y. Pan Jan zawsze służy tu za stróża?

M a r y n k a. A zawsze!

W o ź n y. A ciągle taki... herzenfresser? niby taki, co to pannom serce wyjada?

M a r y n k a. Cięgiem i wiecznie się koło której kręci.

W o ż n y. A koło panny Maryanny?

M a r y n k a. Co też pan Tarmosiński plecie! czy też ja dla stróża stworzona? Żeby to jaki jentroligator, albo inszy jenżenier, toby co innego, ale taki hrabia od miotły! Boże zmiłuj się!

W o ż n y. Pst!... idą!...

SCENA IX.

CIŻ, KAŚKA, BUKOWSKA.

B u k o w s k a. Zostaniesz się natychmiast, moja Kasiu; po rzeczy pójdziesz wieczorem. Gdzie masz rzeczy?

K a ś k a. Tu niedaleko, o jedną ulicę, u maglarki.

B u k o w s k a. Nawet poślę ci po rzeczy stróża. Nie będziesz potrzebowała już wychodzić.

K a ś k a. Dobrze, proszę wielmożnej pani.

M a r y n k a (na stronie do woźnego). A to tłomok! wygląda jak grynadyer!

B u k o w s k a (do Marynki). Czego pa-nienka chce?

M a r y n k a. Moja pani prosi pani, aby pani mojej pani dała klucz od góry.

B u k o w s k a. Jutro—dziś jeszcze bieli-
zna nasza wisi. Jutro rano Kasia bieliznę
zdejmie.

M a r y n k a. Proszę pani, moja pani powiedziała, że pani to mojej pani klucz wiecznie na złość zabiera. To być nie może, bo ja poprałam dzisiaj prześcieradła psów i muszę gdzieś je powiesić. Ja pójde do pana rządcego i powiem, żeby pani powiedział, żeby pani mojej pani oddała klucz od strychu.

B u k o w s k a. Idź do pana rządcy, a teraz wynoś się ztąd razem ze swemi psami! (Marynka wychodzi) (do woźnego) Proszę przyjść za trzy dni po kantorowe.

W o ź n y. Całuję rączki wielmożnej pani! A zdałoby się trochę co łaska jaśnie pani na piwo.

B u k o w s k a (po chwili wahania). Dobrze, skoro przyjdziecie za trzy dni; teraz muszę zobaczyć, czy się ta dziewczyna na co przyda.

W o ź n y. Dobrze, proszę wielmożnej pani (wychodzi, plując). Takie państwo!

B u k o w s k a. Niech pan woźny weźmie ze sobą stróża i każe mu przynieść rzeczy tej dziewczyny. (do Kaśki) Mówisz, że u maglarki?

K a ś k a. Tak, proszę pani!... na ulicy Krętej pod szóstym.

(Woźny wychodzi).

S C E N A X.

KAŚKA, BUKOWSKA.

B u k o w s k a. Moja Kasiu, kuchnię trzeba trzymać czysto, bo to jedno wyjście.

K a ś k a. Dobrze, proszę wielmożnej pani!

B u k o w s k a. A nie nazywaj mnie wielmożną panią, mów poprostu: pani.

K a ś k a. Dobrze, proszę pani!

(Milczenie — słychać zdaleka muzykę fortepianową).

B u k o w s k a (idąc ku okienku). To pani adwokatowa codziennie tak gra wieczorem. (Chwila milczenia). Ty zdaleka, Kasiu?

K a ś k a. Z pod Igliniówki, proszę pani.

B u k o w s k a. A co tam robiłaś?

K a ś k a. Byłam na fabryce razem z siostrami i z ojcem, proszę pani.

B u k o w s k a. Dlaczego przyszedłaś do Lwowa?

K a ś k a. Bo ja wiem... tak mnie coś ciągnęło... myślałam, że sobie los poprawię, bo strasznie ciężka praca na fabryce...

B u k o w s k a. I tu trzeba pracować.

K a ś k a. Pewnie... wszędzie trzeba pracować!

B u k o w s k a (po chwili milczenia). Masz rodziców?

K a ś k a. Mam, proszę pani.

B u k o w s k a. A tęsknisz za niemi?

K a ś k a (cicho). Bardzo, proszę pani!

(Milczenie).

B u k o w s k a. Moja Kasiu... może tu przyniosą list... posłaniec... proszę cię... weź ten list i schowaj... a potem... oddasz mnie samej... nie panu.

K a ś k a. A jak pan mnie o list zapyta?

B u k o w s k a. To powiesz, że żadnego listu nie było, rozumiesz?

K a ś k a (cicho). Rozumiem, proszę wielmożnej pani.

S C E N A XI.

TEŻ, WODNICKI, SZERKOWSKI,
BUKOWSKI.

B u k o w s k a. Panowie już odchodzą?

S z e r k o w s k i. Dlaczego też pani nie jest szczerą? Zadowolona pani, że się nas pozbędzie, prawda?

B u k o w s k a. Ależ nie! przeciwnie!

(Ściemnia się).

W o d n i c k i. Rzecz ułożona! za chwilę wujenka przyjdzie do mojej matki na herbatę, prawda? Wujaszek chory, nie może jej towarzyszyć; no, ale przecież to nie żadna racja, ażeby wujenka zasunęła się w domu!

B u k o w s k i. Znów powróci o pierwszej, albo o drugiej!

W o d n i c k i. Ja sam wujenkę odprowadzę!

B u k o w s k a. Ależ ja wcale nie mam ochoty...

W o d n i c k i (po cichu). Będzie Julek Trawiński, to chyba wujence wystarczy. A co! nie jestem poczciwy chłopiec? ha! Ładną gram rolę, ale co tam! zanadto kocham wujeneczkę!

B u k o w s k i (do Szerkowskiego). Pan dobrodziej niedługo zechce nas zaszczyścić swoją obecnością. Z panem dobrodziejem można przynajmniej porozmawiać. Pan dobrodziej rozumie, że wobec tej drożyzny, jaka dziś panuje, każdy uczciwy człowiek musi pójść na żebry.

S z e r k o w s k i. Spodziewam się, panie tego. Ja sam już oddawna po żebrach chodzę.

B u k o w s k i. Pan dobrodziej? co też pan dobrodziej mówi?

W o d n i c k i (spostrzegając nagle Kaśkę, która usunęła się w kąt i podniosła na chwilę ręce w górę ruchem Karyatydy). Co za Karyatyda!

B u k o w s k i. Gdzie?

W o d n i c k i. Tu, koło komina!

B u k o w s k i. Zwaryowałeś? To nie żadna Karyatyda—to Kaśka, nasza nowa sługa.

W o d n i c k i. Co za pyszny model! Patrz Władek, jak wykuta z marmuru.

S z e r k o w s k i (kładąc monokl). Rzeczywiście, wspaniała robota!

W o d n i c k i. Żeby mi też chciała trochę pozować! Panienko! chciałaby też panienka zarobić trochę pieniędzy?

B u k o w s k i. Zwaryował! Kaśka, zamiast pozować, będzie nastawiać samowar, a ty wynos mi się i nie irytuj mnie swojemi głupstwami!

W o d n i c k i (obchodząc Kaškę dokoła). Siła i wdzięk kobiecy połączone razem. To trudno znaleźć coś bardziej harmonijnego. Patrz tylko, Władek, na to śliczne pochylenie nogi.

S z e r k o w s k i. Poddanie się pod wiekuiste jarzmo wyzwolonych najmitów, jakimi są głupi.

W o d n i c k i. A ramiona! patrz, jakie ramiona! (do Kaški). Słuchaj, jeśli chcesz sobie zarobić trochę pieniędzy, to przyjdiesz do mnie na Jezuicką ulicę pod numer 18-ty. Taki duży, biały dom... Zapytasz o pana Wodnickiego! Rozumiesz?

K a ś k a (nieśmiało). Rozumiem, proszę łaski pana.

B u k o w s k i (który przez ten czas szperał na półkach). Jest! jest!

W s z y s c y. Co takiego?

B u k o w s k i (tryumfalnie). Średni dur-szlak!

S z e r k o w s k i. Nie może być!

B u k o w s k i. A niech pan dobrodziej sam się przekona...

S z e r k o w s k i. Rzeczywiście! to wielkie i wielkie szczęście dla całego domu pana dobrodzieja. Żegnaj państwa.

B u k o w s k i. Dowidzenia!

W o d n i c k i. Za chwilę, wujeneczko... prawda?

B u k o w s k a. Tak, najdalej za godzinę.
(Wychodzą Szerkowski i Wodnicki).

S C E N A XII.

BUKOWSKI, BUKOWSKA, KAŚKA.

B u k o w s k i. Zaraz zrobimy spis inwentarza.

B u k o w s k a. Czy nie mógłbyś zostawić tego na jutro. Dziś Kaśka ma co innego do roboty.

B u k o w s k i. Tak, a do jutra rana połowę naczyń wyniesie z domu.

B u k o w s k a. Co też ty wygadujesz? To jakaś uczciwa dziewczyna.

(Ściemniło się).

B u k o w s k i. Naturalnie, dla ciebie wszystkie uczciwe, bo to, co pokradną, to nie z twojej kieszeni.

B u k o w s k a. Kasiu, zapal lampkę.

B u k o w s k i (ciągnąc dalej). To nie z twojej kieszeni i z lekkomyślności swojej nie zdajesz sobie nawet sprawy, jaka jest wartość pieniężna. (do Kaśki). Miłosierdzie Boże! ta już zapala lampkę! Przecież jeszcze dzień biały! Zgaś mi zaraz lampkę i chodź do pokoju. Spiszemy inwentarz pokojowy. Zaczniemy od salonu... Jest szesnaście patarafek, pamiętaj sobie... szesnaście! Podpiszesz mi się pod każdą zawartością osobno. Chodź!

(Wychodzi, za nim Kaśka).

SCENA XIII.

B u k o w s k a (sama). Za chwilę go zobaczę! Przy ludziach znów trzeba przywdziać kaganiec na usta i serce—i kłamać, kłamać obojętność, podczas gdy dusza aż wyrywa się z piersi. Mówią, że on jest złym człowiekiem, że nie ma serca... co mnie to obchodzi; ja wiem to jedno, że go Kocham! (opiera głowę pod okienkiem o ścianę) i że bez tej miłości nie umiałabym istnieć na świecie!



SCENA XIV.

BUKOWSKA, BUKOWSKI, KAŚKA.

(Dłuższa chwila milczenia, słysząc fortepian w oddali, ciągle dolatuje głos Bukowskiego) Co? Nie umiesz pisać?

G ł o s K a ś k i. Nie, proszę łaski pana.

G ł o s B u k o w s k i e g o (bliższy). To jakie mi dasz pokwitowanie?

B u k o w s k a. Och! ten głos nienawistny!

G ł o s B u k o w s k i e g o. Bo musisz mi dać pokwitowanie!

B u k o w s k a. Zmora mojego życia!
(Bukowski i Kaśka wchodzą. Bukowski ma pod pachą dużą, czarną książkę).

B u k o w s k i. Cóż, ty nigdy nie chodziłaś do szkoły?

K a ś k a (zawstydzona). Nie... moje siostry chodziły... proszę pana.

B u k o w s k i. A ty dlaczego nie chodziłaś? z próżniactwa?

K a ś k a (ciszej). Nie.... ale trza było młodszych dzieci pilnować, proszę łaski pana.

B u k o w s k i. Lari fari!... Cóż ja teraz zrobię?

B u k o w s k a. Niech podpisze znakiem krzyża.

B u k o w s k i. E!... to nie żaden podpis. To łatwo sfałszować. Zresztą... masz tu pióro... siadaj na zydlu i pisz. (Kaśka siada przy stole. Bukowska zapala lampkę. Bukowski daje Kaście pióro i rozkłada przed nią książkę). Tu podpisz, jakoś do rąk własnych dostała kanapę, sześć krzeseł, dwa fotele, stół owalny, stół kwadratowy, szesnastcie patarafek, dwa srebrne lichtarze, lampę i komplet „Kłósów“, „Kuryera Porannego“ i trzy oleodruki. To wszystko w dobrym stanie i prawie nieużyte. Obowiązujesz się takowe utrzymać w porządku i w chwili odejścia ze służby oddać tak, jak ci je było oddane. Zrozumiałaś? (Kaśka milezy). Teraz zrób krzyżyk, o tu, niżej, niedołego!... A nie zrob kleksa. (Kaśka kreśli krzyżyk, wyciągając język). No, dobrze... jutro zajmujemy się kuchnią... A teraz nastaw samowar, wyszoruj stół, kuchnię, rondle i możesz iść spać. Jutro weźmiemy się do porządków z gruntu.

(Wychodzi).

B u k o w s k a (do Kaśki). Skoro podasz samowar, będziesz mogła iść spać. Jutro poszorujesz wszystko. Musisz być bardzo zmęczona.

K a ś k a Trochę, proszę łaski pani.

B u k o w s k a. To też się połóż, moja biedna dziewczyno!

(Kaśka chwyta rękę Bukowskiej i całuje ją gorąco).

B u k o w s k a (trochę wzruszona). Dobranoc!

K a ś k a. Dobranoc wielmożnej pani!
(Bukowska wchodzi do pokoju).

SCENA XV.

K a ś k a (sama). Co on też za cyrograf kazał mi podpisać? Aż mnie ciarki po skórze przeszły. Niby mówi, że mi to wszystko, te kanapy i te stoły oddał, a przecież nie mi nie dał (zabiera się do nastawiania samowaru, fortepian grać zaczyna). Jak to ten gra słodziutko, coś ci człowieka po sercu łechce!... (zbliża się do okienka). Już i gwiazdki po niebie się snują. Szkoda, że tylko taką szmateczkę nieba widać bez to okienko. Mój Boże! tam u nas wyjdiesz na łąkę, to nad głową cały dach nieba, a tu — po szmateczce i to jeszcze komin ci zasłania!...

SCENA XVI

KAŚKA, JAN.

J a n (wchodzi z tłumokiem i z małą skrzyneczką). To panny rzeczy?

K a ś k a. A moje! Dziękuję panu, że się fatygował.

J a n (z głośnym śmiechem). No! nie bardzo się tam sfatygowałem, bo chudoba panny nie ciężka! (Milczenie). Panna nie tu-tejsza?

K a ś k a. Nie.

J a n. To zaraz poznać! Panna zdrowa, rosła, tęga, nie taka, jak te nasze lwowskie dziewczęta, co to wymokłe, jakby cały rok ich we wodzie moczono. Panna tu nie wy-będzie długo na tem miejscu.

K a ś k a (rozwiązując pościel i układając na łóżku). Dlaczego?

J a n. E!... bo to państwo takie tam!... nie szczególnego. Ja tego nie mówię przez szacunek dla pieniędzy, bo ja to się pieniądzom nigdy nie kłaniam.

K a ś k a. Pan strasznie przemądry.

J a n. Pewnie! mało to się czytałem? mało to się nasłuchałem, jak panowie gadali? Dlatego mam taką pogardę dla pieniędzy. Tu jest taki strabancel na pierwszym, co zawsze nad ranem wraca. Ja go dobrze znam po dzwonieniu, ale mu nigdy zaraz nie otworzę, choć mi i trzydzieści i czterdzieści centy w łapę wsunie. Myśle zawsze: stój, stój, czekaj, marznij!...

K a ś k a. Ojej! pan taki niepocciwy.

J a n. A jakże, bo ja tylko naukę szanuję. Jak kto nie uczony, to u mnie nic nie wart. Chyba, że to baba... Jak baba, to lepiej niech nie umie i niech będzie głupia...

K a ś k a. A dlaczego?

J a n. Dlaczego? ano nie wiem, ale niby tak zawsze panowie między sobą mówili.

K a ś k a. Musi mężczyznom jest lepiej, jak kobiety głupie.

J a n. Aha!

K a ś k a. Bo się oni mądrzejsi wydają!

J a n. Aha!... ale to panna cięta w gębie, jak widzę... ale zęby ma panna nie od uroku... ale tak się widać wybieliły i wyszlifowały na szarym chlebie!... (podsuwa się do niej). Panna ma wcale gładką buzię, tylko taka panna wielka i rosła, jak mężczyzna.

K a ś k a (zmieszana). E!... gdzie ja tam mam gładką buzię... co też to pan wygaduje....

J a n (wyciągając rękę ku jej twarzy). Ano, może mi się zdaje, to się przekonam! (Kaśka porywa samowar i wybiega do pokoju).

J a n (sam, później Kaśka). Uciekła... E!... to jakaś strasznie zacofana dziewczyna! Kiedy uciekła, to mniejsza z tem, nie będę jej gonił! Taka tam!... Boże!... w chustce na głowie i to chce być harde!... Inna toby mi

sama pod rękę podlaźła, a ta się stawia. Nie będę do niej gadał. A zresztą, to nie honor tam gadać z taką biedotą. Bo już ją tłomokiem w kamienicy przewali. A jakże—przed bramą.

(Kaśka wsuwa się ostrożnie do kuchni i staje przy progu).

J a n (z arogancyą, kładąc czapkę na głowę). Może panna wejść, bo panny nie ukąszę. Ojej! jak się to panna boi o siebie, jakby była ze szkła!... Niech panna tylko uważa, żeby się na lwowskim bruku nie rozbiła, bo o to to łatwo... ho! ho!... bardzo łatwo!... szczególnie, jak się tak nosa do góry zadziera! (zmienia ton). A do meldunku jutro przyjsć do pana rządcego!... Rozumie panna? (wychodzi, trzaskając drzwiami).

K a ś k a (sama). Mój Boże!... Co się jemu stało? Tak się rozgniewał na mnie, że nie dałam się uszczypać w policzek!... Jakże ja mogłam na to pozwolić? Nie dlatego, żeby to był despekt, ale tak go się przeleżałam, bo, choć ładny mężczyzna, ale tak ja coś strasznie patrzy, że aż człowieka do wnętrza świdruje... Będę się od niego zdaleka trzymała. (Porządkuje w kuchni). Dlaczego on mówił, że ja tu nie będę? Pan jakiś trochę zwaryowany, ale to stary człowiek, to mu wszystko wolno. A pani to taka dobra, jak anioł... tylko... dlaczego ona

kazała mi kłamać przed panem. Ja nie potrafię... ja się zaraz czerwienię, jak kłamię... pan pozna... a potem ksiądz na spowiedzi nie każe kłamać, a tu przecież trzeba pani słuchać... (zbliżyła się do łóżka). Położę się chyba, bo bez ten dzień to tyle się nachodziłam, że aż mi się ćmi w oczach... (roz-wiesza na ścianie nad łóżkiem obrazy). A ot i moje świętości będą czuwać nademną. I Marya Najświętsza i Anioł Stróż i Święta Katarzyna, moja patronka...

J a n (wsuwa głowę przez drzwi). Panna już śpi?

K a ś k a (zmieszana). Nie... abo co?

J a n. Nic, ino chciałem powiedzieć, że wedle tego meldunku, to jutro o dziewiątej, a nie o ósmej trza przyjść do pana rządcego.

K a ś k a. Dobrze, przyjdę!

J a n (wchodząc do kuchni). Panna nie zawzięta? (Kaśka milczy). To dobrze, że panna nie zawzięta, bo ja zawziętych dziewczyn nie lubię. I nie trza mi się stawiać okuniem, bo ja do tego nie zwyczajny.

K a ś k a. Ja też nie zwyczajna, żeby mnie pod brodę szczypać.

J a n. E!... naprawdę?...

K a ś k a. Jak matkę kocham.

J a n. No... to... ja pannę przepraszam... Ja nie wiedziałem, że panna taka harda.

K a ś k a. Każden ma swój honor.

J a n. Bardzo słusznie! (po chwili). Może pannie wody przynieść?

K a ś k a. Dziękuję... Żeby mi pan pomógł tego świętego zawiesić, toby pan był grzeczny.

J a n. Dobrze!... (bierze w rękę obrazek nalepiony na tekturę). To nie żaden święty!

K a ś k a. Nie święty?

J a n. Nie—to Napoleon.

K a ś k a. A... to Napoleon nie był święty?

J a n. Nie!

K a ś k a. Mój Boże! a ja się codzień do niego modliłam!...

J a n (wiesza obrazek). No! teraz jest dobrze... No, to dobranoc pannie!

K a ś k a. Dobranoc panu!

J a n (we drzwiach). Dobrej nocy!

K a ś k a. Nawzajem!

(Jan wychodzi).

K a ś k a. Aż mi lżej na sercu, że się z nim pogodziłam. Zawsze to lepiej ze stróżem być w zgodzie, bo to kamienica duża i sług jak mrowia, to mogą jeszcze się z człowieka wyśmiewać, abo co... (po chwili). Zmówię pacierz... (klęka przy łóżku i szepce pacierz; słyhać znów fortepian). „Aniele Boży, strózu mój, Ty zawsze przy mnie stój...“ W głowie mi się mąci, już i wyrazów połączyć nie mogę... „Jak we dnie, tak i w no-

cy, bądź mi zawsze ku pomocy“. U nas w domu już rodzice śpią i siostry poszły na łąkę i tam śmieją się z innemi dziewczętami... (wzdycha). Mój Boże! (szepce pacierze).

S C E N A XVII

KAŚKA, BUKOWSKA.

(Bukowska, w strojnej sukni, okryta płaszczem, wsuwa się do kuchni i podchodzi do Kaśki, która drzemie, oparłszy głowę na wyciągniętych rękach).

B u k o w s k a. Kasiu!

K a ś k a (budząc się). Słucham wielmożnej pani!

B u k o w s k a (pochylona, cicho). Ja późno powrócę. Zostaw drzwi od kuchni otwarte, nie zamykaj na klucz.

K a ś k a (klęcząc). Dobrze, proszę pani!

B u k o w s k a (j. w.). A gdyby się pan pytał ciebie, dlaczego drzwi nie zamknięte—nie mów, że to ja kazałam zostawić otwarte, tylko powiesz, żeś zapomniała zamknąć.

K a ś k a (j. w.). Dobrze, proszę pani!

(Bukowska wychodzi).

K a ś k a (sama, ciągnie dalej pacierze).
Siódme nie kradnij, ósme nie mów fałszywe-
go świadectwa... (szepce bez związku, głowa
jej opada na złożone ręce; fortepian gra cią-
gle; Kaśka zasypia).

(Powoli zasłona spada).

AKT DRUGI.

Scena przedstawia lesistą okolicę. Huśtawki, gra w kręgle, stoliki i ławki, na nich kufelki i butelki. Katarynka gra wrzaskliwie chwilę przed podniesieniem zasłony. Na scenie pełno ludzi niskiej klasy, sług, rzemieślników. Żydzi chodzą, roznosząc grę w loteryjkę. Żydówki sprzedają pomarańcze. Służące bujają się na huśtawkach. Mężczyźni, bez surdutów, grają w kręgle. Na najbliższej huśtawce stoi Marynka, wystrojona, w rękawiczkach i kapeluszu. Pod huśtawką gromada młodych ludzi, odświeżnie ubranych; przypatrują się jej z admiracją.

SCENA I.

MARYNKA, ZOŚKA, JULKA, RÓZIA, INTROLIGATOR, KRAWIEC, LOKAJ, później CZEMPIELEWSKA i KARMELKARZ, POLICYANT, ŻYD z loteryjką, ŻYDÓWKA z pomarańczami, KATARYNIARZ, WŁAŚCICIEL HUŚTAWEK, 1 grający w kręgle, 2 grający w kręgle, 3 grający w kręgle, 1 rzemieślniczka, 2 rzemieślniczka. Sługi, rzemieślnicy, dzieci, przekupnie.

M a r y n k a (na huśtawce). Wyżej!... wyżej!...

I n t r o l i g a t o r. A to z panny Marynki nienasytek! Furt wyżej i wyżej!... Toć chyba chce się na drzewa dostać...

K r a w i e c. Albo się grzmotnąć o ziemię...

M a r y n k a. Pan mnie nie będziesz podnosił.

K r a w i e c. Phi!... kto to wie!... a może nie będzie się już po co schylić!...

M a r y n k a. Niema strachu! Ja tam nie zlecę! (do innych dziewcząt na huśtawkach). He! cóż wy tam, zmokłe kury? boicie się, czy co, że tak po ziemi pełzacie, jak jakie robaki?

J u l k a (na huśtawce). Albo mnie zaraz mgłości chwytajom!

M a r y n k a. O, Jezus Marya! a to ci dulcynella! To zlec z huśtawki, kiedyś taka.

Z o ś k a. Ja mam też krążka w głowie!

K r a w i e c. To pewne i to nietylko na huśtawce.

Z o ś k a. Pan jest zadowcipny, panie Mydłek; pan się nie uchowa!...

J u l k a. Panu Mydłkowi brak politury!

K r a w i e c. Jak w jakim towarzystwie.

M a r y n k a. Pan nie bądź za przyścibny, bo pan możesz tego pożałować. No, a teraz

dosyć tego bujania. Proszę przestać, zesa-
dzić mnie na ziemię i zaprowadzić na piwo.

K r a w i e c. No, to ja daję nura!

I n t r o l i g a t o r. To wiadomo, że gdzie
jest częstunek, tam zawsze pan Mydłek da-
je nogę. (do Marynki) Panna Marynka zrobi
mi ten honor i pójdzie zemną na piwo!

M a r y n k a. Z przyjemnością!
(Introligator zsadza Marynkę na ziemię. In-
ne dziewczęta schodzą również z huśtawek,
ale na ich miejsce wchodzą jeszcze inne).

W ł a ś c i c i e l h u ś t a w e k. Proszę
o sześć centy za kurs!

I n t r o l i g a t o r. Panna Marynka po-
zwoli...

M a r y n k a (niedbale). Niechaj!
(Siadają przy stoliku, przyłącza się do nich
Julka i Lokaj).

L o k a j. Państwo pozwolą usiąść przy
tym stole?

I n t r o l i g a t o r. Jakże... prosiemy! pro-
siemy! Hej! żyd! dwa ciemne! A pannie
co? coś słodkiego? może waniliówki, wiśniów-
ki, anyżówki, korczakówki, herbatówki?

M a r y n k a. Coś letkiego... na ochłodze-
nie... Kminkówki—jak panna Julcia myśli?

J u l k a. Niech będzie kminkówka!

L o k a j. I prezli? Hej, prezlarz!
(Prezlarz podchodzi, dziewczyny wybierają
z kosza prezle).

1 g r a j ą c y w k r ę g l e. A to psie gorąco!

2 g r a j ą c y w k r ę g l e. Chyba zdjęć kamizelki.

1 g r a j ą c y. Nie można, są damy!

2 g r a j ą c y. To nie damy, to nasze żony!

1 g r a j ą c y. E, zawsze nie wypada! No, uwaga! teraz mój rzut!

(Krzyk między grającymi).

Ho! ho! zwałił wszystkie! zwałił!...

Ż y d z l o t e r y j k ą (podchodzi ku rzemieślniczkom). Może też panie chcą co pięknego wygrać? O, tu jest cukierniczka, tu lichtarz z prawdziwego sławskiego srebra... a tu bransoletka z echt paryzkim dyamentem. Stawka pięć centy. Niech się panie obywatelki zdecydują!

1 r z e m i e ś l n i c z k a. Dość, oszuście! wydrwigroszu!

2 r z e m i e ś l n i c z k a. Idź drugich cyganić, nie nas.

Ż y d. Czego się to zaraz ciskać i rzucać? czego? Takie godne panie obywatelki i takie niegrzeczne. Lichtarz fain, jak gwiazda... postawić na komodzie... aj jaj, co za rarytne sztuki!

3 r z e m i e ś l n i c z k a. A możeby tak spróbować?...

1 r z e m i e ś l n i c z k a. Niech pani da pokój! Żyd zawsze panią okpi. To już nawet w gazetach stało, że takie loteryjki to ino szachrajstwo...

Ż y d. Co to szachrajstwo? dlaczego szachrajstwo? A gazety to także nie szachrajstwo? Czego takie brzydkie gadanie. Jak ta pani chce sobie pograć, czego nie ma sobie pograć? (rozkłada loteryjkę). Pani dobrodziejka sobie numerek wybierze.

3 r z e m i e ś l n i c z k a. Ano—nie wiem jaki!

Ż y d. A ile u pani dobrodziejki lat?

3 r z e m i e ś l n i c z k a. A tobie co do tego?

Ż y d. Ja przepraszam, ale ja chciałem, żeby pani postawiła na ten numer, co pani lata.

3 r z e m i e ś l n i c z k a. Postawię na lata mego zięcia. Czterdzieści trzy.

(Żyd stawia gałkę).

Ż y d. Ano, to już takie moje nieszczęście! Pani dobrodziejka wygrała.

3 r z e m i e ś l n i c z k a. Ha! ha! wygrałam! Co?

Ż y d. Ano, ten śliczny garnuszek. To z samej chińskiej porcelany! Ajaj, jaką ja mam stratę!

3 r z e m i e ś l n i c z k a. Dawaj garnuszek! (Żyd daje garnuszek). Niczego, niczego!

Ż y d. Co to niczego? to najfajniejsza porcelana, jaka jest na świecie!

2 r z e m i e ś l n i c z k a. Rzeczywiście, wcale niebrzydki garnuszek; i imię pięknie wypisane i oto dwa gołąbki na froncie.

3 r z e m i e ś l n i c z k a (z ferworem). No, jeszcze raz, panie żyd! Znów czterdzieści trzy.

Ż y d. Niechaj będzie (kręci ruletką). Ajaj! znów pani wygrała!

W s z y s t k i e r z e m i e ś l n i c z k i. A co? co?

Ż y d. Lizeczke ze srebra reswuskiego. Ajaj, co też to za moja strata!...

3 r z e m i e ś l n i c z k a. No, moja pani, łyżeczkę wygrałam!...

1 r z e m i e ś l n i c z k a. No, to i ja spróbuję.

2 r z e m i e ś l n i c z k a. Ja także!

(Otaczają żyda i grają w ruletę).

I n t r o l i g a t o r. No, a teraz czego się napijemy?

M a r y n k a. Aby coś letkiego... Niech będzie anyżówka!

J u l k a. Niech będzie anyżówka!

I n t r o l i g a t o r. A my piwa, panie Ignacy!

L o k a j. To moja kolej.

I n t r o l i g a t o r. Przepraszam, proszę mnie tu honor zostawić! to moja kolej!

M a r y n k a. Patrzcie ino, jak to kra-
wiec z boku zagląda. Myśli, że go do stołu
może zaprosimy!

L o k a j. Nie potrzeba takich igielmache-
rów, obejdzie się!

(Wchodzi Czempielewska wystrojona, przy-
niej Karmelkarz).

C z e m p i e l e w s k a. Kłaniam! witam!

M a r y n k a. A! pani Czempielewska!
prosiemy do kompanii!

C z e m p i e l e w s k a. Dziękuję, muszę
się puścić na spacer, bo tylko co zesadził
mnie z dyabelskiego młyna pan Stefan (pre-
zentuje Karmelkarza). Mój narzeczony.

W s z y s c y. A!...

C z e m p i e l e w s k a. Ano tak; pomy-
ślałam sobie, że smutno samej na świecie
i pan Stefan, z zawodu karmelkarz, prosił
mnie o mojom rękę. Zgodziłam się, bo i cóż
miałam robić!

L o k a j. Doskonale pani Czempielewska
zrobiła...

C z e m p i e l e w s k a. Ano, to się wie.
Bez całe życie służyć po obcych, to już wo-
le być panią na siebie i wysługiwać się
swoim.

L o k a j. Niechże państwo siadają. Pro-
siemy pięknie.

C z e m p i e l e w s k a. Dziękuję, jeszcze
na karuzel trochę wsiadę, bo chcę użyć

jeszcze panińskiej swobody. Pięknie się kłaniamy. Panie Stefanie, ukłoń się pan i chodźmy!

(Wychodzą).

M a r y n k a. Czy to niemowa ten karmelkarz?

J u l k a. Ano, musi go co... Ale dobrze, że i takiego dostała.

M a r y n k a. Zobaczycie... on jej wytnie kuranta.

L o k a j. Bardzo być może! wygląda na mądrą rybę, choć tak jak ryba nie nie gada....

J u l k a. Ale co to znaczy, że Jana do tej chwili niema? Nie wiesz, Marynka?

M a r y n k a. Ach, Jan!... Żebyście wiedzieli — to skonać można od śmiechu! Jan się kocha w tej wielkiej Kaśce z trzeciego od Bukowskich!

W s z y s c y. Nieprawda!

M a r y n k a. Jak Bożę kocham! Wodę jej nosi, węgle z piwnicy... Przed bramą to jeszcze nie wystają, bo ona to udaje niby świętoszkę i nie chce. Ale my wiemy, co to za jedna. Przybłąda... Bóg wie, z kąd się to przywlokło, obdarte, Boże... Służyła u żydów, a teraz u takiego państwa, że to gorsze, niż żydy. Prawda, Julka? żadna porządna sługa się z nią nie zadaje w kamienicy, a jak

idzie bez dziedziniec, to my aż się pokładamy od śmiechu.

L o k a j. Niezgrabna, jak kloc, ale ładna dziewczyna.

M a r y n k a. Ojej! też także ładność!... czysty grynadyr. A nie ma ani jednej uczciwej kiecki na grzbiecie. W niedzielę to z nikim nawet wyjść nie ma na spacer i wiecznie idzie do kościoła wysiadywać w kącie, jak stara Czempielewska.

W s z y s c y. Ha! ha! ha!

L o k a j. Ale to jej panna Marynka dojeżdża! A dlaczego też to panna Marynka tak tej Kaśki nie lubi?

M a r y n k a. Może pan Ignacz myśli, że bez zazdrość — to się pan Ignacz grubo myli...

L o k a j. Bo ten Jan to się kiedyś około panny Marynki uwijał.

M a r y n k a. No, to i co z tego? Nie chciałam go i dosyć!... taki tam stróż... mnie trzeba, żeby to był ktoś fachowy i jenteligentny. A zresztą, zobaczymy jeszcze... Jan tu dziś przyjdzie; mówił mi wczoraj, że przyjdzie.

L o k a j. Może z Kaśką.

M a r y n k a. Co też pan Ignac wygaduje; gdzieżby on z takim tłumakiem publikował! A toć ona nie ma nawet kapelusza...

G. Zapolska: Kaśka Karyatyda.

(Wszystkie rzemieślniczki zaczynają krzy-
czeć): Szachraj! oszust! okpił nas! okradł!

W s z y s c y. Co się stało?

(Żnów zamieszanie).

Ż y d. Niema tu żadne szachrajstwo!...
wszyscy grali po dobrej woli!

R z e m i e ś l n i c z k i. Oddaj nam na-
sze pieniądze!

P o l i c y a n t. Co to jest? co to za ha-
łas? Stile! ruhig! was wole das sein!

R z e m i e ś l n i c y. Żyd psia wiara okradł
nasze żony!

Ż y d. Nie prawda! Ja to panu komisa-
rzowi opowiem...

(Wychodzą wszyscy, wrzeszcząc, za kulisy).

Z o ś k a. (na huśtawce). Waryaty jadą!
waryaty!

W s z y s c y. Gdzie? gdzie?

Z o ś k a. O, na maszynach! I kobieta
tyż ubrana za mężczyznę!

(Wjeżdżają dwaj cykliści i jedna cy-
klistka).

W s z y s c y. Waryat! waryat!
(Cykliści zsiadają z maszyn i idą do bufetu).

I n t r o l i g a t o r. Jezu, jak to wyglą-
da! jak hecarz, czy co!

M a r y n k a. Niech pan nie wydziwia,
bo to bardzo szykantne takie ubranie.

I n t r o l i g a t o r. A przez co te pań-
stwo tak na tych włóczybiedach jeżdżą?

L o k a j. Bo nogi mają poderwane, nie mogą już chodzić, więc na maszyny powłazili.

(Cykliści siadają na maszyny i odjeżdżają).

W s z y s c y. Waryat! waryat!

I n t r o l i g a t o r. Strasznie się dziś hołoty naschodziło. Aż niemiło tu siedzieć.

M a r y n k a. Prawda, same koczkodony!

L o k a j. O tak, z tym wielkim nosem podobne w kubek do swojej pani!

(Kelnerzy zapalają latarki kolorowe).

W s z y s c y. Ha! ha! ha!

M a r y n k a. A ten kataryniarz to podobny do swojej pani!

W s z y s c y. Ha! ha! ha!

(Ściemnia się).

M a r y n k a. Już i wieczór... zapalają lampy.

J u l k a. Będą fajerwerki i rakiety, a potem tańce.

M a r y n k a. Ojej! także tańce! to obcaszy można pogubić. Ja tam nie będę tańczyła. Przejdźmy się trochę, bo mi się w głowie zaćmiewa...

(Mężczyźni podają im ręce i szykują się do wyjścia, w tej chwili z lewej wchodzi Jan i Kaśka, Kaśka bez kapelusza, z gołą głową, w różowej krochmalnej sukni, w chustce na plecach).

S C E N A II.

I n t r o l i g a t o r. A... ot i pan Jan!

J u l k a (do Marynki). Z Kaśką!...

M a r y n k a (wściekle). A!...

J a n (podchodząc do Marynki). Dzień do bry pannie Marynce. Cóż, dobrze się panna Marynka bawi?

M a r y n k a (wściekła). Dobrze! Ale gdzież to pan Jan się w podróż wybiera?

J a n. Ja? z kąd? Co też to panna Marynka wygaduje!

M a r y n k a. Ano; myślałam, bo widzę, że pan Jan z tłumokiem chodzi...

(Wszyscy śmieją się i uciekają).

J a n. A to psia wiary!

K a ś k a (zatrzymując go). Panie Janie! Ja pana Jana bardzo proszę...

J a n. To dla panny Kasi tylko zrobię, że tej jędzy nie obiję, jak na to zasługuje!

K a ś k a (smutnie). Na co to, panie Janie? Ona tak mówi nie bez złość, ale bez głupotę. A potem, ja mówiłam panu Janowi, że się na wstyd narazi, jak będzie zenną na spacer chodził. Ja się nie mam w co ubrać, a te panny takie elegantki.

J a n. Panna Kasia nie potrzebuje żadnego stroju, bo panna Kasia jest zawsze najpiękniejsza dziewczyna w świecie.

K a ś k a. Co też pan Jan mówi i wygaduje! Ja nie mam nawet kapelusza.

J a n. To co mi z tego? Ma za to panna Kasia takie śliczne włosy, takie warkocze, że to aż ziemi sięgają. Ja raz podejrziałem, jak się panna Kasia rano czesała.

K a ś k a (zawstydzona). O, mój Jezu!... a co też to pan Jan widział?...

J a n. No, nie, nie, niech się panna Kasia uspokoi. A może się panna Kasia chce pohuścić?

K a ś k a. Broń Boże!

J a n. Dlaczego?

K a ś k a. Bo się wstydzę.

J a n. Ojej, jaka panna Kasia wstydliva!

K a ś k a. Znów się zemnie śmiać będą.

J a n. Chciałbym to widzieć! Już ja honor panny Kasi obronię...

K a ś k a. Niech pan z niemi kłótni nigdy nie zaczyna, ja pana Jana o to bardzo proszę, bardzo proszę... One się później będą na mnie mściły. I tak ja już spokojnie bez dziedziniec przejść nie mogę, tak się zemnie wyśmiewają.

J a n. A to jędze! Ale niech panna Kasia siada, napijemy się troszeczkę.

K a ś k a. Pięknie panu dziękuję, że pan mnie tak chce uhonorować, ale już my dwa razy pili piwo, a ja nie zwyczajna, to mi już i tak w głowie szumi. (Siadają).

J a n. To nie! dziś niedziela, frajda na grande! Hej! kelner! — kieliszek pestkówki i kieliszek malinówki! Malinówka to dla panny; to słodkie, aż głaszcze po gardle. Zobaczy panna Kasia, jak się ta to prześlizgnie...

K a ś k a. Pan Jan bardzo dla mnie dobry!

J a n (siada bliżej niej). Czemu nie miałbym być dobry, kiedy panna Kasia taka miła dziewczyna.

K a ś k a. To pan pierwszy we Lwowie przemawiał do mnie jak człowiek. Dawniej to wszyscy na mnie tylko krzyczeli, poszturchiwali mnie. I tak mi się często tęskniło za domem i za matką i za siostrami, że już chciałam wszystko rzucić i uciekać do Iglińówki. Ale wieś, tam w domu nie przelewa. Ot, ino tyle, co we fabryce zarobią, choć ojciec ma trochę i dom porządny. Więc ostałam we Lwowie i tak bieduję. Pan Jan jeden i pani druga, to do mnie po ludzku gadają. Ja za to was dwoje bardzo lubię.

J a n. A panna Kasia wie, że ta pani Kasina to ma romans z tym doktorem z pierwszego piętra?

K a ś k a. Co też pan Jan wygaduje. Przecie moja pani ma męża.

J a n. Czy panna Kasia kpi, czy o drogę pyta... Co to ma jedno do drugiego.

K a ś k a. Ależ to obraza Boska.

J a n. Ojej! oni się tam o to bardzo troszczą... Hej! kelner! dajno jedną wiśniówkę i jedną pestkówkę. Wiśniówka to dla panny Kasi.

K a ś k a. Dziękuję panu Janowi, że mnie tak bardzo honoruje, ale mnie się już ze wszystkim w głowie zawróciło.

J a n. Tem lepiej!
(Kelner przynosi kieliszki; Jan przysiada się do Kasi).

J a n. A pamięta panna Kasia, jak to pierwszego wieczoru panna Kasia się na mnie obraziła?

K a ś k a. Ojej!... a potem zasnęłam przy pacierzu.

J a n (obejmując ją). Ale teraz panna Kasia już nie taka zawzięta?

K a ś k a (rozmarzona). Pan Jan taki dobry...

J a n. I będę jeszcze lepszy. Tylko panna Kasia powinna mieć więcej wiary.

K a ś k a. Kiedy ja panu Janowi wierzę.

J a n. E! nie we wszystkim, panno Kasiu, nie we wszystkim! (Orkiestra zaczyna grać za sceną). Kelner! kieliszek miętówki i kieliszek pestkówki! Miętówka to dla panny!...

K a ś k a. Dziękuję, że mnie pan Jan tak honoruje, ale... ja naprawdę już nie mogę... oczy mi się kleją...

J a n. Gdzie tam! Oczy u panny Kasi tak się świecą, jak gwiazdeczki na niebie.

K a ś k a. To też pan Jan podchlebia!

J a n. Niech panna Kasia pije.

K a ś k a. Kiedy już nie mogę.

J a n. Chyba, że mnie panna Kasia nie lubi i źle mi życzy.

(Kaśka pije pośpiesznie).

J a n. No tak, to bardzo dobrze! Zaraz widać, że panna Kasia posłuszna i że będzie z niej dobra żona.

K a ś k a (trochę pijana, ale bardzo mało). E! ktoby się tam zemną chciał żenić?

J a n. A jakbym też ja chciał się z Kasią ożenić?

K a ś k a (zdziwiona). Pan Jan?

J a n. Ja!

K a ś k a. O, czego też to pan zemnie podrwiewa? Co ja też to panu zrobiłam?

J a n. Ale ja wcale nie drwię. Skoro mówię, że się ożenię, to się ożenię. Chyba, że panna Kasia mnie nie chce.

K a ś k a. Ja? gdzież znowu! Ale jakże ja, taka głupia dziewczyna, prosta i niezdana, mam być żoną takiego mądrego, jak pan Jan, człowieka?

J a n. Na żonę to się uczyć nie trzeba. A potem, panna Kasia się przy mnie ogładzi...

K a ś k a. O Jezu miłosierny! aż mnie strach porywa!

J a n (całując ją). A to na zaręczyny.

K a ś k a. Jeszcze kto zobaczy.

J a n. No to niech widzą. Co to? panna Kasia przecież moja narzeczona a niedługo i żona. Co komu do tego, co my robimy... Świat to tylko umie popsuć szczęście, a nigdy go nie da. (Całuje Kaśkę, która się coraz słabiej broni).

(Kelnerzy sprzątaję stoły, przygotowując teraz do tańca. W głębi grający w kręgle przestali grać i piją piwo).

J a n. Panna Kasia powie swojej pani, że ja będę co niedziela do kuchni przychodził. Będę grał na harmonii pannie Kasi i książki też poczytam.

K a ś k a. Dobrze.

J a n (obejmując ją w pól). I nieraz sobie tak na spacer pójdziemy we dwoje.

K a ś k a. Do lasu, tam gdzie drzewa, prawda? to mi się przypomni tak jak u nas. Jest także las i ja lubiłam tam często z siostrami chodzić nad wieczorem, bo potem, jak gwiazdy zaczęły błyskać, to my tylko przez gałęzie upatrywałyśmy ciągle i liczyły... Ale się nigdy doliczyć nie mogły..

J a n. Chce panna Kasia pójść teraz gwiazdy liczyć?

K a ś k a (zdjęta nagłą trwogą). Nie, nie!

J a n. Czego się panna Kasia boi?

K a ś k a. Ja się... nie boję... tylko...

J a n. Zemną? ze swoim narzeczonym panna Kasia się boi pójść przez las? I panna Kasia mówi, że ma do mnie wiarę?...

S C E N A III

MARYNKA, JULKA, ZOŚKA, INTROLIGATOR, KRAWIEC, LOKAJ, RZEMIEŚLNICZKI, SŁUGI, RZEMIEŚLNICY.

M a r y n k a. No, już uprzątnęli do tańca, tylko jeszcze nie zamietli i śmiecie pozostawiali...

J a n. A właśnie, jak panna weszła, to się zaśmieciło. Przedtem było czysto i porządek. Niech panna Kasia siada. Kelner, dwa poncze, a żywo!

I n t r o l i g a t o r. Niech panna Marynka siada! Kelner! cztery poncze, a żywo!

J a n (odwrócony tyłem). Są ludzie, co od małego pochodzą. Jak widzą, że jeden co robi, to tego zaraz zmałpują.

I n t r o l i g a t o r. A są takie ludzie, co się tylko grubianią i myślą, że mądre...

M a r y n k a (przerywa). Ja pana Tombańkiewicza proszę, niech pan Tombańkiewicz

nie odpowiada. Są ludzie, co prócz miotły i bramy nic na świecie nie widzieli i z takimi się nie trzeba zadawać, bo można sobie honor zposponować.

Z o ś k a. Będziemy tańczyli?

L o k a j. Naturalnie! Gdzież muzyka? kelner!

K e l n e r. Ano siedzi w krzaczku.

L o k a j. To powiedz jej, niech wylezie z krzaczka i nam co zagra.

K e l n e r. A co państwo każą?

L o k a j. Tremblantkę, albo co.

J a n (do Kaśki, ściskając ją za rękę). Ja się w Kasi kocham!

K a ś k a. Ja także się w panu Janie kocham!

J a n. A nie będzie się panna Kasia bała powracać przez las?

K a ś k a. Chyba nie... Pan Jan uczciwy człowiek!

J a n. Chce panna Kasia jeszcze trochę ponczu?

K a ś k a. Kiedy to strasznie pali.

(Muzyka gra polkę).

J u l k a (do lokaja). Ja idę tańczyć.

L o k a j. No, to służę pannie.

J u l k a. Przez rękawiczek?

L o k a j. A jakże, mam w kieszeni.

(Zaczynają tańczyć, kilka par się kręci).

M a r y n k a (wstaje). I mnie ochota zebrała; pójdę tańczyć.

I n t r o l i g a t o r. Służę panie Marynce.

J a n (wstaje). Panno Kasiu i my potańczymy sobie.

K a ś k a. Kiedy ja nie umiem.

J a n. To nie, ja pannę nauczę!

(Obie pary wychodzą na środek sceny).

M a r y n k a. Niech mnie pan posadzi, panie Tombałkiewicz, bo ja w takim towarzystwie tańczyć nie mogę.

K a ś k a. Panie Janie, chodźmy do domu.

J a n. Do domu? nigdy! Tu jesteśmy, a komu nasza kompania nie miła — to precz z drogi! Co panna Kasia umie tańczyć?

K a ś k a. Nic.

J u l k a (do lokaja). Ja idę tańczyć!

L o k a j. No, to służę panie.

J a n. Przecie...

K a ś k a. Kołomyjkę; a mazury, co u nas w fabryce byli, nauczyli nas obertasa.

J a n. Doskonale! Hej, muzyka! kołomyjkę, a później obertasa! Dalej za mną! W kąt tremblantki i kontredanse! Górą nasza kołomyjka!

M a r y n k a (do introligatora). Chodźmy ztąd, panie Tombałkiewicz. To same pijaki i chłopcy — jeszcze się pobiją!

J a n. Z Panem Bogiem! Idź panna psyniańczyć! Z Panem Bogiem! Dalej, do tańca!...

(Formują się pary do kołomyjki; po kołomyjce oberek ze śpiewami. W głębi fajerwerki).

Zasłona wolno spada.

AKT TRZECI.

Scena przedstawia wnętrze ubogiej izby w mieszkaniu Olejarków. Łóżka, tapczany, kołyski dzieci, komin; na oknie doniczki z kwiatami; komoda, na niej filiżanki.

SCENA I.

OLEJARKOWA, ŻWAN.

Ż w a n (lat trzydziestu, nieśmiały w obejściu, odzież robotnika). Dlatego też ja tu przychodzę do pani Olejarkowej, prosząc, aby, jeśli można, na męża wpłynęła, a on już tam ludzi uspokoić potrafi.

O l e j a r k o w a (sucha, dość biednie ubrana). Mój dobry Żwanie, ja to chętnie-bym uczyniła, ale cóż robić! Żwan wie, jak mój mąż impetyk. Wszyscy musimy milczeć, jak trusie. A toż bez niego to i te biedne Kasisko z domu wyszło, bo przywidziało mu się, że ona sposobniejsza do służby, jak do fabryki.

Ż w a n. Wiem ja, wiem, bo nieraz nasłuchałem się, jak to pan Olejarek Kaśkę z domu wyprawiał... aż poszła biedna dziewczaka. A miała też pani od niej jaką wiadomość?

O l e j a r k o w a. Miałam temu dwa miesiące. Podyktowała komuści tam list do mnie. Niby to się jej nieźle wiedzie, ale zawsze cni się jej za domem. Olejarek zgniewał się okrutnie, bo tylko trzy reńskie w liście przysłała. Pisała Kaśka, że ma tylko trzy guldeny pensyi na miesiąc, a trzewiki drze okrutnie. Tak też ojciec napisał jej, żeby zaraz wymówiła taką służbę i szukała innej na pięć i więcej guldenów. Powiada Olejarek, że Kaśka taka silna, że może starczyć i za cztery sługi i za stangreta i za lokaja i za stróża.

Ż w a n. Oj, że silna, to silna! Pamięta pani, jak to dla niej nic nie było wóz w pędzie zatrzymać?

O l e j a r k o w a. Ojej! A jak była mała, o—tycia! to już dźwigała z ziemi dzbanki z wodą i wołała: „Mamusiu, ja mamie wody przyniosę!“

Ż w a n. Musi też pani Olejarkowej brakować panny Kasi w domu?

O l e j a r k o w a. Czy mi jej brakuje? A toć, Jezu miłosierny! to była moja prawa

ręka! Zuzia i Józia dobre dziewczyny, ale sowizdrzały.

Ż w a n. Żeby panna Kasia była ostała w domu, byłaby już awarsowała. Możeby kiedy z fabrykantki i majstrową została.

O l e j a r k o w a. Tak, ale to zawsze była jedna gęba więcej do jedzenia. A jadła też za dwie, choć ja jej tam tego nie żałowałam. Owszem powiadam: „jedz, Kasiu, na zdrowie!“ Jeno ojciec się krzywił i mówił, że dziewczyna więcej zje, niż zarobi na fabryce.

Ż w a n. Gdybyście byli mi ją dali, nie byłaby wam zawadzała.

O l e j a r k o w a. Tak, wiem ci ja, że mieliście uczciwe zamiary, ale czemu nie deklarowaliście się głośno i wyraźnie?

Ż w a n. Tak jakoś.. nie śmiałem...

O l e j a r k o w a. Ojej! taki duży człowiek i taki nieśmiały! Ja zaraz poznałam, że Żwan do Kasi zagląda, ale Olejarek mówił: „Co ci się, babo, wi, Żwan przychodzi do mnie, żeby sprawy fabryczne obgadać“. Tak ja też milczałam, a widząc, że się nie oświadcacie, pomyślałam sobie, że mój mąż miał rację.

Ż w a n. Ja tak codziennie odkładałem, bo widziałem, że mi Kasia wielkiej przychylności nie okazywała jeszcze. Myślę sobie: dziś, jutro polubi mnie więcej i wtedy was o nią

poproszę... Wyjechałem na dwa dni próby do matki, w moje strony—wracam, a Kaśki niema. Gdzie? — pytam. We Lwowie. Po co? Na służbę. Aż mnie mrowie przeszło... (Chwila mileżenia). I od tej pory minął już rok cały!

O l e j a r k o w a. Tak, cały rok! Ona tam pewno żyje po pańsku i dostatnio, bo to w służbie, w mieście, to nie to, co po fabrykach harować od świtu do nocy. A potem, widzi świat szeroki... i to dobre dla dziewczyny. Wykierują ją tam na człowieka. (Słychać dzwon). Oho! już dzwonią. To z czerwonego pawilonu wychodzą po zapłatę. Będzie też dziś pełno w szynkach.

Ż w a n. Oj, będzie pełno! Ja idę. Nad wieczorem tu zajrzę. Bądźcie zdrowi!

O l e j a r k o w a. Bądźcie zdrowi!

SCENA II.

OLEJARKOWA, później OLEJAREK.

O l e j a r k o w a. Pocziwe Żwanisko! szkoda, że się z Kaśką nie ożenił; miałaby pocziwego męża, nie pijaka, nie marnotrawcę. Choć on ciągle tu jeszcze zagłada, niby o to, niby o tamto... Napiszę ja do Kaśki;

może, jak se trochę pieniędzy zbierze na wyprawę, będzie mogła pójść za niego. Kto to wie...

Olejarek (wielki, rośli mężczyzna, siwiejący). Gdzie dziewczyny?

Olejarkowa. Powiedziały, że z fabryki pobiegną do szwaczki po chorągiew, bo miała poprzyszywać wstążki. Mają tu chorągiew przynieść i ztąd odniosą ją do kościoła na jutrzejsze wyświęcenie.

Olejarek. I znów nowe kiecki posprawały?

Olejarkowa. Jakże chcesz? musiały przecież mieć białe sukienki. Wszystkie dziewczyny z fabryki tak będą ubrane.

Olejarek. Oto, co im w głowach!

Olejarkowa. Co chcesz! młode, na pracują się cały tydzień, to na niedzielę ra-deby trochę się rozerwać.

Olejarek. Trzeba je będzie wysłać do miasta na służbę.

Olejarkowa. Jak Kaśkę?

Olejarek. Jak Kaśkę.

Olejarkowa. O Jezu! dlaczego?

Olejarek. Dlatego, żeby los zrobiły. Jak dziewczęta w mieście za mąż dobrze powychodzą, to i my na starość do miasta pojedziemy mieszkać przy nich.

Olejarkowa. Et, gruszki na wierz-bie!

O l e j a r e k. Kaśka już teraz musi być w mieście, jak u siebie; wynajdzie siostrom porządną służbę i wszystko będzie w porządku.

(Wstaje i bierze czapkę).

O l e j a r k o w a. Wychodzisz?

O l e j a r e k. Spodziewać się! Idę do gospody pod „Cztery korony“.

(Wychodzi).

SCENA III.

OLEJARKOWA, później KAŚKA.

O l e j a r k o w a (sama). Bieda z takim uporem! Oj, ciężkie ja mam życie z tym człowiekiem!...

(Drzwi się otwierają powoli i wsuwa się Kaśka).

O l e j a r k o w a. Kaśka! to ty? Czemuż nie napisała, że przyjedziesz? A może cię ze służby wygnali? co? (Kaśka robi ruch przeczący). To ty tak w odwiedzinie?

K a ś k a. Tak, matulu.

O l e j a r k o w a. Ano, to dobrze, bardzo dobrze! No, pokaż-że mi się, jak na tym chlebie miejskim wyglądasz! (patrzy na Kaśkę). Cóżeś ty taka zmizerowana?

K a ś k a. Ja? Matuli się zdaje...

O l e j a r k o w a. Gdzie mi się zdaje!... A toć połowa z ciebie została. A rumień-

ców ani śladu! Błada jesteś, jak opłatek...
Może ty chora?...

K a ś k a. Nie, matulu.

O l e j a r k o w a. A może ty głodna? (Krząta się i zastawia stół). Siadajże, a podjedz sobie! Tak... tu masz mleko kwaśne i kartofle, tak, jak je zawsze lubiałaś.

K a ś k a. Dziękuję ci, matusiu.... Ale mnie się jeść nie chce.

O l e j a r k o w a. Co też ty gadasz, dziewczyno! Po takiej drodze i w godzinie wieczery! Pamiętasz, jakieś dawniej jadła za dwie o tej porze?

K a ś k a (smutnie). O! dawniej!...

O l e j a r k o w a. Teraz jeszcze powinnaś jeść więcej, boś się w drodze wygłodziła. (Opiera się o stół). A teraz opowiadaj mi o mieście. Cóż, państwo twoi dobrzy?

K a ś k a. Dobrzy.

O l e j a r k o w a. A pieniędzy już sobie uskładać musiałaś całą kupę, co?

K a ś k a (wahając się). Ja... to... później matuli opowiem.

O l e j a r k o w a. A przywiozłaś siostronom jakie prezenta?

K a ś k a (cicho). Nie.

O l e j a r k o w a. A dlaczego?

(Kaśka milczy).

O l e j a r k o w a. Widzisz, jakie ty masz niepocziwe serce! Zapomniałaś o rodzeń-

stwie... już nie mówić o nas, o rodzicach, ale o siostrach... (Kaśka opiera głowę o stół i zaczyna płakać). No cicho! nie becz! Na drugi raz przywieziesz co pięknego!... Czemu ty włosy masz tak przeczesane?

K a ś k a. Bo tak się we Lwowie wszystkie dziewczęta czeszą.

O l e j a r k o w a. Jak konie? z taką grzywą. Odgarnij-no to z czoła, bo jak oj cieć zobaczy, to się gotów pogniewać i to nie na żarty! (Kaśka odgarnia grzywkę). Tak, teraz masz pogodniejszą twarz, choć zawsze bardzo mizernie wyglądasz. No, no, co też ty tam jesz w tem mieście? A dobrze cię tam żywią u tych państwa?

K a ś k a (po chwili wahania). Dobrze, matulu.

O l e j a r k o w a. Bo jakby ci było źle, to mogłabyś miejsce zmienić. A szanujesz ty swoich państwa? Nie zuchwalisz się przypadkiem?

K a ś k a. Nie, matulu.

O l e j a r k o w a. A nie kłamiesz przed niemi; bo, widzisz, kłamstwo to najgorszy grzech i z niego biorą początki wszystkie inne grzechy, nawet śmiertelne. Słyszysz, Kaśka?

K a ś k a. Słyszę, matulu.

O l e j a r k o w a. A teraz trza, ażebyś poszła przywitać się z ojcem. Ojciec jest w gospodzie pod „Czterema koronami“.

K a ś k a. Ja nie chciałabym się ślaniać po ulicy.

O l e j a r k o w a. A to czemu? Owszem, zobaczysz swoje dawne kamratki. To dziś fercentag dziewcząt, to muszą już wszystkie być przed kasą. Opowiesz im, coś w mieście widziała i jak ci tam jest. Trza się swoim losem trochę pochwalić, kiedy ci się poszczęściło...

K a ś k a. Ja wolę na ojca tutaj zaczekać.

O l e j a r k o w a. Jak chcesz, choć ja na twojem miejscu wolałabym się zobaczyć z innymi fabrykantkami. Wiesz, że Emilka Waśnińskich awansowała na majstrowę.

K a ś k a. A!...

O l e j a r k o w a. A jakże! Gdybyś ty była została w fabryce, może byłabyś powoli się dochrapała takiego stanowiska.

K a ś k a. E, gdzie zaś! na to trzeba mieć szczęście, a ja zawsze miałam pech.

O l e j a r k o w a. No, nie grzesz... już ci się w mieście poszczęściło, prawda? (Kaśka milczy). A wiesz ty, kto się zawsze o ciebie dopytuje?

K a ś k a. Nie wiem, matulu.

Olejarkowa. Ano, Żwan! Jak Boga kocham, Żwan! Zachodzi tu często i cięgiem pyta: „A co Kaśka? czy pisała? a jak jej? a czy powróci?”

Kaśka. Pocziwe Żwanisko! Zawsze taki niemrawy?

Olejarkowa. Jeszcze bardziej. Teraz to już taki mazgaj, czysta baba... choć dobry z niego weber i może niedługo podmajstrzym zostanie. Ty wiesz, onby chciał się z tobą ożenić? Co ty na to, dziewucha?

Kaśka. Nie, matulu... ja... nie pójdę za Żwana...

Olejarkowa. Tak też i ja myślałam. W mieście toś musiała sobie innego męża upatrzeć, nie takiego tam webra... co?

Kaśka (cicho). Tak, matulu.

Olejarkowa. O Jezu! Tak prędko, w rok niecały! No, widzicie ją — i ta się jeszcze żali, że jej źle na świecie. Ale... powiedźże mi...

SCENA IV.

TEŻ SAME, JÓZIA i ZUZIA (są to dwie młode dziewczyny, w ubraniu robotnic; wpadają jak bomby, śmiejąc się i hałasując).

Józia. Ano, to my! (sposstrzega Kaśkę). Kaśka! (ściskają Kaśkę).

Józia. Kiedyś przyjechała?

K a ś k a. Ano, bez mała kwadrans.

Z u z i a. Strasznieś spanowała! ależ szykantna—niechże cię!... Jaki masz ładny trykot...

K a ś k a. To pani mi go dała.

J ó z i a. Ojej! z aksamitnym kołnierzem!

Z u z i a. A buciki! patrz-no Józia, jakie ona ma buciki! pronela świeci się, jak wypomadowana!

J ó z i a. I obcasy wysokie, ino het wykoszlawione!

Z u z i a. Bodaj to w mieście! nie tak, jak tu, w tej fabryce, gdzie jeno harowanie od świtu do nocy.

K a ś k a. W mieście się też haruje.

J ó z i a. Ale za to się używa... tańce, wesela!

O l e j a r k o w a. Oj, pstro wam w głowach! Kaśka nie na zabawy jest w mieście, ale aby sobie los ustalić, pieniędzy zebrać... ot!...

J ó z i a. Jedno drugiemu nie zawadza.

O l e j a r k o w a. Gdzie pieniądze?

J ó z i a. Ot moje; od tygodnia zaczęę też robić na lohn, bo mi się akord nie opłaca.

Z u z i a. E, ja wolę od stuki! zawsze to lepiej się na tem wychodzi.

J ó z i a. Kiedy ja zawsze robię kapustę. Wybiorę naprzód pieniądze i potem muszę za darmo robić.

O l e j a r k o w a. A gdzie chorągiew?

J ó z i a. Dziewczęta ją tu przyniosą; my się przybiegły ubrać i od nas pójdziemy do kościoła.

O l e j a r k o w a. A pięknie ta chorągiew wyszła?

J ó z i a. Ojej! śliczności! Najświętsza Pannienka, cała w bieli, stoi se na księżycu i depce węża. A taka śliczna, taka mileńska, że jeno ręce składać i modlić się bez cały dzień majowy.

O l e j a r k o w a. Pójdę do kuchni, narządę wam wszystko do ubrania.

(Wychodzi).

S C E N A V.

KAŚKA, JÓZIA, ZUZIA.

J ó z i a. Powiedz teraz nam, Kasiu, kiedy mama poszła, jak to tam w tem mieście? Byłaś ty na tańcach?

K a ś k a (po chwili wahania). Byłam.

J ó z i a. Dużo razy?

K a ś k a. Ino raz.

J ó z i a. E! raz... Dlaczego więcej nie poszłaś?

K a ś k a (zakłopotana). Ano... bo tak...

J ó z i a. Sama byłaś?

K a ś k a (j. w.). Nie.

J ó z i a. Z kim? z kawalerem? co?

(Kaśka milczy).

Z u z i a. Ach! kawalery w mieście to muszą być całkiem inaksi, jak na wsi, nie takie ordynansy, jak we wsi. Umieją uszanować i zabawić.

J ó z i a. Ojciec ma chęć nas też do miasta wyprowadzić.

K a ś k a (przerażona). Was też?!

J ó z i a. Aha! mówił ojciec, że lepiej iść na służbę i w mieście zarobić parę papierków i być żywioną.

K a ś k a (z trwogą). Nie... nie trzeba, żebyście jechały do miasta, nie trzeba...

J ó z i a. Czemu?

K a ś k a. Ja nie mogę powiedzieć, ale proście tatunia, niech was nie wysyła, bo to będzie na wasze nieszczęście...

Z u z i a. E!... a tobie się przecież nie złego nie stało!... No, idę się ubierać. Chodź, Jóźka! (Józia patrzy przez okno). Czego tak wypatrujesz?

J ó z i a. Ano, Frani Kowalczyk. Przecież miała się u nas ubierać, bo jej ojciec, pijak, nie pozwoliłby iść z chorągwią.

Z u z i a. Prawda... całkiem mi z głowy wywietrzało. Pewnie Franka zaraz przyjdzie. No, chodź, Jóźka.

(Wybiegają).

SCENA VI.

KAŚKA, później ŻWAN.

K a ś k a (ogląda się dokoła). Mój Boże!... wszystko tak, jak było dawniej... obrazy na swoim miejscu... Matka Boska Częstochowska... kwiatki... (Zbliża się do obrazu). O! moja pelargonia! jak się to rozrosła! a przed oknem piwonie już opadają. Nikt ich nie dogląda. Widać ztąd fabrykę. O! jeszcze webry stoją na ulicach, gawędzą, to idą do szynku. Zawsze tak było w sobotę, jak był fercentag. (Chwila milczenia). Ino ja się zmieniłam! ino ja tu nie powinnam być, bo się ten dach powinien zawalić nademną! Oj, matulu! czemu wy mnie do tego miasta puścili! (Opiera się o ścianę i pozostaje tak nieruchoma, zamknąwszy oczy).

Ż w a n (wchodzi i spostrzega Kaśkę). Panna Kasia!

K a ś k a. Pan Żwan!

Ż w a n (radośnie). Panna Kasia tu już na dobre wróciła? co?

K a ś k a. Nie, ja jutro odjadę.

Ż w a n. Tak... tylko w odwiedzin.

K a ś k a. Nie, ja w interesie.

Ż w a n. Do ojca?

K a ś k a. Tak.

Ż w a n. E! to pannie Kasi nie radzę dziś się do ojca z jaką prośbą wybierać, bo ojciec dziś strasznie rozgniewany.

K a ś k a. O, mój Boże! mój Boże! co ja teraz zrobię!

Ż w a n. A co też to za interes? Ja nie mógłbym pannie Kasi jako dopomódz?

K a ś k a. Dziękuję panu Żwanowi, ale pan Żwan na to nie nie poradzi.

Ż w a n. Przecie... bo panna Kasia wie, że ja... to... duszębym oddał dla panny Kasi...

(Chwila milczenia).

Ż w a n. Strasznie się panna Kasia wymizerowała w tym Lwowie.

K a ś k a. Służba bardzo ciężka, a potem... mam zmartwienie.

Ż w a n. Jakież to?

K a ś k a. Nie mogę powiedzieć.

Ż w a n. To źle, bo byłoby zawsze pannie Kasi źlej. Jak się tak skrywa w sobie jakieś strapienie, to aż dusi od łez. Ja to wiem sam, mnie już nieraz tak było. (Kaśka płacze). Co pannie Kasi? Panna Kasia płacze? To aż takie zmartwienie? Czy to serce pannę Kasię boli? co? (Kaśka milczy). Niech panna Kasia tu zostanie i do miasta nie wraca; tu my wszyscy dla panny Kasi jesteśmy życzliwi... Nawet ja... gdyby panna Kasia chciała, to... (urywa).

K a ś k a. Dziękuję, panie Żwan! Bóg niech ci za twoje dobre słowa zapłaci! Ale ja muszę wrócić do miasta i mnie tu już zostać nie warto...

S C E N A VII.

CIŻ SAMI i MAŁY KOWALCZYK.

K o w a l c z y k. A gdzie Józia?

K a ś k a. Józia! ano, chodź tu, bo jest mały Kowalczyk do ciebie.

J ó z i a (wybiega w białej sukience muslinowej, krochmalnej; trzyma w ręku wianek i welon). No i co? gdzie Franka?

K o w a l c z y k. Franka nie przyjdzie, bo jej ojciec zrobił fanary pod spojrzeniem.

J ó z i a. A to los! Zuzia, słyszysz? Franka nie przyjdzie.

Z u z i a (także białą ubrana). Co ty gadasz?

K o w a l c z y k. Ano, jak ojciec się dowiedział, że ona nie robi na lohn, ino na akord—i bez to mało pieniędzy zarobiła, bo się w palce zakłuła, tak wpadł w gniew, zbił ją i wysiadał ją balonem do kuchni. A ino... zamknął ją teraz i sam poszedł pod „Cztery korony“.

Z u z i a. No, co my teraz zrobimy?... Jest dziesięć wstążek od chorągwi i musi być dziesięć dziewcząt.

K o w a l c z y k. Ano, to róbcie co chcecie. Mnie też wczoraj ojciec stłukł tak, że ledwo powłóczę chodnikiem... No! bywajcie zdrowe!... (Wybiega, śpiewając):

Wyszły panny z fabryki,
Pogubiły trzewiki...

SCENA VIII.

CIŻ SAMI, oprócz Kowalczyka.

Z u z i a. Co tu robić?

J ó z i a. Jakie my głupie! toż jest Kaśka!... Ubierze się w sukienkę Franki i pójdzie z nami. O! Franka też taka duża, jak Kasia, jeno trochę chudsza... ale Kaśka schudła, to będzie w sam raz. Chodź, Kasiu!

K a ś k a. Ależ...

Z u z i a. Niema gadania, chodź! My tam byle jakiej dziewczyny nie możemy do chorałowi dopuścić. Ksiądz byłby niekontent. A ciebie znają i nawet dobrodziej będzie kontent, jak ciebie z nami zobaczy.

J ó z i a. Powiedzą ludzie, żeś nie shar-działa i że się nas nie wstydzisz... Chodź!
(Wyciąga Kaśkę do kuchni).

SCENA IX

ŻWAN, później DZIEWCZĘTA.

Ż w a n (sam). Nie chce mnie, nie chce! Muszę sobie ją wyperswadować! Albo to

łatwo! Ile ja razy już próbowałem! ile...
i ani weź! A ona zawsze też niebardzo
szczęśliwa, płacze... coś ją w sercu boli.

(Chwila milczenia. Zdaleka słysząc cichy
śpiew chórowy dziewcząt):

Marya,

Biała lilia

Wśród nieba bram.

Marya,

Biała lilia,

Błogosław nam!

Ż w a n. Ja tak samo czasem płakałem,
jak Kaśka przed chwilą, jeno, żem chłop,
tom się ze łzami krył, bo to wstyd. Może
ona tam w mieście ma inne jakie kochanie
i przez to taka znędzniała i smutna...

(Śpiew się zbliża).

Ku Tobie my, dziewczęta,

Wznosimy serca swe,

Marya o nas pamięta,

Odpędza myśli złe.

Ż w a n. Idą tutaj dziewczęta. Och, gdy-
by Kaśka chciała pozostać między nami, jak
dawniej; ja wiem, ja to czuję... ona jeszcze-
by się do mnie nawróciła, została moją żoną!
(Dziewczęta wchodzą powoli. Jest ich dzie-
więć. Idą parami, na ostatku trzy, z któ-
rych środkowa niesie białą chorągiew je-
dwabną z obrazem Matki Boskiej. Wszyst-

kie są ubrane biało, z wieńcami na głowach
i z welonami).

Śpiew.

Gdy noc zalegnie ziemię
I gwiazdy powstają już
Pieśń nasza brzmi ku niebu
Wśród kwiatów lilii, róż:

Maryo,

Biała lilio

Wśród niebios bram,

! Maryo,

Biała lilio,

Błogosław nam!...

SCENA X.

TEŻ SAME, ŻWAN, OLEJARKOWA, JÓZIA,
ZUZIA, KAŚKA (biało ubrana, z welonem
na głowie).

J ó z i a. No, żwawo! Teraz bierzecie każ-
da wstążki w rękę i do dobrodzieja!

D z i e w c z ę t a. Kaśka! Kaśka!
(Witają się z Kaśką, która stoi zmieszana
i mnie welon w rękę).

Z u z i a. Kto poniesie chorągiew?

D z i e w c z y n a (która niosła chorągiew).
Mnie ręce zemdlały, ja dalej nie udźwignę.

J ó z i a. No, to kto? kto?

W s z y s t k i e. Kaśka! Kaśka! ona naj-
silniejsza!

K a ś k a (na stronie). O Jezu! Jakże ja mogę!

O l e j a r k o w a. No dalej, Kaśka! a rusze się, dziewucho! Skoro ci dawne kamratki taki honor robią, że ci dają chorągiew do niesienia. Toć to za moich czasów najuczciwsza dziewczyna z fabrykiniosła do chrztu świętego chorągiew.

D z i e w c z y n a. I teraz też pani Olejarek!

J ó z i a. No, Kasia!...

(Kaśka robi kilka kroków ku chorągwi, nagle blednie i odsuwa się).

K a ś k a. Ja... nie mogę...

D z i e w c z ę t a. Nie może? nie może?

O l e j a r k o w a. Co tobie, Kaśka? Ty chora?

K a ś k a. Tak, matulu.... Przed oczami mi się coś miga... ja nie mogę... ja padnę...

O l e j a r k o w a (patrzy uważnie na córkę). Idźcie, dziewczęta, same. Kaśka zmęczona drogą, jak jej będzie lepiej, to za wami do kościoła przyleci.

D z i e w c z ę t a. Ano, to chodźmy!

(Odehodzą, śpiewając):

Ku Tobie my, dziewczęta!

Wznosimy serca swe,

Maryja o nas pamięta,

Odpędza myśli złe.

Marya,
Biała lilia,
Wśród niebios bram!
Marya,
Biała lilia,
Błogosław nam!

S C E N A X I

KAŚKA, OLEJARKOWA.

Olejarkowa. Kaśka! co to znaczy?
Czy ty chora? (Kaśka milczy). Czy ty nie
śmiesz dotykać się świętości?

Kaśka (z rykiem pada na kolana). Matulu! Matulu!...

Olejarkowa. Nieszczęśliwe dziecko!
(Chwila milczenia. Słysząc powoli gasnący
śpiew dziewcząt).

Olejarkowa. Na takiż wstyd i hańbę ja cię porodziłam! na toż ja cię mlekiem
swojem wykarmiłam!... na toż cię wychowałam!...

Kaśka (łkając gwałtownie). Matulu! przebaczcie!

Olejarkowa (tłumiąc łzy). Opowiedzże, jak to się stało? jak do tego przyszło? No, mnie, matce, powiedzieć wszystko możesz... Pocóżby my matki były na świecie! Powiedz, któż to taki?

K a ś k a (klęcząc). To Jan.... służy za stróża w tej kamienicy, gdzie ja jestem w służbie. Zaraz od pierwszego wieczora, jakem nastąpiła, zaczął zemną chodzić... Jenó, matusiu, on zawsze chodził w ucziwych zamiarach, zawsze była mowa o ślubie...

O l e j a r k o w a. Czemuż on z tobą nie przyjechał prosić nas o ciebie, jak Bóg przykazał?

K a ś k a (zakłopotana). Kiedy to w mieście to jensze obyczaje. A potem, ten Jan to strasznie ambitny. Ja mogę się matce przysiędź na wszystkie świętości, że ja długi czas to od niego uciekałam, jak od ognia. Ale mnie tam, w tem mieście, to bardzo ciężko wybyć pomiędzy obcymi i to wszystko nieprzychylnymi ludźmi.. Żeby mama wiedziała jak mi te sługi insze dokuczały, jak mnie zębowwały, to mnie nieraz aż wnetrzności bolały—ale cóż, nie mogłam nic, bo ich cała kamienica, a ja jedna.

O l e j a r k o w a. Czegóż one od ciebie chciały?

K a ś k a. Abo ja wiem! Nazywały mnie tłomokiem, garnkotłukiem, parzygnatem.... spokojnie bez dziedziniec mi przejść nie dały. Nieraz już myślałam, że zwaryuję, bo to i służba ciężka i nieraz się jeść chce i człowiek scharowany, jak ten pies, a tu jeszcze ludzkie drwiny znosić musi. Najgo-

rzej było mi w niedzielę. Po obiedzie niewiadomo, co robić. Inne dziewczęta idą na spacer, a ja sama, jak ten pies bez pana, płacząc się po ulicy i żadnej zabawy nawet nie mam. Tak wtedy podsunął się ten Jan i zaczął do mnie dobrze i po ludzku gadać. Inne dziewczęta w złości, bo ten Jan to taki, co to za nim wszystkie kobiety przepadają, ale Jan im zapowiedział, żeby się mnie nie czepiały. One się przestraszyły i zostały mnie w spokoju... no i tak jakoś...

O l e j a r k o w a. Czemu ty się, Kaśka, nie modliła?

K a ś k a. Modliłam się ja, matulu, ale to mi tego kochania odemnie nijak odpędzić nie mogło... (Po chwili). Ja się bardzo namęczyłam, matulu! To już i łez nie miałam rano, tyle w nocy się napłakałam! A ty byłaś daleko — gdzie tu pójść po radę?... gdzie?

O l e j a r k o w a. A twoja pani?

K a ś k a. E! moja pani słuchaćby o tem nie chciała; a potem, ja nie miałam do niej śmiałości...

O l e j a r k o w a. No—co teraz będzie?

K a ś k a. Ano—ja właśnie względem tego tu przyjechałam, matusiu.

(Olejarek wchodzi niepostrzeżony przez kobiety i zatrzymuje się w głębi sceny).

S C E N A XII

TE SAME, OLEJAREK w głębi.

Olejarkowa. No, gadaj, co zrobić? Trza, żeby się to jakoś wszystko naprawiło!

Kaśka. Jan powiedział, że się inaczej zemną nie ożeni, tylko, jak ja będę miała kilkaset papierków.

Olejarkowa. Jezus Marya! a zkadże ty tyle pieniędzy wezmiesz?

Kaśka. Ja nie mam... ale...

Olejarkowa. Kilkaset papierków!.... Ale to jakiś ladaco ten Jan! Odebrał ci honor, zgubił cię na całe życie i teraz jeszcze chce, żeby mu zapłacić za ślub!... No! no! Czy to tam dużo takich rarytasów w tem mieście?

Kaśka. Bo... ten Jan to nie taki zwyczajny stróż... to inszy... A potem, ja myślałam, że kiedyś może mnie tam tatuś co da, jakbym za męża szła. No, to... i teraz...

(Olejarek wpada gwałtownie).

Obie kobiety. Ojciec!!!

Olejarek. Jakbyś szła uczciwie za męża, po Bożemu, z domu rodzicielskiego — tobym dał może i grosz jaki. Zadłużyłbym się, zapożyczył i dał. Ale tak!... nie dam

nic! słyszysz! ty ulicznico, co hańbę pod dach nasz wnosisz!...

K a ś k a (włóczęc mu się u nóg). Ta-tulu!

O l e j a r e k (zdzierając jej wieniec z głowy). A te kwiaty wara ci nosić! bo to jeno uczciwe dziewczęta mogą w nich chodzić! A teraz wynoś się precz!... słyszysz! precz!

O l e j a r k o w a. Miejże litość! przecież to nasze dziecko!

O l e j a r e k. Nie moje! Ja mam same uczciwe dzieci, a nie takie ładacznice z miasta! Wracaj do swego kochanka i powiedz mu, że twój ojciec nie posag, ale sto kijów mu dać może za jego łotrostwo! I niech mi się pod oczy nie nawija, bo zabiję, jak psa! I ty też precz mi z oczów! Precz!

(Wyrzuca Kaśkę za drzwi).

K a ś k a (czepiając się ścian). O Jezu! O Jezu!

O l e j a r k o w a (wyrzuca za nią chustkę). Weź choć swoją chuścinę!...

(Słychać w oddali śpiew dziewczyn. Długa chwila milczenia. Olejarkowa upadła na krzesło i cicho płacze, Olejarek oparł się o stół i założywszy ręce przed siebie, patrzy w ziemię).

O l e j a r e k (wyciągając rękę ku drzwiom, poza któremi słyszeć coraz bliżej śpiew dziewcząt). Matka! tamte nasze dziewczyny nie pójdą do miasta na służbę!

(Zasłona powoli spada).

AKT CZWARTY.

Scena przedstawia ulicę; zmrok; przed bramami domów stoją gromadki sług, schodzą i wchodzi przechodnie. Zdaleka widać na posterunku policyanta. Dzieci bawią się na środku ulicy. W tylnej dekoracyi szynk, oświetlony później; ludzie ciągle wchodzi i wychodzą z szynku.

SCENA I.

Za podniesieniem zastony MATEUSZ, TOMASZ i JÓZEF kończą polewać ulicę.

M a t e u s z. A czemuż to beczkę z siawką tędy nie poślą?

T o m a s z. A jakże chce Mateusz, żeby w tej ciasnocie zawróciła! Toż to nie ulica, ino zaułek

M a t e u s z. No, to bez co polewać, kiedy mało ludzi chodzi?

T o m a s z. No — ale bechy, co tam się uganiają, to mało robią kurzu?

M a t e u s z. Prawda! A to przekłete dzieciaki! Będziecie wy cicho! pójdziecie mi ztąd precz! (Rozgania dzieci miotłą).

T o m a s z. Wie co Mateusz, Józefowej już na śmierć idzie.

M a t e u s z. Nie gadajcie!

T o m a s z. Ano, jakże ma być inaczej? Baba cherłała, cherłała, aż jej prawie już wszystkie płuca wyszły.

M a t e u s z. Prawda! (Dzieci nadbiegają z wraskiem). Pójdziecie mi ztąd, hołoto!...

T o m a s z. Dajta Mateusz im spokój! A gdzie się ta biedota będzie bawiła?

J ó z e f (zbliża się powoli). Wiecie już, że moja umiera?

T o m a s z. Ano, wiemy! Aleć jeszcze nie umarła—może się wygrzebie.

J ó z e f. Ale... doktor mówił, coby ją na świeże powietrze wysłać... ale gdzie ją wysłać i o czym? At!...

S C E N A II.

CIŻ SAMI i JAN.

J a n. Jak się macie! O czym tak rajcujeście?

J ó z e f. Ano, o mojej babie!

J a n. Z babą wieczny kram! Czego to się żenić? Ja się tam nie ożenię!

(Polewa ulicę).

M a t e u s z. Ba! Jan to co jenszego. Za nim ciągną dziewczyny, jak za miodem muchy—to mu dobrze. Ale jenszy, co na niego nawet kobiety nie spojrzom, to radby se mieć choć jedną przy sobie i już tak bez całe życie.

J a n. Ojej! bez całe życie jedna? A toć się sprzykrzy zaraz po dwóch tygodniach! Ja tam już patrzeć nie mogę na taką, co chciałaby, żebym ją dłużej, jak tydzień. Ja lubię zmiany. I miejsca długo nie zagrzeję i bab jednych nie lubię...

M a t e u s z. Jan-by chciał miejsce zmienić?

J a n. A jakże... Chciałbym być posługaczem we śpitalu.

T o m a s z. Ojej! co też to Jan wygaduje! Posługaczem toć gorzej, niż stróżem!

J a n. Co wy tam wiecie, głupie stróże! Taki posługacz we śpitalu to prawie jak sam pan doktor. On lekarstwo daje i choremi rządzi. Czasem to więcej znaczy od samego doktora i bele kto posługaczem nie może być. Trzeba nawet zdawać egzamin, a jakże... po łacinie.

T o m a s z. Pan Jan po łacinie umie?

J a n. Naturalnie, że umiem. Abo to ja nie posługiwałem panom studentom — o!... panu Trawińskiemu z pierwszego, co teraz już doktorem został. Ja tyle umiem, co on—

ojej! wielka sztuka za rękę brać i język oglądać! Albo to co wielkiego nauka! Phi!... to tylko tak się zdaje, ale zbliżka...

J ó z e f. Ano, kiedyście tacy mądrzy, to poradzcie co mojej babie.

J a n. Kiedy ja to taki specjalista od prawego ślepie, a nie od bab.

S C E N A III.

CIŻ SAMI i DOKTÓR TRAWIŃSKI.

T r a w i ń s k i (młody, przystojny chłopak). Mój Janie! ja wychodzę. Gdyby tu do mnie od chorego przysłali, to powiesz, że jestem na konsylium i że będę w domu za dwie godziny.

J a n. Dobrze, proszę łaski pana doktora! A wedle tego szpitala, jakże tam, panie doktorze?

T r a w i ń s k i. Mówiłem już z administratorem. Niedługo będzie wakans, bo jeden z posługaczy jedzie do domu. A gdzie chcesz być? u gorączkowych?

J a n. Mnie tam wszystko jedno — byle być!

T r a w i ń s k i (spogląda w bramę). Także masz zamiłowanie!

J a n. Zamiłowania to ja tam nie mam, ale widzi pan doktor, ja i miotła—to do siebie nie pasujemy. Mnie się też niecoś le-

piej na świecie należy, niż polewać ulice i zapalać lampki. A tak, we śpitalu, to człowiek ma jakieś znaczenie i uważanie. I drugim rozkazuje i wszyscy go słuchają.

Trawiński. Aha!... To ci o to chodzi?

Jan. A jakże. Niech i ja porozkazuję innym.

Trawiński. W szpitalu także ci będą rozkazywać.

Jan. Tak, ale honornie! A tu pierwszemu lepszemu za szóstkę kłaniaj się i w nocy wstawaj, a do bramy leć. Strasznie mi się to uprzykrzyło.

Trawiński. Słuchaj-no! czy pani Bukowska wyszła już z domu?

Jan. Nie widziałem, panie doktorze.

Trawiński. A, oto ich sługa. Zapytaj jej, czy pani jest jeszcze w domu.

Jan. Niech pan doktor sam zapyta, bo ja z nią nie gadam.

Trawiński. E! odkąd to?

SCENA IV.

CIŻ SAMI, KAŚKA i JULKA. Kaśka wychodzi z domu po lewej stronie, Julka z koszykiem z prawej. Kaśka trzyma w ręku duży garnek z pokrywą. Julka idzie w głąb, zastępuje jej drogę Mateusz.

Mateusz. Panna dokąd?

Julka. Po bułki do herbaty.

Mateusz. A rogatkowe?

Julka. Wstydź się Mateusz! Niech mi Mateusz nie zastępuje drogi, potem pani powie, że znów przed bramą wystaję.

Trawiński (do Kaśki). Gdzie pani?

Kaśka (bardzo blada i mizerna). Idzie—schodziła zemną ze schodów.

Trawiński. Coś bardzo Kasia zbladła, nie taka rumiana, jak wtedy, gdy stała.

(Patrząc w bramę, przesuwając jej ręką pod brodę; Kaśka cofa się ze złością).

Bukowska (ubrana jak do wyjścia, wychodzi z bramy). Kasiu!... jeszcze tu jesteś? (Spostrzega Trawińskiego). A! pan doktor? co za niespodzianka! (Do Kasi). Wracaj na górę, pan się niecierpliwi.

Kaśka. Zaraz, proszę pani, tylko powietrza nałapię.

Bukowska. Trzeba było łapać na dziedzińcu.

Kaśka. Kiedy wczoraj pan mówił, że stęchłe...

Trawiński. Cóż to za nowa mania?

Bukowska (odchodząc, Trawiński jej towarzyszy). Przywidziało się mojemu mężowi, że Kaśka może mu przynieść w garnku świeże powietrze.

Trawiński. A, to szczególnie!... Czy pani pozwoli sobie towarzyszyć?

Bukowska. I owszem!

(Wychodzą).

Julka (do Mateusza). Widzieliście, jakie to maniery wyprawiają, a cały świat wie, że się ku sobie mająm. Albo ta moja to teraz...

(Kończy mówić pocichu).

Kaska (powoli podchodzi do Jana, który pali fajkę przed bramą). Janie! a kiedy się zemną rozmówicie?

Jan (obojętnie). Jaka tam długa między nami rozmowa! O czym tu gadać?

Kaska (dławiąc się łzami). Jakto o czym gadać? No, o naszym ślubie!

Jan. A ma Kasia pieniądze?

Kaska (cicho). Nie.

Jan. No, to jakże się żenić? na biedę? co? Ja sam nie mówię, że się z Kasią nie ożenię. Nie! Ale przedtem niech Kasia postara się o jaki grosz. Taki chłop, jak ja, to się przez posagu żenić nie może. Tak samo i u państwa jest, że za mężczyznę na męża płacą, a do panny zawsze dopłacają.

Kaska. Kiedy mnie ojciec wygnał i słyszeć nawet nie chciał mojej prośby.

Jan. No, to cóż ja na to pannie Kasi poradzę?

(Chwila milczenia).

KAŚKA KARYATYDA.

K a ś k a. Możeby pan Jan chciał sam do ojca pojechać i poprosić go o mnie.

J a n. Albo to się opłaci? Po co mnie aż jeździć, prosić o dziewczynę, kiedy mnie się tu rodzice naprzykrzają sami i dają córki i to z posagiem, a jakie porządne! ho! ho!...

K a ś k a. Pan Jan nie ma serca!

J a n. Albo to prawda! A zresztą, co tam serce, to ino mięso, tak jak żołądek w ciele! Niech-no Kasia tylko zajrzy do książki medycynierskiej, to się przekona.

K a ś k a. Może... ale ja wiem, że mnie bez pana Jana strasznie serce boli.

J a n. Albo to Kasia pierwsza, co beze-mnie cierpi! Ja już do tego zwyczajny.

(Rozpiera się przed bramą).

SCENA V.

CIŻ SAMI, MARYNKA.

M a r y n k a (wchodzi z psami). Dobry wieczór panu Janowi!

J a n. Dobry wieczór pannie Marynce!

M a r y n k a. Jak to też pan Jan mógł tyle błota narobić na ulicy!... Moje psy nigdy nie przejdą suchą nogą, a potem, jak się obłocą, to będę je kąpać musiała.

J a n. To pannie Marynce pomogę psy przenieść.

M a r y n k a (wdzięcząc się). Bardzo pan Jan jest grzeczny.

J a n. Jakże nie być grzeczny, kiedy panna Marynka taka miła...

(Przenosi psy; Marynka ogląda się na Kaśkę i podchodzi ku Julce i Mateuszowi).

M a r y n k a. Jak się panna Julka ma? Idzie panna Julka po bułki?

J u l k a. Ano, idę.

M a t e u s z. A tak, już od godziny.

J u l k a. A cóż to, abo mi się spieszy, czy co? Niech tam se państwo poczekają!

M a r y n k a. Ojej! a co oni jenszego mają do roboty?

(Rozmawiają pocichu).

K a ś k a (do Jana gwałtownie). Ty się z tą Marynką pogodził?

J a n. Albo ja się z nią kiedy gniewał?

K a ś k a. Niby to! Nie udawaj! Ale ty wiesz—mnie w kamienicy doleciało do uszów, co o tobie i o niej mówią...

J a n. A tobie co do tego?

K a ś k a. Jakto mnie co do tego? Przecie my się mamy pobrać, to mnie musi być do tego...

J u l k a (do Mateusza i Marynki). Patrzcie-no, jak tam Kaśka Jana napastuje.

M a r y n k a. Ano, to się wie... Taka dziewczyna bez wstydu to natrętna jest. Pan Jan

mówił mi wczoraj, że mu się znudziła okrutnie.

J u l k a. To ty znów dobrze z Janem jesteś?

M a r y n k a. Abo ja z nim kiedy byłam źle?

J u l k a. Ano—wydziwiałaś, że stróż.

M a r y n k a. E! tak sobie, przez żart... A potem, Jan długo stróżem nie będzie.

M a t e u s z. Jeszcze się pobierzecie...

M a r y n k a. Ano... kto wie! On tam o żenieniu gadał.

M a t e u s z. Panna Marynka ma podobno cztery akcye Karola Ludwika?

M a r y n k a (udając zdziwienie). Ja? ale, gdzie zaś!

(Mówią pocichu).

J a n. Niech mnie Kasia zostawi w spokoju. U mnie jest zawsze jedno słowo; jak panna Kasia będzie miała posag, to się z nią ożenie.

K a ś k a (przerywanym głosem). Pan Jan wie, że ja nic nie mam. Pan Jan wiedział i przedtem. Pan Jan przecież gadał, że o pieniądze nie dba!...

J a n. E! nudzi mnie panna Kasia! Dobranoc!

(Kaśka wbiega do bramy bardzo szybko).

SCENA VI.

Jan opiera się o bramę nuci przez zęb y
Ściemniło się; latarnik zapala latarnie; w szyn-
ku zaczyna grać katarynka. Julka i Maryn-
ka odchodzą. Mateusz i Tomasz idą przed
swoje bramy i stają, paląc fajki. Z szynku
wychodzi JÓZEF, trochę pijany, podchodzi
do Tomasza, który stoi w głębi.

J ó z e f. Już mam trochę kurażu. Napi-
łem się dwa kieliszki i zaraz-em mocniej-
szy. Niosę i mojej trochę wódki różanej...
bardzo taką wódkę lubiła... niech się przed
śmiercią napije.

T o m a s z. Ano, pewnie, niech się na-
pije.

J ó z e f. Nachlała się bez tę chorobę le-
karstw i różnych paskustw, to niech choć
do trumny dobry smak poniesie... Strasznie
tę różaną lubiła... Biedna kobieta! Jakże
ja z temi dzieciskami tak sam teraz w tej
norze ostanę! Ano...

T o m a s z. Trza się będzie ożenić!

J ó z e f. Ano, trza!

(Wchodzi do swojej bramy).

SCENA VII.

JAN, TOMASZ, MATEUSZ, później JULKA,
MARYNKA; zwolna wychodzą z bram sługi,

zatrzymują się przed bramą, przed stróżami. Niektóre mają koszyki na bułki, inne konewki. Stają gromadkami i rozmawiają. CZEMPIELEWSKA wychodzi z bramy w chustce na głowie.

Jan. Dobry wieczór pani Czempielewskiej!

Czempielewska. Dobry wieczór panu Janowi!

Jan. A czemu to pani Czempielewska taka nieswoja?

Czempielewska. E! nie mi tam!

Jan. Ale!... skwaszona pani Czempielewska, jak środa na piątek.... No!... kiedyż ślub?

Czempielewska (z wrzaskiem). Jaki tam ślub?

Jan. Ano, pani Czempielewskiej z tym słodkim karmelkarzem?

Czempielewska. Ojej! o mój Jezu! ażeby ten karmelkarz był świata Bożego nie oglądał! ażeby był się skreślił, zanim się do mnie przyplątał! Taki obdartus! taki wisielak! taki korniszon!

Jan. Bez co on teraz korniszon, kiedy jeszcze niedawno tak się Czempielewska z nim wodziła i romansowała na śmierć?

Czempielewska. A bóm nie wiedziała, że to grandziarz.

J a n. Ojej! grandziarz? Wziął panią Czempielewską na grande?

C z e m p i e l e w s k a. A jakże!

J a n. Pani Czempielewska mu pewnie dała pieniądze.

C z e m p i e l e w s k a (z bekiem). Ano, tak ci! dałam mu moje pieniądze, a on krzywdzieciel wzion i ani się pokazał!

J a n. Może jeszcze przyjdzie.

C z e m p i e l e w s k a. Ale!... wyjechał i ani śladu po nim niema! Ojej! taka krzywda! Trzysta florynów mu krwawo z koszykowego uzbierałam! Ale go pomsta Boża dosięgnie. Jużem skargę na niego do policyi podała... Karmelkarz! widzicie go! karmelkarz! a kobity siroty okrada!
(Wychodzi, zawodząc; sługi przed bramami się śmieją).

M a t e u s z. Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie karmelkarza.

M a r y n k a (która powraca z Julką, zatrzymuje się chwilę w głębi i słucha skarg Czempielewskiej). Dobrze jej tak! Żeby mnie usłuchała i kupiła Karola Ludwika, a nie trzymała pieniędzy w kuferku, toby teraz mogła bez policyę lumery ogłosić i złapać złodzieja.

J a n (z galanterią). Panna Marynka taka mądra, jak jaki bankier żydowski.

M a r y n k a. Jak kobita sama na świecie, to musi wiedzieć i to i owo, żeby jej nie skrzywdzili.

J a n. Ma panna Marynka recht. Kobieta powinna umieć się sama obrócić i dać sobie rady. Panna Marynka to zuch dziewczyna.

M a r y n k a. E! ja tam nie żaden rarytas. Tylko nie chciałabym paść ludziom na pośmiewisko, jak jaka Kaśka. To nie honornie i to wstyd.

J a n. Czego mnie panna Marynka Kaśką rekuje? Ja do Kaśki nie mam. Ona swoim dworem, a ja sweim.

M a r y n k a. E... dawniej to inaczej bywało.

J a n. To było dawniej, a nie teraz. Jakie też to panna Marynka ma śliczne oczy... niczem gwiazdy na niebie... (chce się zbliżyć, ale pies na ręku Marynki warczy). Że też to panna Marynka ciągiem piastuje te kudłate dyabły.

M a r y n k a. Ano, bo mi bez te pastrany to moja pani dobrze płaci. (Uderza nogą psa). Ale ja, to je tak kocham, o!

J a n. Dziś sobota — żeby tak panna Marynka miała wolne, toby mogła pójść zemną naprzeciwno potaćcować trochę...

M a r y n k a. Ano, dobrze; jeno psy na górę odprowadzę. Niech pan Jan idzie pierwszy, a ja zaraz tam przyjdę.

J a n. Dowidzenia pannie Marynci!

M a r y n k a. Dowidzenia panu Janciowi!
(Do psów). Chodźcie, koczkodony!
(Powoli sługi się rozechodzą i wchodzą do
bram).

S C E N A VIII.

JAN, MATEUSZ, TOMASZ, JÓZEF, później
KAŚKA.

M a t e u s z (do Jana). Cóż to? znów się
do Marynki zalecacie?

J a n. Abo to mi nie wolno? A na co
baby stworzone?—aby się do nich zalecać.

(Józef wchodzi z flaszką).

M a t e u s z. Ano i jakże tam?

J ó z e f. Ano, ucieszyłem ją strasznie.
Wypiła i powiada: „Józefku, to jakby mi
róże zapachniały... Przynieś ty mi jeszcze
malinówki, to mi się przypomni, jak ja by-
łam mała u rodziców i maliny w lesie zbie-
rałam...” A ja w ryk i dzieci też w ryk!...
a ona: „Nie płaczcież, bo mi teraz lepiej
i lżej...” Więc ja do szynku po malinówkę,
inom się już wysupłał i nimom ani centa.

M a t e u s z. Ano, to macie szóstkę.

T o m a s z. I ja tu wam pożyczę sześć
centów. Umierającemu należy radość zrobić.

J ó z e f. Ano, Bóg wam zapłaci! Bóg wam
zapłaci!

(Wchodzi do szynku, Mateusz i Tomasz rozmawiają w głębi).

K a ś k a (w chustce na głowie wybiega z bramy i dopada do Jana). Janie!

J a n. No co?

K a ś k a. Janie! ja chciałam was prosić, żebyście przyszli na górę. Napijecie się herbaty, jest pieczeń z obiadu i pani mi dziś dała duży chleb z masłem. Ja pójdę i kupię tytuniu i serdelek.

J a n. Nie chcę. Niech Kaśka mi da spokój! Ja mam co innego do roboty!

K a ś k a. Jan już nie chce przychodzić do mnie do kuchni? Jakże to będzie? Ja pani prosiłam o pozwolenie i powiedziałam, że Jan to mój narzeczony.

J a n. Bardzo się panna Kaśka pospieszyła z takim nazwaniem.

K a ś k a. Tak było pomiędzy nami zaprzysiężone. Pan Jan nie może o tem zapomnieć. Pan Jan sam się z tem mi ofiarował wtedy, kiedy to mnie tak uhonorował na festynie.

J a n. Abo to prawda!

K a ś k a. Jakto abo to prawda? A toć tę przysięgę pana Jana słyszał i Pan Jezus i święci anieli! A toć pan Jan kłął się na Matkę Najświętszą, że ma do mnie uczciwe zamiary.

J a n (paląc fajkę). Nie trza było tak prędko uwierzyć.

K a ś k a. Jakże nie uwierzyć? A toć pan Jan uczciwy człowiek. Zawsze tak pięknie mówił. Ja musiałam wierzyć... jakże można było inaczej?

(Chwila milczenia. Katarynka ciągle gra).

J a n (nagle). Dobranoc!

(Chce odejść).

K a ś k a. Gdzie Jan idzie? To Janowi już ciężko nawet zemną przed bramą postać?

J a n. Kompania na mnie czeka.

K a ś k a. Ja też już cztery dni od powrotu ze wsi czekam, żeby się z panem Janem uczciwie rozgadać. Pani moja to się już pytała: „No i cóż, ten twój narzeczony?”

J a n (gniewnie). Niech Kasina pani pilnuje swego nosa i swego pana doktora, a nie mnie!

K a ś k a. Niech pan Jan nie dogaduje na moją panią, bo ja ją zawsze obronię! To jest dobra pani i bardzo bez swego męża nie-szczęśliwa—a pan Jan to bele czego się cypi, aby sprzeczki zemną teraz szukać! (wybuchając płaczem). Co ja panu Janowi zrobiłam, żeby pan Jan mnie tak krzywdził? Czy nie byłam dla pana Jana dobra?

J a n. Właśnie—była Kasia za dobra. Nie trza było być taką dobrą. Kasia chłopów

jeszcze nie zna i nie wie, jak z nimi postępować należy.

K a ś k a (łkając). A zkażde ci to miałam znać? Jan pierwszy przecie tak do mnie gadał. Ale niech mnie Jan nie krzywdzi tak i do mnie tak się nie odzywa. Ojciec mnie z domu wygnał bez Jana, a tu Jan jeszcze mnie sekuję. To cóż mnie zrobić? cóż? Niech Jan sam powie?

J a n. Iść na górę, służby pilnować, a mnie ostawić w spokoju
(Wchodzi do szynku, naciskając czapkę na głowę).

S C E N A IX.

K a ś k a (sama). O Jezu! o Jezu!... (opiera się o mur kamienicy i łka długą chwilę). Jaki to mój los! jaki to mój los! Co ja teraz pocznę!? Poszedł do szynku na tańce! Ani się za mną nie obejrzał, a mnie aż serce pęka! Myślałam ja, że go rodzicom jak męża przywiode i tatuś da się przebłagać... a tu kiedy? kiedy będzie ten ślub? Abo ja wiem. O Jezu! O Aniele Stróżu, gdzie Ty? czy Ty mnie już całkiem z pod Twoich skrzydeł wypuścił, tak na wieczną mękę?... (Chwila milczenia). Dawniej, jakem tak posłyszała katarynkę, to mnie radość za serce chwytała, a teraz to mi się furt przypomina,

jakeśmy to tańczyli na Wysokim Zamku i żalność mnie taka chwytła, że zdaje mi się, już... już... dusza mnie opuści. (Chwila milczenia). Mówili mi w kamienicy, że Jan umizga się do Marynki... Co jej po nim? A żebym tak jej powiedziała całą moją biedę, to może ona sama ostawiłaby go w spokoju i on się do mnie wrócił...

SCENA X.

MARYNKA w kopendach zielonych wychodzi z bramy.

K a ś k a (na str.). A, ot i ona; idzie do szynku! do niego! nie wytrzymam... powiem jej... czy co... (podchodzi nieśmiało do Marynki). Panno Marynko!

M a r y n k a. No... a niby czego?

K a ś k a. Ja bardzo — bardzo pokornie proszę pannę Marynkę, przepraszam... ale ja tak do panny Marynki przychodzę i jak kobieta do kobiety gadam... Panna Marynka mnie rozumie... że ja... bo...

(Słowa więzną jej w gardle).

M a r y n k a. Nic nie rozumiem... Proszę gadać wyraźnie, albo mi drogi nie zastępować, bo na mnie w szynku czekają.

K a ś k a (ze łzami). To też... właśnie ja chciałam prosić, żeby panna Marynka tam nie szła.

M a r y n k a. Niby bez jaką przyczynę?

K a ś k a. Bez taką, że Jan tam na pannę czeka...

M a r y n k a. A żeby tak, to i co?

K a ś k a. No... Jan niby już nie jest wolny... i...

(Zaczyna płakać).

M a r y n k a. Jan nie jest wolny? proszę! pierwsze słyszę! Muszę się go o to zapytać! Kiedyż to on się związał i z kim?

K a ś k a. Ano, zemną i to oddawna.

M a r y n k a (wybuchając śmiechem). Z Kaśką? z Kaśką? Zwaryowała Kaśka, żeby takie wiązanie brać na seryo; Jan z Kaśką żartował, jak z innemi dziewczynami. To wiadomo. On już miał więcej takich narzeczonych, jak gwiazd na niebie! Toż i z Kaśką taki pan Jan nie może się ożenić, bo on potrzebuje żony z edukacją, helegantki i z pieniędzmi.

K a ś k a (hamując się). Może takiej, jak panna Marynka!?

M a r y n k a. Może!... Tylko ja nie jestem taka głupia, jak Kaśka, i wiem, jak to z Janem postępować potrzeba. Panna Kaśka sama sobie winna, że się zblamowała, ha! ha! ha! Trzeba było mieć sprytu choć za centa.

K a ś k a (j. w.). Ja tam nie zalotnica, to nie wiem, jak trzeba mężczyzn manić. Aby to potrafić, trza na tem zęby zjeść.

M a r y n k a (obrażona). Niech Kaśka mnie puści!

K a ś k a (nagle spokorniała i ze łzami). Nie! nie! niech panna Marynka nie odchodzi jeszcze i trochę mnie posłucha. Widzi panna Marynka, ja jestem sama na świecie, jak ten palec. Ojciec mnie bez to, że wdałam się z Janem, z domu wygnał i zakazał wracać do chałupy. I tak ja nigdy już nie będę widziała ani matki, ani moich sióstr. I tak mnie się ten jeden Jan ostał na świecie... bo ja już nie mam nikogo, aby do niego pójść, choć aby się wypłakać. A już nie gadam nawet, bo to samo się wie, że ubłaganie ojca stanie się bez to, jak Jan się zemną ożeni... Panna Marynka ma tyż pewnie rodziców i rozumie, że to strasznie serce boli nie widzieć ich... prawda? co? Panna Marynka jest dobra kobita i ostawi Jana w spokoju! (Coraz goręczkowiej, płacząc coraz rozpaczliwiej). Panna Marynka znajdzie stu kawalerów, a ja przez Jana to już chyba zgine, bo i tatuś nie przebaczy... i chyba już w wodę się rzucić... (wyciągając ręce). Niech mi panna Marynka Jana ostawi! ja tak pięknie pannę Marynkę o to proszę!

M a r y n k a (wyniośle). Kaśka jest głupia i nudna! Ja przecie Jana do siebie mocą nie ciągnę... Że Jan sam za mną idzie, to nie moja wina. Niech się Kaśka Jana czepia, a nie mnie!

(Wbiega do szynku).

SCENA XI.

KAŚKA, później MATEUSZ.

K a ś k a (z rozpaczą). Poszła... poszła za nim! o Jezu! mnie już nie żyć na świecie! Ja przecie do tego szynku wejść za nimi nie mogę, boby mnie wygnali i wyśmieli. Czemu to ja nie jestem taka, jak te inne w mieście?—i wygadana i sprytna i w głowie spryt mająca! Inna to wiedziałaby, co teraz zrobić, a ja nie...

(Osłania się chustką i podchodzi do okna szynku).

M a t e u s z (wychodzi z bramy). A któraż to tam dziewczyna tak się pod oknami słania? Hi! to Kaśka! Panno Kasiu, dobry wieczór! (na str.). Tęga dziewczyna, niema gadania.

K a ś k a. A, to pan Mateusz?

M a t e u s z. Ano... niby ja! A co to panna Kasia tak w tym szynku wypatruje?

(Kaśka milczy).

M a t e u s z. Ano, o zakład, że Jana! A to szczęśliwy chłop! wszystkie baby za nim latają, a on za żadną!

K a ś k a. Ale!

M a t e u s z. No! polata troszkę, bez tydzień, dwa... no i zawsze mu się uda! To nie tak, jak ja! Jan to wiercipięta, to lumer! I kobity straszne frajerki, że się na takie jego umizgi biorom. On już ze trzydziestu, a może i więcej przyrzekał, że się ożeni.

K a ś k a. I nie ożenił się?

M a t e u s z. Ano, jakżeby? Miałby już ze trzydzieści żon? Cała ulica! Każda do wszystkiego... Co przendzie bez Żółkiewskie, to mu padają na ręce. Oj! te baby! te baby to mają kołowaciznę. Jak owce! Jedna w ogień—dyr... dyr... dyr... inna za nią! Ano nie wie, co ją czeka i leci za drugimi... (Chwila milczenia). Panna Kasia też polała? co? ha!... no!... ale się chyba upamiętała... Przecie są inne chłopcy na świecie, nie tylko Jan... (z umizgiem). Ja sam to powiem, że mi się Kasia bardzo podoba i bardzo nadaje... Żeby tak Kasia była dla mnie dobrą... (chce ją objąć wpół; Kaśka go uderza kufakiem). Kiedy ja się z Kaśką ożenię, jak Boga mego kocham, ożenię!

K a ś k a (wydziera się). Niech mnie Mateusz puści!

M a t e u s z (wściekły). Phi! jaka mi dumna! Czego to panna tak dmie? Czego taka panna harda? Tego, że Jan już jej nie chce, a panna za nim lata? No, to niedługo będzie tego latania, bo Jan się żeni... ale nie z panną.

K a ś k a. Łżesz!

M a t e u s z. Ale!... żeni się i to z Marynką, bo Marynka ma dwie akcye kolejowe, a panna nic nie ma. I ma Jan recht. Może wziąć sprytną dziewczynę i pieniądze, to bierze — i woli, niż tam taką, jak panna Kaśka, łatyndę.

(Wchodzi do bramy).

K a ś k a (sama). On się ożeni z Marynką? O, niedoczekanie! a ja co? a ja co? (biegnie ku oknu). O! o!... jak to tańczą we dwoje... O! całują się!!!

(Porywa kamieni z ziemi i uderza w szybę, która z brzękiem wypada na ziemię. W szynku krzyk i hałas. Wszyscy wybiegają. Z bram wypadają stróże, dzieciaki pędzą z kątów—wszyscy krzyczą razem i gadają).

S C E N A XII.

KAŚKA, JAN, MARYNKA, JULKA, CZEMPIELEWSKA, ŻYD SZYNKARZ, TOMASZ, SŁUGI, DZIECI, ROBOTNICY, TŁUM, później POLICYANT i BUKOWSKA.

W s z y s c y (razem). Co się stało? Któs zbił szybę! Jakiś ulicznik! Mało mnie nie zranił! Policya! policya!

Ż y d s z y n k a r z. Teraz biją szyby u mnie? Co to takie brewerye! Gdzie policya?

(Kaśka cofnęła się na przód sceny; chce wpaść do bramy, lecz tłum otacza ją półkolem).

M a r y n k a. To ona musiała rzucić kamieniem! O, patrzcie, jeszcze jeden kamień w garści trzyma!

(Kaśka upuszcza kamień).

W s z y s c y. Prawda! Awanturnica! Łatynda! Pijaczka! Policya! Do becyrku! do kozy!

Ż y d. A czego ty, paskudna dziewczyna, rzucasz w moje szyby kamieniami? ha?

W s z y s c y. Czego? czego?

K a ś k a (wybuchając nagle). A wam co wszystkim do mnie, cholery jedne? Rzuciłam, bo mi się tak podobało! bo mi krew oczu zalała... Bo nie chciałam widzieć swego wstydu i przენiewierstwa drugich!

Ż y d. Ja ci dam wstyd, jak cię do becyrka poślę; pójdiesz do kozy! słyszysz?

K a ś k a (przerażona). Do kozy? ja? bez co?

Ż y d. Bo awantury wyprawiasz, ty paskudny grenadyr, ty!...

W s z y s c y. Ha! ha! ha! grynadyer! grynadyer!

K a ś k a (do Jana). Ja nie pójdę do ko-
zy! ja nie pójdę do becyrku! Janie, broń
mnie! nie daj mnie! nie daj mnie! Janie, to
wszystko bez ciebie!

J a n. Odczep się! Ja się z takimi, co
szyby po nocy tłuką, nie znam! słyszysz?

M a r y n k a. Tak! My uczciwe ludzie;
nam do takich łatyndów, jak ty, nie! sły-
szysz?

K a ś k a. O Jezu!

Ż y d. Policya! policya!

K a ś k a. Ludzie! bez miłosierdzie Boskie!
ostawcie mnie w spokoju!

W s z y s c y. Policya! policya!

P o l i c y a n t. Co się tu dzieje?

W s z y s c y (razem). To ta dziewczyna!
Kaśka! Sługa od Bukowskich! Okno wybi-
ła! Kamieniem! Upiła się! Kaśka! Grena-
dyer!

P o l i c y a n t. Cicho! gęby zamknąć na
kłódki! O co chodzi?

Ż y d. Pan komisarz sam osądzi. To ta
paskudna wielga dziewczyna upiła się!

K a ś k a. Nieprawda!

P o l i c y a n t. Cicho!

Ż y d. I wybiła szybę.

W s z y s c y. Tak! tak!

P o l i c y a n t (do Kaśki). Chodź do be-
cyrku!

K a ś k a. O Jezu! ja nie mogę! ja w służ-
bie, pan czeka! Ludzie, nie gubcie mnie!
Janie! panno Marynko!

P o l i c y a n t (chwytając ją za rękę). Da-
lej! bez lamentów, w drogę!

K a ś k a. A, chyba o mnie już Pan Bóg
całkiem zapomniał i bez tego łotra na ludz-
kie pośmiewisko oddał! (Wchodzi Bukow-
ska). A! wielmożna pani! Ratuj mnie, wiel-
można pani! Ja pani wiernie zawsze służy-
łam i wszystko robiłam tak, jak pani kaza-
ła! Niech mnie pani obroni! niech mnie pa-
ni do kreminału nie da, bo ja się chyba
uduszę!

(Okreśca szyję warkoczem).

B u k o w s k a. Jezus Marya! jak ona wy-
gląda! co jej jest?

W s z y s c y. Upiła się!

B u k o w s k a. Upiła się?

K a ś k a. Oni kłamią! to nieprawda! to
mnie tylko źli ludzie tak doprowadzili. Pa-
ni mnie zna, ja nigdy nie piję! Pani mnie
nie da wziąć do policyi!

B u k o w s k a. Ale ona doprawdy pija-
na! puść mnie!

(Ucieka do bramy).

K a ś k a. O Jezu! tera już znikąd dla mnie zmiłowania!

P o l i c y a n t. Chodź, chodź, nie marudź!

K a ś k a (lamentuje). O matusiu! matusiu! czemu ty mnie na mą dolę zatraconą na świat wydała! O Jezu! czemu Ty mnie pierwej nie uśmiercił, zanim ja do tego miasta przyszłam!

(Policyant wywłóczy Kaškę. Tłum biegnie za niemi, krzycząc, śmiejąc się i hałasując).

J a n (do Marynki). A my chyba wrócimy dokończyć tremblantkę?

M a r y n k a. Ojej! Choć mnie bez tę awanturę to strasznie nerwy się popsuły...

J a n. E! to się naprawią!

(Wchodzą wszyscy do szynku).

SCENA XIII.

Chwilę gra katarynka i scena pusta.

J ó z e f (wychodzi z szynku). Niosę jej tę malinówkę... Niech się jej choć przed skonaniem bór przypomni, kiedy już jej tak do głowy przyszło...

D z i e c i (wybiegają z bramy i rzucają się z płaczem do ojca). Tatlu, tatlu, matka skonali!

J ó z e f (upuszcza na ziemię butelkę).
O Jezu! skonali!

(Idzie, płacząc, ku bramie).

Zasłona spada.

AKT PIĄTY.

Scena przedstawia pracownię rzeźbiarską. W głębi wielkie okno, pod niem półka, na której leżą odlewy gipsowe, stoją statuetki z terrakoty i rozmaite odciski z gliny. Na środku sceny, cokolwiek na prawo, wysokie rusztowanie dla modelu, po lewej stronie podobne rusztowanie, trochę niższe, dla artysty. Zaczęty duży posąg kobiecy wielkości naturalnej i narzucony mokrą płachtą. Dookoła szafliki z gliną i przybory rzeźbiarskie. Kilka stołków, na lewo pod ścianą obdarta sofka. Za podniesieniem zasłony Niemowa wyłazi z poza sofki i znakami opowiada, że mu zimno i głodny. Jest to młody chłopiec, źle odziany i źle uczesany. Przez kilka chwil kręci się po pracowni.

SCENA I.

WODNICKI i NIEMOWA.

W o d n i c k i (wchodzi, całe palto i czapka zasypane śniegiem). Brr... psie zimno; może się tutaj człowiek trochę ogrzeje. (Po chwili). Zapomniałem, że od wczoraj nie-

palone. Ba... płachta aż steżała od zimna. Trzeba koniecznie trochę przepalić. Ale za co drzewa kupić? Wieczne w kieszeni pustki. Już mi ta sztuka kością w gardle stoi... Hej! ty, bezjęzyczny!

N i e m o w a. He! he!

W o d n i c k i (mówi bardzo wyraźnie i robi znaki odpowiednie). Idź, przynieś drzewa i napal w piecu.

N i e m o w a (pokazuje gestem o pieniądze).

W o d n i c k i. Nisztu geld!

N i e m o w a (robi ruch zrozpaczony).

W o d n i c k i. Niech cię dyabli porwą! Co to za lokaj, który nawet kredytu dla swego pana wydostać nie potrafi! Idź do dyabła!

N i e m o w a (smutny, powraca do swego kąta).

W o d n i c k i. Trzeba się zabrać do roboty. Powiadają, że jest jakiś święty ogień; ano, zobaczymy, co to za kaloryfer...

S C E N A II.

WODNICKI, SZERKOWSKI.

S z e r k o w s k i (wchodzi, pokryty śniegiem). Dzień dobry!

W o d n i c k i. Dzień dobry!

S z e r k o w s k i. Pracujesz?

W o d n i c k i. Usiłuję.

S z e r k o w s k i. Zimno tu.

W o d n i c k i. Jak w psiarni.

S z e r k o w s k i. W psiarni magnackiej
niemniej zimno.

W o d n i c k i. Racya.

S z e r k o w s k i. Ano i ty z magnackiej
psiarni.

W o d n i c k i. Ano, niby.

S z e r k o w s k i. A czemuż ta jaśnie
oświecona dama, która cię wysłała do Künst-
lerki do Wiednia, teraz się nie zatroszczy,
co robisz dalej w życiu?

W o d n i c k i. Bo ją to widocznie już nie
obchodzi.

S z e r k o w s k i. Ano, racya jest... Sko-
ro ją to przestało interesować... (po chwili).
Masz tytuń?

W o d n i c k i (pracując). Weź mi z kie-
szeni.

S z e r k o w s k i (wyciąga z kieszeni Wo-
dnickiego trochę tytoniu). Ja mam trochę
bibułki... Hej... bezjęzyczny... He!

N i e m o w a (wybiega).

S z e r k o w s k i (robi gest potarcia za-
pałki). Ognia!

N i e m o w a (wydobywa z kieszeni za-
pałkę, pociera o spodnie i podaje Szerkow-
skiemu, poczem ciągnie go za rękaw i robi
przymilające miny).

S z e r k o w s k i. Czego?

N i e m o w a (pokazuje na papieros).

S z e r k o w s k i. Ale... i zaraz, smyku jeden! Wiesz, Busnarott, i twój groom chce papierosa!

W o d n i c k i. Daj mu; od rana jeszcze nie nie jadł.

(Szerkowski daje niemowię papierosa, który, podskakując, idzie do kąta).

W o d n i c k i. Ty nie masz fajgli?

S z e r k o w s k i. Ani centa. Miałem dostać dziś zaliczkę na moją powieść, ale redaktorowi urodziła się córka i nie rozdaje zaliczek z powodu tej rodzinnej uroczystości. Muszę czekać do jutra.

W o d n i c k i. Śliczna sytuacja!

S z e r k o w s k i. Nietyle śliczna, ile wysoce tragiczna.

W o d n i c k i. Wiesz ty, że mnie już tak głód i chłód dokuczył, że nie mam nawet ochoty żartować.

S z e r k o w s k i. Wierzę, ale co począć? Nie będziesz przecie wyśpiewywał aryi bo-leści na temat: „góralskie dziecię, uwiedzione artystyczną chęcią pozostania geniuszem wśród mroźnej wichury nieczułego miasta“.

W o d n i c k i. Żartuj zdrów. Wolałbym teraz siedzieć spokojnie w chałupie u ojca

i zajądać grale ze słoniną. Byłbym szczęśliwszy...

S z e r k o w s k i. Lari fari, kochaneczku! Nie byłbyś tam szczęśliwy, bo kołacze się w tobie dusza rwąca i smutna, dusza twórcza, która swój ideał w garści więzić musiała. Ot, tak jak ja—to coś, co się we mnie kołacze i z bólu wyje, muszę na ćwiartkę papieru wiecznie wylewać. A ani ty, ani ja z tej formy nie jesteśmy zadowoleni—i dlatego tak się oto tułamy, tak się dręczymy... I tak będzie do samej śmierci.

W o d n i c k i. E, bajesz! Gdybyśmy mieli ciepły kąt, zapewnioną rentę, wszystko, co potrzeba do życia bez troski, nie czulibyśmy się nieszczęśliwymi i pracowalibyśmy spokojnie.

S z e r k o w s k i. To ty bajesz bez ładu i składu! My jesteśmy wieczne niespokojne duchy Izmaela społeczeństwa. Naszych śniegowic nie możesz nakryć szlafmycą. Jakże dzikiego konia zamknąć do stajni i przykuć go do żłobu, pełnego najdoskonalszego owsa? Zerwie się z łańcucha, albo—jeżeli więzów zerwać nie będzie w stanie — zdechnie. Tak samo i nam nie swojsko by już było przy żłobach pełnych owsa.

W o d n i c k i. Widać, że jadłeś wczoraj obiad!

S z e r k o w s k i. Nie jadłem, ale go przepiłem w pierwszej lepszej knajpie. Ja tam nie umiem usiąść do stołu nakrytego obrusem i jeść przyzwoicie ryby widelcem. Oduczyłem się tego, a właściwie... nigdy nie umiałem.

W o d n i c k i. Piszesz wszakże powieści, których historia dzieje się na wielkim świecie.

S z e r k o w s k i. A intuicyja, panie tego? Czy to się już nie liczy? Zresztą, pisze się najczęściej o tem, czego się nie zna. To choroba chroniczna nas wszystkich literatów. Ale wracając do twego grooma — czemu ty go trzymasz, skoro nie masz za co żywić?

W o d n i c k i. Przyplątał się do mnie, raz gdy wracałem do domu, i zrobił na mnie wrażenie obłąkanego psa. Przytem góral, tak jak ja — z Tatrów... coś mnie ku niemu ciągnęło... Czułem się sam, myślę sobie: będzie nas dwóch. Daję mu jeść — jeśli mam; dziś od rana biegam za pieniędzmi i znikąd wytrzasnąć nie mogę.

S z e r k o w s k i. Bieda... panie radco!

W o d n i c k i. Ano bieda, panie radco.
(Wodnicki pracuje, Szerkowski chodzi po pracowni).

S z e r k o w s k i. No, a twój model konkursowy.

W o d n i c k i. Ho! do! dawno sprzedany.

S z e r k o w s k i. Bieda, panie radco!

W o d n i c k i. Ano, bieda!

(Chwila milczenia).

S z e r k o w s k i. Patrzcie, mam jeszcze w kieszeni cztery centy!

W o d n i c k i. Daj je niemowie.

S z e r k o w s k i. No, a ty?

W o d n i c k i. E! takich, jak ja i ty, to niech ogrzeje zdobyta inteligencya, a temu tam pozytywnemu człowiekowi to lepiej się przyda mularka i za trzy centy okrawków... (woła). He!...

N i e m o w a. He! he!... (pędzi ku Wodnickiemu)

W o d n i c k i (daje mu cztery centy). Kup sobie jeść! (Pokazuje na migi. Niemowa wydaje radosny okrzyk i, tańcząc, wybiega z pracowni).

S z e r k o w s k i. Wielka radość za cztery centy!

W o d n i c k i. Co chcesz, według stawu grobla.

S z e r k o w s k i. Mówmy o naszych dziełach, to nas ogrzeje i pożywi... Choć mnie się jeść nie chce... za dużo piję.

W o d n i c k i. Za dużo pijesz... ja często także. Ale cóż począć? Musimy się podnieść.

S z e r k o w s k i. Nad czem teraz pracujesz?

W o d n i c k i. Robię na obstalunek nagrobek dla wdowy po rzeźniku.

S z e r k o w s k i (pokazuje na zakrytą płachtą figurę). Co to jest—to tutaj?

W o d n i c k i. Ach! to mój nieziszczony sen...

S z e r k o w s k i. Cóż to takiego?

W o d n i c k i. Szkic do Karyatydy.... Wiesz, tej Karyatydy, której myśl powstała w mym umyśle pewnego popołudnia po wyjściu z wizyty od ciotki Bukowskiej.

S z e r k o w s k i. Pamiętam; zawlokłeś mnie wtedy na Wysoki Zamek i opowiadałeś, jakie to wspaniałe, panie tego, dzieła robiłbyś z tej Karyatydy.

W o d n i c k i (zapalając się). Aha! pamiętam; miałem projekt zrobić Karyatyde, dzwigającą świat cały. Miała to być kobieta z ludu, prosta chłopka, podpierająca całą ludzkość silnemi bokami swemi. Wróciwszy do domu, zabrałem się do dzieła. Miałem świeżo w pamięci postać tej dziewczyny, która zarysowała mi się nagle przed oczyma ciemnicy kuchennej. Lecz powoli zapał mój stygł. Nie miałem modelu pod ręką, zrobiłem projekt, ot ten; chciałem powrócić, aby namówić tę dziewczynę do pozowania—ale musiałem pracować, by zapłacić ratę

krawcowi i mieć z czego żyć. Karyatyda podpierająca świat wzięła w łeb, a sen mój nie ziścił się...

S z e r k o w s k i. Ba! każdy z nas ma w sobie taki sen nieziszczony; a wiesz, to może najlepsze! Pozwala nam to łudzić się nadzieją, że moglibyśmy stworzyć arcydzieło, gdyby nie warunki, nie macocha nędza i tym podobne brednie. Lecz raz dzieło zrodzone i przyobleczone w formy, złudzenie nasze rozwiąć musi. Pozostaje smutek i gorzycz zawodu. Niechże więc twoja Karyatyda spoczywa w całunie kurzu i złudzenia... Po co ma ożyć?...

W o d n i c k i. A jednak, gdybym miał model!...

S z e r k o w s k i. Model twój zapewne w tej chwili nastawia samowar lub roman-suje ze strażakiem.

(Słychać pukanie do drzwi. Muzyka ta sama, co w akcie pierwszym przy wejściu Kaśki).

W o d n i c k i. Kto tam?

(Pukanie).

W o d n i c k i. Proszę wejść!

(Na progu staje Kaśka, w podartej spódnicy i nędznej chustce, cała zasypana śniegiem).

S C E N A III.

C I Ź i K A Ś K A.

W o d n i c k i. Kto to taki?

K a ś k a (pokornie). To ja, proszę wielmożnego pana.

W o d n i c k i. Zamknij panna drzwi. Kto panna jesteś?

K a ś k a. Kaśka, proszę wielmożnego pana.

W o d n i c k i. Jaka znowu Kaśka?

K a ś k a. Ta, co służyła u ciotki wielmożnego pana.

W o d n i c k i (radośnie). Kaśka Karyatyda!

K a ś k a. Nie, proszę łaski pana. Ja się nazywam Kaśka Olejarek.

W o d n i c k i. Dobrze, już dobrze. No, a po coś przyszła? (Kaśka milczy). No, odpowiadaj!

K a ś k a. Ja... proszę wielmożnego pana, przyszłam niby po ten zarobek.

W o d n i c k i. Po jaki zarobek?

K a ś k a. Ano, bo wielmożny pan powiedział, że jak zechcę zarobić parę centów, to żebym przyszła do pana.

W o d n i c k i. A, chcesz pozować?

K a ś k a. Ja nie wiem, proszę pana, co to znaczy. Ale ja myślę, że to coś takiego, co uczciwa dziewczyna może robić... ja tam

wierzę i dlatego pana o tę robotę bardzo pięknie proszę.

S z e r k o w s k i. Nie jesteś już w służbie?

K a ś k a. Nie, proszę łaski pana.

S z e r k o w s k i. A to czemu?

K a ś k a. A to... (zaczyna płakać).

W o d n i c k i. Sercowa historia, za to ręczę. No, nie becz, bo ci nos spuchnie. A cóżeś taka znędzniała?

K a ś k a. Jakże nie mam być znędzniała... Musiałam znędznieć... Ach! (wzdycha; po chwili). Proszę pana, może jabym się wzięła do tej roboty.

W o d n i c k i. Dobrze, dobrze; chodź ze mną, to ci wytłómaczę, jak masz się ubrać i co mieć będziesz do roboty.

K a ś k a. Słucham wielmożnego pana.

S z e r k o w s k i (zatrzymując Wodnickiego). Szalony! czem jej zapłacisz za pozę?

W o d n i c k i. Daj mi pokój; mam gorączkę tworzenia. Ta dziewczyna spadła mi jak z nieba. Już mi nie zimno, chcę modelować.

S z e r k o w s k i. Ale czem zapłacisz za pozę?

W o d n i c k i. Zawołam handlarza i sprzedam mu tużurek.

S z e r k o w s k i. Zastanów się nad tem, co powiedziałem; nie staraj się ziścić twego snu. Twoje szczęście przepadnie.

W o d n i c k i. Proszę cię, nie psuj mi radości. Chodź, Kaśka...

(Wychodzą).

S C E N A IV.

SZERKOWSKI sam, później NIEMOWA.

S z e r k o w s k i. I to tak każdy, żaden nie ma odwagi nosić całe życie w sobie jakiegoś arcydzieła, które powinien znać on jeden tylko i nigdy nie dać mu form konkretnych i powołać do życia. Gdyż wszystko, co artysta na świat wyda, w porównaniu z pierwszą myślą, z której się poczęło to dzieło, jest tylko połowicznym i nieudanym płodem. (Wchodzi niemowa). Ot i groom bezjęzyczny. Zostawmy go samego z jego mularką i okrawkami. Ten przynajmniej ziści swój sen i nie będzie miał zawodu... Wszędzie sny i sny! O, Izmaele półsenne! już was za dużo na świecie. Ni kąta, ni strawy dla was, nic, nic...

(Wychodzi).

S C E N A V.

NIEMOWA sam; idzie do kąta, wyciąga stółek i nakrywa gazetą, układa bułkę, trochę okrawków z wędlin, wyjmując z kieszeni kozik i ma zamiar zasiąść do jedzenia. Przez uchylone drzwi z prawej wchodzi WODNICKI, a za nim KAŚKA, odziana draperyą z białego prześcieradła. Szyję i ramiona ma odsłonięte. Całe ciało spowite prześcieradłem, u nogi spiętem w grecki węzeł. Na szyi na tasiemce szkaplerze i medaliki.

W o d n i c k i. Chodź tutaj, na rusztowanie.

N i e m o w a (zobaczywszy Kaśkę, rzuca bułkę i wydaje krzyk podziwienia. Kaśka, przerażona, cofa się i zakrywa szyję i ramiona rękami).

W o d n i c k i. To mój służący, niemowa. Nie masz się czego wstydzić i zasłaniać szyi. No, dalej, chodź; ale zaczekaj, niech-no ja wpierw wejdę na rusztowanie, bo zdaje mi się, że się z tej strony trochę osunęło.

(Wchodzi po schodach na rusztowanie. Kaśka zostaje z przodu sceny, niemowa ciągle patrzy na nią z zachwytem).

K a ś k a. Boże, jak mi zimno, aż mi zęby dygocą. Jak to ja wyglądam w tem prześcieradle, niby na śmiertelny pochówek, czy co. I ręce tak gołe... O Jezu, Jezu! na co to ja zesłałam!...

(Zakrywa twarz rękami i pozostaje tak chwilę. Niemowa zbliża się ku niej i znakami daje do zrozumienia, że mu się Kaśka bardzo podoba. Dotyka leciuchno jej ramion i głaszcze się po piersiach, jakby zjadł coś smacznego).

W o d n i c k i. Ta część zupełnie bezpieczna. (Przechyla się i spostrzega niemowę). A ty tam co robisz? Idź mi zaraz do kąta! Patrzcie go, amator kwaśnych jabłek! Kaśka, jak wejdiesz na to rusztowanie, to trzymaj się zawsze lewej strony i nie idź na prawą. Słyszysz?

K a ś k a (szczękając z zimna zębami). Słyszę, proszę wielmożnego pana.

N i e m o w a (który uciekł do kąta, daje znaki, że Kaśce zimno. Stoi zafrasowany, nagle zrywa się i zaczyna łamać krzesło na kawałki, poczem idzie do pieca i rozpala ogień).

W o d n i c k i. Wejdź na te schodki i stań tutaj — tak. Czego się trzęsiesz? Nie bój się, nic ci złego nie zrobię. (Ustawiając Kaśkę w pozie Karyatydy). Stój tak; nie ruszaj się, słyszysz? nie ruszaj się. (Czer-

wone światło z pieca oświeśla Kaśkę; muzyka milknie. Wodnicki schodzi i zabiera się do pracy). A teraz do pracy! do pracy! To dziwne, zdawało mi się, że wszelki zapal wygaś we mnie i potrafię tylko robić na obstalunki nagrobki dla wdów po rzeźnikach. Tymczasem nigdy chyba nie miałem takiej gorączki i takiej chęci do pracy.

(Długa pauza; muzyka gra cicho).

K a ś k a (do siebie). O Jezu, ręce mi mdleją.

W o d n i c k i. Nie opuszczaj rąk! Teraz właśnie potrzebuję tych linii; podnieś trochę łokcie do góry. Co za Karyatyda, co za Karyatyda!

(Śpiewa półgłosem):

Sztuka, to bogów ukochane dziecię;
Gwiazdę natchnienia ma na swoim czole
I smutnym chmurne opromienia życie
I ma dla cierpień wielkich...

SCENA VI.

CIŻ, TRAWIŃSKI.

T r a w i ń s k i. Czy można?

K a ś k a. Ola Boga!

(Chce uciekać).

W o d n i c k i. Stać mi spokojnie na miejscu! Co to za idyotka! psuje mi pozę! Podnieść ręce... tak...

Trawiński. Fiu, fiu! masz modelkę?

Wodnicki. Jak widzisz—i jaką jeszcze Karyatyde! Widzisz? Spójrz i osądź sam! Wspaniałe? co?

Trawiński (kładąc monokl). Trywiałne! brak dystynkcyi! połączenie grube.

Wodnicki. E, co mi tam — ale linia jest i to wspaniała, przytem potęga, moc, jakiś majestat...

Trawiński. Ach, ty artysto! entuzyasto! Majestat! — przecież to prosta służa; zdaje mi się nawet, że ją poznaje — to Kaśka, która służyła u Bukowskich.

Wodnicki. Ja tam w tej chwili tego nie widzę, to jest dla mnie tylko kobieta — i to kobieta z ludu, nie spaczona wymaganiami cywilizacyi, nie zepsuta głupiem wychowaniem i żelazem gorsetu. A gdyby nawet przebijały się w niej herby służi, no, to i cóż?

Trawiński. Poznaje teorye Szerkowskiego. Ale, mój drogi, po co się uniazać do tak realistycznego poziomu? Sztuka — to piękno, a taka Kaśka piękną być nie może.

Wodnicki. Jak dla kogo — dla mnie jest piękną.

Trawiński. Winszuję ci gustu, ale nie zazdroszczę. Cóż to, spadek po wujaszku z Ameryki? Ogień w piecu! fiu, fiu!

W o d n i c k i. Ogień? żartujesz?! (Idzie do pieca i patrzy z podziwieniem). Muszę się przekonać, czy to prawdziwy ogień, bo oczom moim uwierzyć nie mogę. (Kładzie palce w ogień). Aj!... a tom się sparzył! no, teraz muszę wierzyć. Co ten nędznik bejzyczny spalił?... He! he!

N i e m o w a. He!...
(Śmieje się, zaciera ręce i pokazuje na ogień).

W o d n i c k i. Widzę, widzę, nawet czuję: ale co tam wrzuciłeś?

N i e m o w a (robi grymasy i nie chce powiedzieć).

W o d n i c k i. Nie dowiem się, nie przyzna się! O, brakuje jednego krzesła! A to niecnota! pali mi teraz meble. Niedługo weźmie się do moich arcydzieł i to wszystko na cześć Kaśki.

T r a w i ń s k i. Ha, no, swój do swego... to bardzo naturalne.

W o d n i c k i. E, nie udawaj znudzonego i wykwinętego w swych gustach, mój drogi. Poszukawszy w swych wspomnieniach, znajdziesz niejedną taką Kaśkę, za to rękę.

T r a w i ń s k i. Ani jednej. Od czegoż są damy?

W o d n i c k i. A, w takim razie...

(Kaśka słańia się na rusztowaniu i przy-
klęka).

K a ś k a. O mój Jezu... umieram!

W o d n i c k i. A tej co się stało? (bie-
gnie na rusztowanie i woła): Julek, chodźcie
tutaj, ta dziewczyna mdleje!

T r a w i ń s k i (wchodzi na rusztowanie).
Sprowadź ją tutaj, bo się boję wejść na to
rusztowanie, całe się chwieje.

W o d n i c k i. Chodź, Kaśka, odpoczniesz
trochę.

K a ś k a (wstaje z wysiłkiem). Przepra-
szem wielmożnego pana, ale mi się tak
w oczach zaćmiło...

(Schodzą powoli ze schodków; niemowa zbli-
ża się zafrasowany).

T r a w i ń s k i (badając puls Kaśki). Ane-
mia, silna anemia, wycieńczenie sił... przy-
tem neurastenia...

K a ś k a (słaniając się). Ola Boga! ola
Boga!

(Niemowa nagle biegnie do stołka, na któ-
rym leży bułka i okrawki, przynosi je i po-
daje Kaśce).

W o d n i c k i. Mnie się zdaje, że ten
smarkacz najlepsze na jej neurastenię zna-
laźł lekarstwo.

T r a w i ń s k i. Zapewne; ta dziewczyna
jest w dodatku głodna; musiała nie jeść kil-
ka dni.

W o d n i c k i. Nie mów: w dodatku, ale powiedz: głównie głodna. No, Kaśka, zjedz bułkę i mięso i chodź do pieca, ogrzej się, zaraz ci będzie lepiej.

K a ś k a (jedząc i płacząc). Dziękuję wielmożnemu panu, dziękuję.

(Je bułkę).

W o d n i c k i. Cóż, ty nie masz służby?

K a ś k a. Nie, proszę pana.

T r a w i ń s k i. Słyszałem, że ją wzięli do becyrku, gdyż zrobiła awanturę; słowem, pani Bukowska musiała ją oddalić.

W o d n i c k i. A o cóż ci poszło?

(Kaśka milczy).

W o d n i c k i. Takaś ambitna; nie powiesz? No, to nic. A od tej pory gdzie byłaś?

K a ś k a. Ano.... takem się tułała. Nie śmiałam iść do państwa po świadectwo i po kufer... Mieszkałam u węglarki, a jakem się zadłużyła, to węglarka mi zabrała, co było lepsze, no i... na bruk wyrzuciła. To się najmowałam do prania, to do mycia podłogi, ale to zarobek mały i żaden... oto czasem bez cały tydzień nic się nie trafiło. A do służby iść nie śmiałam, bo nie mam ani świadectwa, ani innego ubrania, więc przecie nikt takiej oto do domu nie weźmie. I tak już teraz zesłam, że nawet posługi nie mogę znaleźć, a jak wodę na górę

zaniosę, to mi aż w piersiach rzeży i ciągiem powietrze chwytam, bo nijakiej siły nie mam... Strasznie się zmarnowałam, zeszłam na psy—i to wszystko bez... O!...

(Placze).

W o d n i c k i. Kaśka Karyatyda!

T r a w i ń s k i. Anemiczna! anemiczna!

W o d n i c k i. Usiądź sobie koło pieca i odpocznij trochę.

(Niemowa prowadzi Kaśkę do pieca po za rusztowanie. Kaśka siada przed piecem, obrócona tyłem do sceny. Niemowa klęka przed piecem i dorzuca drzewa. Przedtem jednak ściągnął jeszcze jedno krzesło i łupie je na kawałki).

W o d n i c k i. Odbiegła mnie chęć do pracy. Biedna dziewczyna!.... Nic jej pomóc nie mogę.

T r a w i ń s k i. Masz się także nad czem rozczulać! Takich dziewczyn jest we Lwowie setki. Wszystkie one są na to stworzone. Zresztą, ta Kaśka ucieła podobno jakiś romans! To cała historia!...

S C E N A VII.

CIŻ, JAN.

J a n (do Wodnickiego). Proszę wielmożnego pana, list od pani Bukowskiej.

W o d n i c k i. A...

(Czyta list).

T r a w i ń s k i (do Jana). No, idziesz jutro na służbę do szpitala?

J a n. A jakże, proszę pana doktora.

T r a w i ń s k i. Cóż, jesteś kontent?

J a n. Bardzo, proszę pana doktora!

W o d n i c k i (do Trawińskiego). Wujaśzek ma się gorzej, więc prosi, aby ci powiedzieć, żebyś zaraz przyszedł, koniecznie.

T r a w i ń s k i (niezadowolony). A, dobrze... pójdę!

(Do Jana).

Powiedz, że przyjdę.

J a n. Proszę pana doktora, ja już nie wrócę do kamienicy, bo mam rzeczy w szpitalu i prosto tam idę. Dziś już będę w infermeryi nocował.

T r a w i ń s k i. Dobrze.... a wieczorem będziesz na sali gorączkowej. Ja tam przyjdę.

J a n. Dobrze, proszę pana doktora.

T r a w i ń s k i (śmiejąc się). Jemu się zdaje, że on sam już jest doktorem.

J a n. E, tak dalece jeszcze nie, proszę pana doktora, ale pilnie bacząc, co panowie będą mówili między sobą, to się człowiek trochę wypoleruje i kto wie jeszcze czem będzie...

T r a w i ń s k i. Strasznie masz rozpromienioną minę.

J a n. A czemu nie? Abo mi to źle na świecie? Wszystko mi się pięknie układa i według mojej woli.

W o d n i c k i. No, no, rzadki okaz szczęśliwego człowieka!

J a n. Ano, bo to, proszę wielmożnych panów, szczęśliwy jestem, bo ze mnie filozof... A jakże, fi-lo-zof!

W o d n i c k i. A cóż to znaczy filozof?

J a n. Ano, to taki, co to sobie z niczego nie nie robi.

W o d n i c k i. Tak... zapewne!

(Do Trawińskiego)

Idziesz do wujostwa?

T r a w i ń s k i. Idę.

W o d n i c k i. Zdaje mi się, że wujenka niedługo zostanie młodą wdówką.

T r a w i ń s k i (obojętnie). Być może.

W o d n i c k i. I to ciebie nie nie obchodzi?...

T r a w i ń s k i (odchodząc). Co chcesz, mój drogi, ja jestem filozofem.

W o d n i c k i. Zaczekaj, odprowadzę cię kawałek. A, dobrze, że Jan przyszedł! Mój Janie, niech-no Jan obejrzy to rusztowanie. Coś się chwieje; może tu trzeba będzie zawołać stolarza, a może i sam Jan co tam zaradzi.

J a n. Dobrze, proszę pana.

(Wodnicki idzie do pieca).

T r a w i ń s k i (we drzwiach do Jana).
No, a co tam słychać z Marynką?

J a n. Z którą?

T r a w i ń s k i. Ano z tą, co miałaś się
żenić?

J a n. Jak to pan doktor jest o wszystkim
powiadomiony!

W o d n i c k i (do Kaśki). Jak ci będzie
ciepło, to wejdź znów na rusztowanie, ja za-
raz przyjdę.

K a ś k a. Dobrze, proszę wielmożnego
pana.

T r a w i ń s k i. Chodźmy!

W o d n i c k i. Chodźmy, odprowadzę cię
kawałek i zaraz wrócę. Wezmę u żyda tro-
chę oliwy na kredyt.

T r a w i ń s k i. Nie masz pieniędzy?

W o d n i c k i. Spodziewam się.

T r a w i ń s k i. Ja mam pięć guldenów
za masaż od tej starej waryatki, co to jej
masuję pierwszy palec u lewej nogi. Podzie-
limy się.

W o d n i c k i. Zgoda!

(Wychodzą).

S C E N A VIII.

JAN, KAŚKA, NIEMOWA.

J a n. Widzicie go, jak to mi rozkazuje! Obejrż rusztowanie! Czy to ja jego lokaj, żeby jego rozkazów słuchał! (Ogląda rusztowanie). Ano, chybocze się, jak jaka bieda! Trzeba tu jakiego niziniera, abo co...

(Wchodzi na rusztowanie i ogląda dalej).

K a ś k a (na dole, wstając i idąc ku przodowi). Dziękuję ci, mój pocziwy chłopaku! (głaszcze niemowę po twarzy). Dobrze z ciebie dziecko, moja ty biedoto! Jeść mi dałeś i rozgrzałeś trochę — niech ci Pan Jezus zapłaci!

(Niemowa daje znaki ukontentowania i szasta się koło Kaśki).

K a ś k a. Tylko ci mowy brakuje, żebyś był do ludzi podobny, a może to i lepiej, że ty nie gadać nie możesz. Powiedziałbyś znów jaką złą i niegodziwą rzecz, jak inne ludzie. To i lepiej, że gadać nie umiesz. No, no, pójdę ja na te deski. Może mi ten pan co zapłaci wieczorem, to se i nocleg znajdę. Śnieg pruszy już po Wysokim Zamku, w krzakach nocować nie mogę. Zmarznę jeszcze, abo co!

(Wstępuje na rusztowanie i nagle spostrzega Jana).

K a ś k a. Jan!!!

J a n (równocześnie). Kaśka!!!

K a ś k a (gorączkowo). To ty... to wy... to pan Jan?... O!... jak mi serce wali, jak młotem! A to Matka Boska mi pana Jana zesłała teraz w tej mojej nędzy. Ja nie śmiałam tam przyjść pod bramę, choć nieraz nocami po ulicach krążyłam dokoła kamienicy. Pan Jan mnie nie zapomniał — prawda? Pan Jan też chciał się zemną zobaczyć—prawda? Panu Janowi też żal było zamną—co, prawda?

(Jan milczy).

K a ś k a (nerwowo). Pan Jan nie nie mówi? Dlaczego? O, niech Jan też do mnie dobrem słowem przemówi! Mój Janie! Żeby też Jan wiedział, jaką ja nędzę przecierpiałam! — i chłód, i głód, i ten wstyd, jak mnie do policyi sposobili. Ja wiem sama, że źle zrobiłam i że nie powinnam była kamieniami ciskać, i za to pana Janę pięknie przepraszam — ale mnie tak gniew oślepił! Potem mnie Pan Bóg za to ciężko pokarał, bo się tak tułam teraz po świecie, nijakiego przytułku nie mająca, ani służby, ani żadnej roboty, bom się z ubrania wydarła i siły sterałam, i bez ten becyrk to już śmiałości nie mam!...

(Jan chce odejść).

K a ś k a (zastępując mu drogę). Gdzie pan Jan odchodzi? Nawet się zemną nie przywita?

J a n. Proszę mnie puścić, ja czasu nie mam, ja się spieszę!

K a ś k a (wybuchając nagle). A! pan Jan nie ma czasu! spieszy się! Ale do ołtarza to nie spieszno, a może spieszno, ale z inną, z taką, co ma pieniądze! A mnie co robić teraz? mnie — co Jan na poniewierkę rzucił i ludzie obśmiewali, ha!?! Gdzie ja teraz pójdę? Ni do kościoła, ni gdzie, bo mnie i ksiądz od spowiedzi świętej odpędził i przebaczenia mi dać nie chciał.

J a n. Niech mnie Kaśka puści! Ja z takimi latawcami, jak Kaśka, nie mam nic do roboty.

K a ś k a (w najwyższej rozpaczy). Nie puszczę! jak ten Bóg na niebie, nie puszczę! Jan mnie zgubił, zaprzepaścił! Rodziców mi odebrał, od Boga mnie odpędził!... Ja tego Janowi nie daruję! nie daruję! nie daruję!

J a n (odpycha ją brutalnie). A to utrapienie z taką pijawką!
(Rusztowanie wali się z trzaskiem, ale tylko z prawej strony. Kaśka wydaje krzyk i zapada się, przywalona stosem belek. Jan zbiega po schodach i chce uciec, niemowa zastępuje mu drogę).

N i e m o w a (wściekły). Ha! ha!

J a n. Odknaj, bo cię zmiażdżę!

N i e m o w a (rzuca się na Jana, uderza go między oczy i podstawia mu nogę. Jan się przewraca, niemowa uderza go kilkakrotnie i wyrzuca za drzwi).

N i e m o w a (z uczuciem tryumfu). Ha! ha!
(Zbliża się do stosu belek i zaczyna je ostrożnie odsuwać. Ukazuje się na spodzie Kaśka, zraniona i bezprzytomna. Niemowa wyciąga ją powoli i klęka przy niej, trzeźwiąc ją i ocierając jej rany).

(Zasłona powoli spada).

AKT SZÓSTY.

Scena przedstawia salę w szpitalu; kilka łóżek pustych. W głębi dwa łóżka niskie na kółkach, jak do przesuwania chorych z sali do sali. Na lewo duży stół, odgradzony parawanem od reszty sali; na nim słoiki, flaszki, woda i inne przybory. Lampa zwiesza się u sufitu. Za podniesieniem zastony w sali jest pusto przez chwilę. Drzwi się otwierają i wchodzi siostra miłosierdzia, za nią dozorczyńni ze świecą w ręku.

SCENA I.

SIOSTRA MIŁOSIERDZIA, DOZORCZYŃNI.

S i o s t r a. Trzeba lampę zapalić.

D o z o r c z y n i. Czy kto umiera?

S i o s t r a. Tak, numer siedemnasty.

D o z o r c z y n i. Przeniosą ją tutaj?

S i o s t r a. Tak; inne chore skarżą się, iż zasnąć nie mogą. Ta chora ciągle mówi; trzeba ją odosobnić. Agonia jej jest ciężka i niepokoi całą salę.

D o z o r c z y n i. To nie to, co numer jedenasty — zasnęła wczoraj w południe tak spokojnie, iż wszyscy byli przekonani, że śpi. Przychodzę do niej, dotykam — zimna! Natychmiast kazałam ją usunąć.

S i o s t r a. Tak, Bóg dał jej lekkie skonanie

(Zapala lampę).

D o z o r c z y n i. Gdzie siostra każe łożko chorej postawić?

S i o s t r a. Tu! (wskazuje lewą stronę sceny). Będzie miała krzyż przed oczami.

D o z o r c z y n i. Niewiele ma przytomności. Wczoraj już mnie nie poznała.

S i o s t r a. Niezbadane jest miłosierdzie Boże. Może Bóg da jej chwilę przytomności, aby zeszła z tego świata w łasce i ze skrucłą należą.

D o z o r c z y n i. Może!

S C E N A II.

TEŻ, TRAWIŃSKI.

T r a w i ń s k i. Dobry wieczór, siostró Maryo Anno!

S i o s t r a. Niech będzie pochwalony...

T r a w i ń s k i. Powracam z sali gorączkowej. Numer siedemnasty jest zupełnie nie-

przytomny. Rano szef oddziału powiedział, że dzisiejszej nocy wszystko się skończy.

Siostra. Poczyniłyśmy właśnie wszystkie przygotowania, aby chorą przenieść tutaj.

Trawiński. Bardzo dobrze. Inne chore niepokoją się, widząc tak długą agonizę.

Siostra. Biedna dziewczyna!

Trawiński. Siostra jeszcze jesteś wrażliwa na te sprawy? Ja bo już jestem zupełnie zahartowany i to nie robi na mnie najmniejszego wrażenia.

Siostra. Zawsze to nasz bliźni i męka jego jest nam wspólną. Tembardziej dla mnie jest to rzeczą bolesną, iż tę dziewczynę przyniesiono do szpitala nieprzytomną i do tej chwili nie odzyskała jeszcze przytomności. Pragnęłabym bardzo, aby umarła pogodzona z Bogiem.

Trawiński. Oto ją niosą!

SCENA III.

CIŻ, POSŁUGACZE, KAŚKA.

(Posługacze przynoszą Kaśkę, leżącą na łóżku przenośnem, zakrytą prześcieradłem. W głowach łóżka zatknięty patyk i deseczka, oznaczona cyfrą 17).

Kaśka. Janie! Janie!

Siostra. Oto, imię, które bezustannie powraca jej na usta. Może to imię jej brata? Czy pan nie wie, panie doktorze? Może dać znać jej rodzinie?

Trawiński. Nie wiem nic o niej. Spotkałem ją u mego przyjaciela, rzeźbiarza, gdy mu służyła za model. Zawaliło się pod nią rusztowanie. Belki zgmiotły jej bok i głowę. Przyniesiono ją tutaj. Wiem, że jest służącą i wypędzono ją ze służby za burdy i awantury.

Siostra. O mój Boże! nieszczęśliwa dziewczyna!

Trawiński. Wezwałem tu owego rzeźbiarza, w którego domu stało się to nieszczęście. On nam może przyniesie jakie bliższe szczegóły co do jej pochodzenia i stosunków rodzinnych.

Kaśka (nieprzytomna). Ojciec wygnał... dom zamknął... Siostry... o Jezu!... już nigdy ich nie zobaczę! nigdy! nigdy!

Trawiński. Idę na salę, a potem odchodzę. Przyjdę nad ranem.

Siostra. Pan doktor tu jeszcze zajrzy?

Trawiński. Po co? Ja jej już nie pomódz nie mogę.

(Wychodzi).

Siostra (do dozoreczyni). Proszę iść na salę i porozdawać kleik. Potem proszę przyjść

tutaj mnie zmienić, a ja pójdę dawać lekarstwa.

D o z o r c z y n i. Dobrze, proszę siostry!

S C E N A IV.

KAŚKA i SIOSTRA.

S i o s t r a (pochylona nad Kaśką). Moje biedne dziecko, może masz pragnienie?

K a ś k a (w obłędzie). Nie mam świadectwa... Nie wezmą, bo mi pan wpisze, że mnie do becyrku wzieni...

S i o s t r a. Uspokój się, nikt od ciebie świadectwa nie żąda.

K a ś k a. Do ślubu wyjme mentryke, bo przez mentryki... bo przez mentryki ślubu nie dadzą (z głośnym krzykiem). Janie! Janie!

S i o s t r a. Powiedz mi, moje biedne dziecko, kto jest ten Jan? Może chcesz go zobaczyć? Powiedz mi, gdzie go szukać?

K a ś k a (odpychając siostrę). Czego ty chcesz odemnie? dlaczego mnie prześladujesz? Czy myślisz, że Jan się z tobą ożeni? Nie prawda, on i ciebie tak mani, jak i mnie manił, jak wszystkie dziewczęta mani!

S i o s t r a. A, to twój narzeczony! To w takim razie ja ci go poszukać nie mogę...

K a ś k a. Mówił sam, że jesteś nie warta... nie warta i wyśmiewał się z twoich pieniędzy... i kapeluszy.

S i o s t r a. Biedna ta dusza! Jakże ją męczą jeszcze w ostatniej chwili drobiazgi tego świata!

K a ś k a. A ja nie mam ani grosza... ani kapelusza! I dlatego zamąż nie idę! Biedne dziewczyny nie mogą zaznać szczęścia! nie wolno im! ha!

S i o s t r a (modląc się). Dzięki Ci, Panie, że wybrała swą ścieżkę. Spokój jest w duszy mojej!

K a ś k a. Praca od świtu do późnej nocy. Oh! jak mi ręce spekały się od ługu! boli... I Jan mnie porzucił!

S i o s t r a (j. w.). I tej nieszczęśliwej spokój daj, o Panie! i skon lekki; a w Tobie niech odpocznie zmęczona dusza jej!

K a ś k a (powoli przychodzi do przytomności i patrzy chwilę na siostrę). Kto tu?

S i o s t r a. Twoja siostra w Bogu, a słu-ga w Chrystusie!

K a ś k a. Pani jest zakonnicą, prawda?

S i o s t r a. Tak nas na świecie nazywają.

K a ś k a. Siostra podobna jest do Anioła Stróża.... Po za tobą czyste skrzydła białe.

S i o s t r a. To mój czepek bieleje w cie-
niu. Twój Anioł Stróż, stostro, jest koło
ciebie, nie opuścił cię nigdy.

K a ś k a. Oj! opuścił, siostró, opuścił!

S i o s t r a. Zgrzeszyłaś więc tak bardzo?

K a ś k a. Nie wiem, czy zgrzeszyłam, ino
wiem, że pokutowałam ciężko!

S i o s t r a. Pokuty nigdy zawiele.

K a ś k a. Oj, siostró, było za wiele... aż
z niej umierać mi przyszło... Ale ja się na
to nie żalę... boć chyba teraz wypocznę...
prawda, siostró?

S i o s t r a. To zależeć będzie od stanu
twojej duszy. Jeżeli nie spłynie na ciebie łas-
ka i serce twe nie będzie przejęte miłością
Bożą, pokuta twoja dopiero zacząć się może.

K a ś k a. Oła Boga! oła Boga! Jeszcze!
jeszcze!... A toć, jeśli zgrzeszyłam, to, sio-
stro, ja już opłaciłam ten grzech wdwój-
nasób!

(Słychać dzwonek w oddali).

S i o s t r a. Dzwonią na pacierze wieczor-
ne. Czy chcesz się pomodlić, siostró?

K a ś k a (cicho). Nie mogę.

S i o s t r a. Dlaczego nie możesz? (Kaś-
ka milczy). A ja ci powiem, dlaczego — bo
masz w sercu nienawiść i urazę do tych,
którzy może ci krzywdę w życiu uczynili.
Przebacz, a modlić się znów będziesz potra-
fiła.

K a ś k a (głucho, z uporem). Nie przebaczę!

S i o s t r a. Jakże chcesz, aby Bóg ci przebaczył, skoro ty odpuścić nie chcesz winowajcom twoim?

K a ś k a (z rozpaczliwym uporem). Nie przebaczę!

S i o s t r a. Chrystus na krzyżu przebaczył katom swoim.

K a ś k a (w rozpacz). Żeby mi ręce i nogi odpaść miały—nie przebaczę!!!

(Dzwon daleki).

S i o s t r a (klęka). Modlić się za ciebie będę, biedna siostró moja — modlić się będziemy wszyscy: ja i ci, którzy, jęcząc z bólu, cierpienia swe w tej chwili Bogu ofiarują... Oby ci Bóg dał serce litościwe i do przebaczenia skłonne!

(Chwila milczenia — dzwon powoli milknie).

S C E N A V.

TEŻ i DOZORCZYNI.

D o z o r c z y n i. Przychodzę zluzować siostrę. Chorzy na lekarstwo nocne czekają. Numerowi na sali nieuleczalnych. Pan doktor przyniósł morfinę... A ta młoda kobieta, której wczoraj robiono operację, dogory...

S i o s t r a (przerywa). Dobrze, idę! (Do Kaśki). Staraj się, dziecko moje, nie myśleć o krzywdach, jakie ci ludzie czynili. Pomyśl, że nieraz doznałaś dużo dobrego; przypomnij sobie — i niech gorycz twoja wdzięcznością się stanie.

K a ś k a. Nie mam za co mieć wdzięczności dla nikogo. Same krzywdy miałam w życiu i ani odrobiny uciechy. A zawsze przebaczałam każdemu, co się nademną znęcał—ojcu, siostram, fabrykantkom w tkalni, sługom jenszym w mieście, państwu i... jemu! A jak mnie potrzeba było przebaczyć, to nikt nie chciał! nie chciał!... Ano, to już teraz i mnie się gniew wezbrał.... i dławi mnie...

S i o s t r a. Odchodzę... za chwilę powrócę. Sądzę, że znajdę cię mniej zbuntowaną.

K a ś k a. I gadzinę nadeptać, to ukąsi, a nie taką marną dziewczynę, jak ja.

S i o s t r a. Niech Bóg cię strzeże, moje biedne dziecko!

(Odchodzi wolno).

SCENA VI

KAŚKA, DOZORCZYNI.

D o z o r c z y n i. Nie chce panna pić?

K a ś k a. Dajcie.

(Pije ziółka, poczem głowa opada jej na poduszki).

K a ś k a (po chwili). Czy to ja mam umierać?

D o z o r c z y n i. Gadanie! Czego tam zaraz śmierć wspominać?

K a ś k a. Ano, bo jakże inaczej? Czego ja się mam po świecie jeszcze włóczyć? Toż dla mnie niema dachu, coby mnie okrył!

D o z o r c z y n i. Niech panna lepiej śpi.

K a ś k a. Jakże mi spać, kiedy wszystko mnie boli, a po głowie roi się aż do strasydeł!

D o z o r c z y n i. Ja lampę przyciemnię i poprawię pannę na łóżku (wspina się na palcach, aby lampę przyciemnić). Nie dostanę; ano, to zawołam dyżurnego posługacza (otwiera drzwi). Janie! Janie!

K a ś k a (siadając na łóżku). Janie? Dlaczego... Janie? Kto go woła?

S C E N A VII

TEŻ SAME i JAN.

J a n. Jestem, a co trza zrobić?

D o z o r c z y n i. Trzeba ściemnić lampę i pomożecie mi chorą podnieść trochę na łóżku.

J a n. Dobrze!

(Przygasza trochę lampę i idzie do łóżka Kaśki, pochyla się nad nią i ujmuje ją pod pachę, chcąc podnieść. W tej samej chwili Kaśka czepia się konwulsyjnie jego ramion).

K a ś k a. To ja!!

(Unosi się na łóżku, strasznie groźna, z oczyma krwią zabiegłemi, z włosami rozrzuconemi dokoła głowy).

J a n (przerażony). Jezu miłosierny!

K a ś k a. Ty nie wzywaj teraz Pana Boga do pomocy, ty krzywdzicielu! rozbójniku! To ty mnie zabił, ty byłeś sprawcą nędzy mojej!... ty mnie w poniewierkę rzucił, aż wreszcie dobił, jak psa... i to bez ciebie ja weszłam na barłóg szpitalny! A teraz cię mam... i teraz cię trzymam, ty mój panie narzeczony... ty moja nędzo! To my chyba razem przed sądem Boskim staniemy... boć mnie samej przez ciebie w grób iść niesprawiedliwie! O! ty mnie honorował po szynkach, aż... ty mnie wykierował do trumny... Ale pomsta Boża na ciebie! pomsta Boża! Zdechnieś w szpitalu, jak ja, bez Boga i ludzi! Pomsta na ciebie, psie jeden!

S C E N A VIII.

CIŻ SAMI i SIOSTRA.

S i o s t r a (nadbiega do Kaśki). Puść tego człowieka! zaprzestań przeklinać! Nad

grobem stoisz, jesteś już przed obliczem Boga i jeszcze cię obchodzą sprawy twoje ziemskie!

K a ś k a (nie puszczając Jana). Siostro! to ten judasz, bez którego ja w nieszczęście wpadłam i na psy zesłam!

S i o s t r a. Czy naprawisz swe dobro, złorzecząc mu i sypiąc na jego głowę przekleństwa i złość swoją? Czy wrócą się twe łzy? czy choć jedną łzę przez to mieć będziesz w obrachunku swoim? A potem — spójrz na niego. Ja nie wiem, co on zawinił!... Nie moja to rzecz rozpatrywać i rozsądzać ziemskie sprawy, ale w sercu jego musi być żal i ból w tej chwili. (Do Jana). Powiedzcie mi szczerze, mój bracie, czy żałujecie swej winy?

J a n (cicho). Żałuję!

S i o s t r a. Szczerze?

J a n (wybuchając płaczem i padając na kolana przy łóżku). Szczerze i okrutnie!

S i o s t r a. A przebacz nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.

K a ś k a (powoli, kładąc rękę na głowie Jana). Jako i my odpuszczamy naszym winowajcom!

J a n. Kaśka! daruj ty mi! daruj! Ja to nie bez złość zrobiłem, ot tak, bez głupotę!

Ja nie myślałem, żebyś ty mnie tak naprawdę miłowała!

K a ś k a (z uśmiechem bladym). Ty myślał, Janie, że ja tak jak inne dziewczuchy, prędko się pocieszę... Ale ja się nie pocieszyłam i bez to idę w mogiłę...

J a n. Nie! nie! ty nie zamrzesz! Kaśka! ja się z tobą ożenię!

K a ś k a (tracąc przytomność powoli). Ja się z tobą ożenię...

J a n. Ty mi przebaczysz? Ty mi przebaczyłaś?...

K a ś k a Ja ci przebaczyłam!

J a n (do siostry). O! Święta Panienko! Ty będziesz świadkiem, jako przyrzekam poślubić tę Katarzynę Olejarek i wziąć ją za żonę.

S i o s t r a. Ależ to można zaraz wykonać. Jutro weźmiecie ślub. (Do Kaśki). Czy chcesz, Kasia, zostać żoną Jana?

K a ś k a (nieprzytomna). Jeszcze tyle roboty... dziś robota... już tak mam ręce splekane... trza iść po węgle do piwnicy, tam zimno, ciemno... ot, grób... śmierć... Kaśka umrze... pocziwy niemowa... on jeden! on jeden!

(Muzyka gra pieśń dziewcząt z trzeciego aktu).

J a n. Kasiu! Kasiu!

S i o s t r a (do dozorczyńni). Agonia się rozpoczyna! Biegnijcie po pana doktora; on jeszcze musi być na dole u pana sekretarza.

K a ś k a. O! o! idą! idą! całe białe... czysto sznur gołębi... śpiewają, aż słodko się robi:

Marya,
Biała lilia,
Co kwitnie... tam...
U... niebios... bram...

Bez całe życie harować, harować, harować!... a potem jak pies bez dachu się włóczyć po śniegu...

S C E N A IX.

CIŻ SAMI, TRAWIŃSKI i WODNICKI.

T r a w i ń s k i. Siostro Maryo Anno, oto pan Wodnicki, który zasięgnął trochę informacyj o numerze siedemnastym.

W o d n i c k i. Wiem niewiele.
(Odchodzi trochę na bok i rozmawia z siostrą Maryą pocichu).

T r a w i ń s k i (pochylając się nad Kaśką). No, zobaczymy, co się z nią dzieje. (Po chwili). Phi!... niema tu co robić.

J a n (czepiając się ręki doktora). Pan doktor ją uratuje, prawda?

T r a w i ń s k i. A.... to ty! Aha! rozumiem! Proszę — więc teraz wolałbyś, aby żyła?

J a n. Ano, toć niby przezemnie.

T r a w i ń s k i. E! szeroko o tem Dawid pisał... Ale to trudno. Już ci ją nikt nie uratuje, ona już napół umarła.

(Podchodzi Wodnicki i siostra).

J a n (padając znów przy łóżku). Kaśko moja serdeczna! ty zamrzesz, nieboże! i to niby bezemnie, bez takiego lamparta!... Kaśko! ja się poprawię, już nie będę za dziewczynami latał, ino ty nie umieraj!

K a ś k a (otwiera oczy nawpół przytomna i patrzy chwilę przed siebie). Nie płacz, Janie, bo mi nigdy, bez całe moje psie życie nie było tak spokojnie, jak teraz. Wyharowałam się... ręce se po łokcie urobiłam... ale teraz to mi Pan Jezus odpoczynek wieczny daje. Teraz mnie Panna Najświętsza na służbę do siebie bierze... a do Niej, do Tej naszej, to już chyba przez świadectwa mnie wezmą; dobra będzie służba razem z aniołami, a Pani litościwa! (Umiera — gasnącym głosem) Janie! Janie!

(Pozostaje zastygła, z otwartymi ustami i oczami).

T r a w i ń s k i (do siostry). Ślub ten, ostatecznie, może się odbyć jutro wczesnym rankiem. Choć ja widzę w tem objaw nie-

potrzebnego romantyzmu. Ale... skoro to siostrze się podoba... i owszem.

S i o s t r a. Czy chora żyć będzie jutro rano?

T r a w i ń s k i. O, jestem tego pewny! Zwykle taka agonia jest męczącą i przeciąga się bardzo długo. To są ciekawe wypadki. (Zbliża się do łóżka). Ticus: umarła!

S i o s t r a i W o d n i c k i. Umarła?

J a n. O mój Jezu!

S i o s t r a. Światłość wiekiustą daj jej Panie i odpocznienie wieczne!

(Zamyka oczy i usta Kaśce; klęka, mówiąc pacierze).

J a n (dławiąc się łzami). To ja ją zabił

D o z o r c z y n i (wchodząc). Siostro Maryo Anno, numer dziewiąty umarł. Trza oczy zamknąć.

S i o s t r a (wychodząc z opuszczoną głową).. Idę.

Zasłona wolno spada.

TRESOWANE DUSZE.

SZTUKA

w trzech aktach.

O S O B Y:

RASTAWIECKI, właściciel dziennika.

SIEKLUCKI, odpowiedzialny redaktor.

BONECKI,

PARNES } współpracownicy.

RÓŻYCKI }

ADMINISTRATOR.

METRAMPAŻ.

STEIERMARK.

BRAUN, robotnik.

LEWANDOWICZ.

JUSZKA, współpracownik Gońca.

SMOLKIEWICZ, sekret. biura dobroczynnego,

MECENAS SZUHMAN,

DOKTÓR PILEROWICZ.

ANNA SMOLKIEWICZOWA.

STEIERMARKOWA.

1 DAMA.

2 DAMA.

MŁODA PANNA.

1 } chłopcy redakcyjni.

2 }

ZOSIA.

STRÓŻ REDAKCYJNY.

ZIMERSZTOCK.

Rzecz dzieje się w mieście.

Akt I i III w biurze redakcyi.

Akt II w biurze dobroczynności.

AKT PIERWSZY.

Scena przedstawia pokój redakcyjny. W głębi drzwi, na prawo drzwi, na lewo dwa okna. Pomiedzy oknami biurka dwa, zestawione do siebie grzbietami, przed niemi krzesła; bliższe biurko od widzów jest biurkiem Siekluckiego, drugie biurko należy do Boneckiego. Na środku sceny długi stół założony cały dziennikami; po prawej od widza biurko oparte o ścianę. Jeszcze jedno biurko takie po prawej, już w rogu, za niem telefon. Biurka i stół oświetlone lampami elektrycznymi. Po lewej w głębi piec żelazny, koło pieca skórzany szeslong. Przy drzwiach wejściowych marmurowa umywalka, ręcznik, mydło. Story u okien pospuszczane, widać jednak wiosenny, chłodny poranek. Sieklucki w palcie siedzi przy biurku i robi rewizję. Jest znużony. Przy nim

stoi chłopiec z drukarni (lat 12) i, przestępując z nogi na nogę, czeka na rewizyę. Nad szeslongiem duża fotografia mężczyzny, o rysach szlachetnych i smutnym wyrazie twarzy.

S C E N A I.

SIEKLUCKI, CHŁOPIEC 1, CHŁOPIEC 2, potem METRAMPAŻ; na kanapie śpi PARNES, zawinięty w palto.

Chłopiec 2 (wpadając). Pan metrampaż kazał powiedzieć, iż nie będzie czekał, bo będzie spóźnienie.

Sieklucki (przez zęby). Idź do diabła!

Chłopiec 2 (staje i czeka; chwila milczenia; wreszcie Sieklucki rzuca mu korektę). No, masz, bałwanie—znikaj!

Chłopiec 2. I pan metrampaż kazał powiedzieć, że już na nic niema miejsca.

Sieklucki. Wynos się!

(Idzie do telefonu i dzwoni).

Sieklucki (do telefonu). Halo! Proszę mnie połączyć z centralną kawiarnią.

(Dzwonek).

Halo! Proszę poprosić tu pana Balka!... Jest? Dobrze—niech zaraz przyjdzie.

(Po chwili).

Halo! Halo!... To ty, Józek? Czy masz co nowego? Nic? A to zbiegowisko? He? gadaj wyraźniej... Nie byłeś? dlaczego?... grałeś? dobrze! Tylko tak dalej—zajdziesz wysoko... E! daj mi spokój! Więc nic? na przedmieściach spokojnie?... A co? a co?... a my nie! Z pewnością Juszka już coś wie... z pewnością w „Gońcu“ będą szczegóły.... Dziękuję ci... Ładnie nas ubrałeś!...

(Dzwoni. Odchodzi wzburzony od telefonu).

P a r n e s (podnosząc rozczochną głowę). Z kim telefonowałeś?

S i e k l u c k i. Z Balkiem!... Na przedmieściach zbiegowisko, a on siedzi w kawiarni i gra!

P a r n e s (flegmatycznie). Dobrze ma!

S i e k l u c k i. Ależ „Goniec“ nas uprzedzi—„Goniec“ da sensację...

P a r n e s. To co ciebie obchodzi?... Twoja płachta?

S i e k l u c k i. Nie moja—ale to przecież nasza rzecz.

P a r n e s. Ojej! tak ci pilno tę flagę wywiesić.

S i e k l u c k i. Nie — ale my pierwsi w tej sprawie powinniśmy głos zabrać. To

nasz obowiązek. Ta sprawa podchodzi pod program naszego pisma.

P a r n e s. Ta jak? ta co? ta dzie? ta po co? Podwyższą ci co za to?... Nie — no to siedź cicho, nie lataj, rewizyę rób, zapchaj numer, żeby dziur nie było, a o resztę się nie troszcz. Do popołudnia kto sobie w łeb palnie, albo co zdefrauduje i kropnie się mi chał na dwie szpalty... (ziewa). Program!... też?... program dawno fiu... światami... Tobie się zdaje, Siekla, że ten... (wskazuje na fotografię) jeszcze żyje.

S i e k l u c k i (wybucha ironicznym śmiechem) Ha! ha!... także idea!... Ja aż nadto dobrze czuję, że on już żyć przestał.

P a r n e s. A majaki ci się po głowie snują...

S i e k l u c k i. Nieprawda! Majaki wygnałem na cztery wiatry!

(Gasi elektryczność; idzie do umywalni, odkręca kurek, pije wodę, a potem myje ręce).

P a r n e s. Wodę chlupiesz?

S i e k l u c k i. Trzeźwię się.

P a r n e s (zaciekawiony). E?... bumblo-
wałeś?

S i e k l u c k i. A tak!... całą noc — przy biurku.

P a r n e s. Czego ty się tak zapracowujesz?—twoja płachta?

S i e k l u c k i. Kto ci powiedział, że się zapracowuję?

P a r n e s. Ta ciągle coś piszesz.

S i e k l u c k i. Piszę... bo czemś szpalty zapchać trzeba — ale ze siebie nic nie daję; a wiesz, dlaczego?—bo mi dać nie wolno.

P a r n e s. Tem lepiej... nie masz żadnej odpowiedzialności.

S i e k l u c k i (patrzy przez chwilę z rodzajem pogardy na Parnesa). Niech będzie, że tem lepiej.

(Idzie do biurka, siada przy niem posepny i apatyczny).

P a r n e s (złazi z sofy i włóczy się po redakcyi, wreszcie staje przed Siekluckim). Ja wogóle nie mogę skapować, czemu ty wiecznie niezadowolony. Żle ci? Długi, jakie miałeś, zapłacił za ciebie Rastawiecki i teraz ci małemi ratami strąca. Przecież lepiej z nim mieć do czynienia, jak z Zimmermanem.

S i e k l u c k i (ironicznie). Tak sądzisz?

P a r n e s. Ta pewnie. Za jakie trzy, albo cztery lata, spłacisz Rastawieckiemu wszystko. Jesteś sobie wolny, lieber baron... o co ci chodzi?

S i e k l u c k i (posepnie). Jestem wolny!

P a r n e s. Ta naturalnie... Czemu ty nigdy stor nie podniesiesz?

S i e k l u c k i. Bo widzisz, Parnes, za temi storami jest świat, słońce i... wolność. A ja—choć jestem taki... wolny, według ciebie,—wolę nie drażnić się widokiem słońca... wolności... Zwierzętom w menażeryach, gdy ich wiozą przez pola, zasłaniają klatki płachtami... O, widzisz... to są takie płachty!

P a r n e s. Choć uciął—nie rozumiem.

S i e k l u c k i. Czy ja ci każę rozumieć?

S C E N A II.

CIŻ SAMI i METRAMPAŻ.

M e t r a m p a ż (do Siekluckiego). Dzień dobry panom! A... oto wypadła kronika policyjna—i artykuł o stróżach — i o reorganizacji opieki nad szpitalami.

S i e k l u c k i (szybko). Dlaczego wypadło o stróżach?

M e t r a m p a ż (cicho). Pan dyrektor Rastawiecki kazał o stróżach nic nie dawać.

S i e k l u c k i (gwałtownie). Co? jak? (po chwili). Dobrze... Proszę tu zostawić skrypt, to pójdzie na południe.

M e t r a m p a ż. Dobrze, panie redaktorze!

S i e k l u c k i. A to skrypta do składania.

(Oddaje mu pęk skryptów. Metrampaż wychodzi).

P a r n e s (do Siekluckiego). Podcięli ci znów nogi? co?

S i e k l u c k i (hamując się i znów wpadając w apatyę). A... niech ich tam dyabli wezmą!

P a r n e s. Siekla!... tobie to jednak nie musi być wyraźnie tak ciągle ustępować. Postaw się!... ta ty masz firmę, co?

S i e k l u c k i. Daj mi spokój!
(Stróż wnosi na tacy herbatę i stawia przed Siekluckim).

P a r n e s. Siekla!... poślij i dla mnie po herbatę... nie mam ani centa. Oddam ci... dziś płacę. A! ot pan administrator!

S C E N A III.

CIŻ i ADMINISTRATOR, później ANNA.

A d m i n i s t r a t o r. Dzień dobry panom... Oto poczta, tu listy.

(Kładzie listy przed Siekluckim).

Sieklucki. Niech pan je odda panu Rastawieckiemu. Co mnie to obchodzi!

Administrator. Nie wiedziałem.

Sieklucki. Od wczoraj — listy adresowane do redakcyi czyta sam pan dyrektor...

Parnes (zaciekawiony). E! e!... nie gadaj!... no, no!...

Administrator. Dziś pensya, panowie się zgłoszą.

Parnes. O której?

Administrator. O dwunastej. Tylko pan Parnes to ma u nas bardzo mało na ten miesiąc. Zdaje się nawet, że to pan coś winien.

Parnes. Ta co? ta jak? ta dzie?... Cyknęliście tam co i zaraz — winien.

Administrator. Zaliczki, łaskawco! zaliczki!... Zresztą, obliczę. Żegnam panów!

(Stróż wnosi herbatę dla Parnesa, stawia na stole i wychodzi).

Parnes (pije herbatę i mówi). Nie!... no wiecie... świat się kończy!... Znów niema nic z pensyi. Ta co zrobię teraz? Widzisz, widzisz, Siekla, i ty się jeszcze skarżysz!... (Szuka po kieszeniach). Żeby choć jakie los kapustos... a tu nic, nic...

(Słysząc dzwonek telefonu).

S i e k l u c k i. Idź, Parnes, do telefonu.

P a r n e s. Halo! Halo! to ja! Ta kto? ta ja! (mówi do Siekluckiego). Balk mówi z centrali (do telefonu). Ha? jak? Nie! (mówi). Znow rozłączyli! (Dzwoni z furją). Halo! proszę pani o centralną kawiarnię! Gniewa się pani? — ta co mnie to obchodzi! ta niech pani nie rozłącza, co telefon złączył! (Dzwonek). Halo! jesteś? no co? (nad słuchuje). Trup? gdzie? Pod Pieskową górą? (mówi do Siekluckiego). Trup! jak Boga kocham! Balk wyszperał!

S i e k l u c k i. Niech bierze dorożkę.

P a r n e s (w telefon). Bierz dorożkę i pędź! Co? Pieniędzy nie ma.

S i e k l u c k i. Powiedz, niech bierze na godziny. Administracya zapłaci.

P a r n e s (w telefon). Bierz na godziny!
(Dzwonek).

No, widzisz, Siekla! takeś się martwił, a będzie jakiś trup na poobiedzie.

S i e k l u c k i. To swoją drogą; to nie zastąpi zbiegowiska.

P a r n e s. E! co ty wiesz! Prenumeratorzy wolą trupa. Cóż zbiegowisko? — zwykłe burdy i wrzaski.

S i e k l u c k i. To są zbiegowiska głodowe, Parnes.

P a r n e s. Ojej! ta co wiosnę takie są. To już nie nowość dla czytelników.

S i e k l u c k i (zniecierpliwiony). Ty mnie nie rozumiesz, Parnes. Trzeba, żebyś pojechał za roгатki i sprawdził na miejscu, jak rzeczy stoją.

P a r n e s. Nie głupim—mogę guza oberwać. Wolę się pomieniać z Balkiem. Ja wezmę trupa, a on niech sobie weźmie głodomory.

S i e k l u c k i. Róbcie jak chcecie, byle na dziesiątą były wiadomości.

P a r n e s (ubiera się). Pędzę do centrali. A pieniądze na dryndę?

S i e k l u c k i. Weź na godzinę.

P a r n e s. Prawda! Niech Grecya płaci!... (wybiega).

S i e k l u c k i (chodzi po redakcyi, widocznie wzburzony, wreszcie otwiera drzwi środkowe i woła): Ignacy! zapal w żelaznym piecu!

(Wraca do biurka i zaczyna pisać. W tej chwili wchodzi Anna. Jest to młoda jeszcze kobieta, o rozumnej, dość energicznej twarzy. Ubrana w ciemną szarą spódnicę, bluz-

kę i fartuszek czarny z szeleczkami, uczesana gładko).

A n n a. Dzień dobry panu redaktorowi!

S i e k l u c k i (podając jej rękę i nie odrywając się od biurka). Dzień dobry! Spóźniła się pani dziś trochę.

A n n a. Musiałam kupić dziś małej książkę—biegałyśmy po antykwarniach... (z uśmiechem). Na księgarnie nas nie stać.

S i e k l u c k i. Dlaczego mi pani nie powiedziałaś? Wziąłbym w pierwszej lepszej księgarni. Dla mnie jest pewien rabat.

(Anna milczy, zakłopotana).

S i e k l u c k i (odkłada pióro i patrzy na nią uważnie). Pomiedzy nami duma nie powinna istnieć.

A n n a. O, to nie przez dumę... (po chwili). Wolę powiedzieć prawdę. Nie chcę, ażebyś pan miał o mnie błędne przekonanie. Zapytanoby mnie w domu, z kąd mam tę książkę — musiałabym powiedzieć, że od pana, a to sprowadziłoby znów wiele przykrości na moją głowę.

S i e k l u c k i. Więc zawsze twój mąż mnie nienawidzi?

A n n a. Nie — on ciebie nie nienawidzi, ale on wie, że pan jesteś źle z szefem i dla-

tego każe mi trzymać się od ciebie zdaleka.

S i e k l u c k i. Wspaniałe!

A n n a. To nie wspaniałe — to straszne! To panu powinno dać miarę, jakimi ścieżkami pragnie mój mąż dochodzić do celu. A ja!... zresztą, co tu mówić! Pan znasz mnie dostatecznie: kark twardy, nieugięty; pogarda dla tego, co nie zgadza się z memi prostemi pojęciami.

S i e k l u c k i. Więc — walka? ciągle walka?

A n n a. Na śmierć i życie. Czasem muszę bronić wolności mego postępowania i charakteru całą siłą. Ale nietylko siebie bronię, lecz także i duszy mego dziecka. Ten fałsz, ta jakaś układność wobec tych, od których zależy, zaczyna mi się przedstawiać do duszy mej córki. A ja pragnę mieć ją tak silną i hardą, jak ja jestem. Choćby jej nawet było ciężko przez to w życiu — mniejsza z tem!

S i e k l u c k i. Jak ja ci zazdroszczę, Anno!

A n n a. Mejsiły żywotnej? Ależ pan chyba, jako mężczyzna, musisz mieć jej jeszcze więcej.

S i e k l u c k i. Moja męskość nie gra w tem żadnej roli. (Wyciąga ręce przed siebie). Zmęczony jestem, Anno! zmęczony!

A n n a (patrzając na niego uważnie). Widzę to, panie redaktorze i szczerze się tem smucę.

(Idzie do stołu i zaczyna sortować dzienniki — zdejmuje stare z porozwieszanych na ścianach sztyftów i nakłada świeże. Robi to sprawnie, zręcznie i energicznie. Po chwili milczenia, weselszym tonem).

A n n a. Czy pan wie, co dziś czytałam prawie przez noc całą? Oto, po raz wtóry, pana „Dobro ogólne“. Jakie to piękne dzieło! Z gorączką w sercu zamknęłam książkę nad ranem. Ile pan tam siły włożyłeś!... Musiałeś to pisać jednym tchem — prawda?

S i e k l u c k i (posępnie). Nie pamiętam już!

A n n a. Ale ja pamiętam! I wie pan, doskonale widzę chwilę, kiedy pisałeś pan końcowy rozdział. To było tu—przy tem biurku. Weszłam temi drzwiami cichuteńko. Nad panem pochylony stał nieboszczyk pan Wrangowski. Przez te okna wpadały całe promienie słońca i poprostu zalewały całą redakcyę. Pan pisał zakończenie, w którem prawda tak pięknie, tak potężnie tryumfuje.

Pan promieniał cały. Z tych promieni pozostało wiele w tej książce...

S i e k l u c k i (porywczo). Czy chcesz mi zrobić jedną łaskę, Anno?

A n n a. Mów pan—słucham cię!

S i e k l u c k i (nerwowo). Nie mów mi nigdy o mych dawnych pracach. Tamto był inny człowiek... tu inny! Dawniej — tę redakcyę zalewały promienie słońca, teraz, widzisz, o! story spuszczone, co?.... Nora, ciemnica! W tej norze, przy tem biurku, ja... odpowiedzialny redaktor poczytnego organu, którego właścicielem nie pan Wrangowski, idealista, marzyciel—ale pan Rastawiecki...

(Po chwili).

Ty jesteś inteligentną, Anno — rozumiesz mnie.

A n n a (ze smutkiem). Ha! skoro pan chcesz, niech i tak będzie. Ale pozwól, że ci jedno tylko powiem. Żle z tobą... zapadasz w apatyę.

S i e k l u c k i. Jestem przepracowany. A najwięcej zużywa mózg taka sieczka, jaką tu codziennie z mózgów wysypać musimy...

A n n a. E! to znękanie chwilowe. Ja znam pana.

S i e k l u c k i. Za szaro tu, Anno — za szaro... Niedługo będzie za czarno!

A n n a. Rozjaśnij sam.

S i e k l u c k i. Pragnę — ale tu już nawet źródła jasniesze wyschły; redakcja utracą powoli swoją szlachetną popularność. Tłum wyczuł to, co się tu święci za temi oknami. Przestano zwracać się do nas z zaufaniem, Własnej inicjatywy nam mieć nie wolno... (Wyciąga się na krzesło i ręce w górę podnosi powolnym gestem). Żle, Anno — źle...

A n n a. Co znowu! Żle jest wtedy, gdy przestajemy czuć, iż źle się z nami dzieje, bo wtedy to już rzeczywiście... śmierć. Mnie dziś mój mąż powiedział, iż... mnie wytresuje...

S i e k l u c k i. Duszę twą wytresuje?

A n n a. Tak, tak — bo karku mi chyba żadna szpicruta nie zegnije. Otóż kto powinien powiedzieć „źle“ — to ja, słaba kobieca dusza, którą chce tresować silniejsza prze-moc mężka. A widzi pan, jaka jestem pełna siły i energii. Jestem zdolna do buntu — jestem bardzo zdolna.

S i e k l u c k i (patrzy na nią z upodobaniem). Rzeczywiście, Anno — ty jesteś uosobioną walką i samodzielnością. W obecność

ci twojej zawsze zaczynam nabierać otuchy do życia.

A n n a. A widzi pan! jak dobrze, że choć te kilka chwil porozmawiałam z panem. Pan należysz do liczby tych mężczyzn, którzy potrzebują jednej maluchnej iskierki, aby z pod ich popiołów wybuchnął nawet płomień.

S i e k l u c k i (śmiejąc się). W płomień nie uwierzę.

A n n a. Kto wie! kto wie! To byłoby za straszne, ażeby pan — ja... mieli marnie węgutować pod przemocą... Nie, to niepodobna!

S i e k l u c k i. Czy znajdujesz, że jesteśmy tak bardzo na świecie potrzebni?

A n n a (z ożywieniem). Tak! tak! Sam do mnie mówiłeś. Często jeden gest ma wielkie, przepotężne znaczenie. Gest szlachetny! O! dziś ja do pana z prośbą. Mam sprawę — dobrą sprawę.. taką naszą sprawę. Człowiek jeden, nazwiskiem Braun, zjawił się przed tygodniem w biurze dobroczynności. Mój mąż, jako sekretarz, wspomniął mi o nim — tak, po swojemu, ot... jak się mówi o zanadto zużytej sile, której nikt już do pracy wziąć nie chce. Tego Brauna, po 27 latach pracy, wypędził na bruk jego chlebobdawca. A wiesz, za co? Oto za to, że

ten sterany starzec ośmielił się upomnieć o podwyższenie mu płacy. Po 27 latach upomniał się po raz pierwszy... słyszysz pa n? przecież to okropne!

S i e k l u c k i (mimowoli zainteresowany powstaje, zbliża się do stołu i opiera się w ten sposób, że stoi plecami do drzwi wchodowych. Anna także). Tak, lecz to fakt nie oderwany. Znam całą seryę tych faktów.

A n n a. Tak, ale ten wybija się nad inne. Braun jest u mnie, dałam mu przytułek w kuchence; mieszkamy obecnie przy biurze; pan wie — ciasno, ale gdy urzędnicy wyjdą, mamy prawo przebywać w lokalu biurowym. Pozwoliłam więc Braunowi pomieścić się w kuchni. Żona jego, staruszka, chora, gdzieś się przytuliła za rogatkami. Ale to trwać nie może. Trzeba z tego zrobić jakiś pożytek.

S i e k l u c k i. I cóż pomyślałaś, Anno?

A n n a. Oto, czy nie mógłbyś pan porużyć tej kwestyi w „Świcie“?

S i e k l u c k i (z ironią). To będzie zależeć od tego, jak nasz szef zadecyduje, Anno.

A n n a. Zechciej pan raz — zechciej.... (z energią). Ależ, na Boga! patrz, tu two-

je nazwisko! (pokazuje mu numer „Świtu“). Tyle razy mówiłeś mi o kasach emerytalnych. Czy teraz z racji Brauna nie mógłbyś?...

S i e k l u c k i (ożywiając się). Kasy emerytalne... tak! tak! idea Wrangowskiego. Och! gdyby można...

A n n a (gorączkowo). Ależ, będzie można. Zechciej tylko! Braun tu przyjdzie—Braun wszystko panu opowie.

S i e k l u c k i (ożywiony). Tak, tak! niech przyjdzie, spróbujemy... Mam tu w szufladzie jeszcze gdzieś notatki w kwestyi kas, robione ręką Wrangowskiego... Na dwa tygodnie przed śmiercią robił je dla mego użytku.

(Idzie do biurka i szuka w szufladzie).

A n n a (rozradowana). Tak, tak! znajdź je pan i weź sprawę Brauna jako punkt wyjścia.

(Po chwili).

A! wreszcie mi się pan budzić zaczynasz!

S i e k l u c k i (wyciągając ku niej rękę). Jaki ty masz dziwny dar, Anno, działania na mnie korzystnie. Chwilami zdaje mi się: noc, przepaść, ja na dnie. Ty wejdiesz, podsuniesz jakąś myśl—i lżej... (uderza pięścią w biurko) nie taki ciężki.

A n n a. A widzisz! a widzisz! (po chwili, patrząc na niego serdecznie). Żebyś pan wiedział, ile ja mam do pana przywiązania i wdzięczności. Przez ciebie, przez Wrangowskiego stałam się kobietą czynu, pracy, energii... Więcej — nawet to, czem będzie moja córka, będzie także waszem dziełem.

S i e k l u c k i. Słuszne, bo nie nie ginie, ani złe, ani dobre.

A n n a. I dlatego dziś, kiedy panu chwilowo sił brak, ja zwracam to, co od ciebie otrzymałam.

S i e k l u c k i. I dziękuję ci za to gorąco!

(Stoją złączeni uściskiem rąk. W tej chwili wchodzi Rastawiecki, zdejmując palto, wieszając je i zbliża się szybko do stołu z dziennikami, patrząc z pod binokli na Siekluckiego i Annę).

S C E N A IV.

CIŻ SAMI i RASTAWIECKI (człowiek lat średnich, wysoki, tęgi, z brodą, w binoklach, ubrany dostаточно, ruchy i zachowanie się aroganckie, ciągle żuje końce własnej brody).

R a s t a w i e c k i. Dzień dobry! A!... to pani Smolkiewicz?

A n n a (bez uniżoności). To ja — sortuję dzienniki.

R a s t a w i e c k i (ironicznie). W oryginalny sposób.

A n n a (dumnie). W każdym razie w zgodny z mojem sumieniem i poczuciem obowiązków.

(Wchodzi metrampaż i podchodzi do biurka do Siekluckiego, tak, że zasłania sobą Annę i Rastawieckiego przed Siekluckim. Zaczyna rozmawiać z Siekluckim i pokazuje mu skrypta, które ten numeruje).

R a s t a w i e c k i (coraz więcej arogancko, mrużąc oczy). Pani, zdaje się, zameźna?

A n n a (j. w.). Cóż to znaczy to pytanie?

R a s t a w i e c k i. Obowiązki kobiety zamężnej może pani rozumieć jak jej się podoba, ale względem swej pracy biurowej — tak jak mnie się podoba! A zdaje mi się, że pani nie wypełnia tego, co do niej należy.

A n n a. O tem ja mogę tylko sądzić. Proszę zmienić do mnie ton mowy, bo tem poniżasz samego siebie, nie mnie! Proszę mi się usunąć!

(Wychodzi drzwiami środkowymi).

R a s t a w i e c k i. Gadzina!

(Metrampaż odchodzi powoli).

S i e k l u c k i. Cóż to ma znaczyć?

R a s t a w i e c k i. Ta pani mi się nie-podoba. Muszę z nią jakiś porządek zrobić.

S i e k l u c k i. Cóż to ma znaczyć?

R a s t a w i e c k i. Nic, nie! Tylko uchy-bić sobie nikomu nie pozwolę.

(Przegląda dziennik „Świt“).

Jak to wygląda! jak to wygląda! puste, czcze...

S i e k l u c k i (patrzając przed siebie). Nie moja wina, że się nikt nie zabił, ani wieża ratuszowa nie runęła.

R a s t a w i e c k i. Puste słowa! Pan nie umie nawet wyzyskać tytułów telegramów. A pan ma przecież literacką firmę. Pan jest za mało dziennikarzem.

S i e k l u c k i. Tak!

R a s t a w i e c k i. Skoro nic niema — wymyśl pan co.

S i e k l u c k i. Tak, pewnie... żeby się inne dzienniki czepiły, że podajemy niepraw-dziwe szczegóły.

R a s t a w i e c k i. Mój panie, zanim one się czepią, my nakład możemy rozprzedać.

S i e k l u c k i (żydowskim akcentem, z iro-nią). Może być!

(Bębni po biurku palcami i patrzy w okno).

S i e k l u c k i (wydobywając z szuflady skrypta). Dziś chcę dać na drugi felieton tę wyborną krytykę literacką. Jest to rodzaj skorowidzu...

R a s t a w i e c k i. Dziś, panie Sieklucki, pójdzie na drugi felieton ten artykuł.

S i e k l u c k i. Ależ to kompilacya bez wartości.

R a s t a w i e c k i. Pójść musi. Patrz pan na nazwisko... profesor uniwersytetu!... To ktoś, kogo potrzebujemy obecnie nieodzwownie. Pan się tak rozpisałeś o konflikcie na wszechnicy i dałeś nam stanowisko stronicze za młodzieżą, że to może zaszkodzić pismu. Ja muszę to naprawić i ciało profesorskie ułagodzić.

S i e k l u c k i. Tak dawno nie nie było z działu literackiego.

R a s t a w i e c k i. Są ogłoszenia książek.

S i e k l u c k i (zdenerwowany). To inse-raty.

R a s t a w i e c k i. Przepraszam—wcieli-my to w tekst dziennika.

S i e k l u c k i (j. w.). To niemożliwe. Ja nie mogę polecać dzieł, których nie znam.

R a s t a w i e c k i. To być musi. Płacą dobrze...

Sieklucki (j. w.). Mnie to nie nie obchodzi. Ja daję moją literacką firmę—ja odpowiadam.

Rastawiecki (podnosząc ton). A ja odpowiadam za to, ażebyś pan na pierwsze go miał wypłaconą pensję... pan i pańscy dłużnicy.

Sieklucki. Daj mi pan spokój!
(Zaczyna pisać).

Rastawiecki (zmieniając ton). Pan nie chce wejść w położenie moje, panie Sieklucki. Pan wie, jakie tu są straszne wydatki, a pan jeszcze mi chce imponować swoją literacką firmą.

Sieklucki (odkładając pióro i siłąc się na spokój). O jedno prosić pana będę, panie Rastawiecki, to jest o to, ażebyś, mówiąc ze mną, ironiczne swe poglądy co do mej literackiej działalności pozostawił na boku.

Rastawiecki. Sam mi pan nią w oczy rzucasz. I po co? Co ona panu dała? Dziennikarstwo wyciągnęło pana ze szponów żydowskich i dało sytuację. Żle panu?

Sieklucki (nerwowo). Bardzo nawet dobrze.

Rastawiecki. No, kiedy dobrze, to dziękuj pan Bogu i staraj się, aby się nie zmieniło (przegląda dziennik). A! a!

S i e k l u c k i. Co znowu?

R a s t a w i e c k i. Zbiegowisko! gdzie zbiegowisko?

S i e k l u c k i (gryząc usta). Nie pomieściliśmy—nie było dokładnych wiadomości.

R a s t a w i e c k i (pieniąc się ze złości). Nie było wiadomości?! A w „Gońcu“, a w „Poranku“ — patrz pan, szpalty! szpalty! (rzuca pismami po ziemi). Co to znaczy? Ja płacę tylu ludzi, a niema nic, niema nikogo do roboty... Gdzieindziej dwóch ludzi i panna z administracyi robią to, co tu pół tuzina...

S i e k l u c k i (z wysiłkiem). Posłałem Parnesa i Balka. Kazałem wziąć dorożki. Parnes ma przywieźć jakiegoś trupa, który leży pod Pieskową górą.

R a s t a w i e c k i. Przywiezie! przywiezie! Przedtem, zanim on się tam zawlecze, inni nam tego trupa sprzątną.

(Wchodzi metrapaź; Sieklucki, nie zważając na Rastawieckiego, oddaje metrapażowi skrypta i wydaje pocichu dyspozycye. Wchodzi Bonecki, zdejmuje płaszcz, wiesza i siada przy biurku naprzeciw Siekluckiego, od którego Rastawiecki odstępuje).

R a s t a w i e c k i (pokazując zegar). Panie Bonecki, patrz pan!

B o n e c k i (wysoki, przystojny mężczyzna; mówi wolno, z uśmiechem, nigdy nie

zmieniając wyrazu twarzy). Musiałem pisać artykuł wstępny.

R a s t a w i e c k i (chwytając mu z rąk). Pokaż pan (czyta). Za słabo! za słabo!

B o n e c k i. Wczoraj pan mówiłeś, że nie należy się angażować.

R a s t a w i e c k i. Tak, ale przejrzyj pan dzisiejsze dzienniki — zostaliśmy w tyle... Wzmocnij pan. Możesz użyć kilka razy podłość, szubrawstwo, nikczemność. Pozwalam panu.

B o n e c k i (spokojnie). I owszem.

(Pisze).

R a s t a w i e c k i (chodzi nerwowo po redakcyi). Przeglądu politycznego niema?

S i e k l u c k i. Zaraz będzie. Gdzie są nożyczki?

(Bierze ogromne nożyce i zaczyna wycinać i lepić na kawałku papieru wycinki).

R a s t a w i e c k i. Proszę pana. Chciałem powiedzieć, żeby co do wojskowości—to ją zostawić na czas jakiś w spokoju. (Chwila milczenia). Tak wypada z moich kombinacyj. A... jeszcze... no—już nic... piszcie!

(Chłopcy wchodzą i zabierają skrypta).

S C E N A V.

CIŻ SAMI, RÓŻYCKI (młody, jasny blondyn, szepleniący).

R ó ż y c k i. Dzień dobry panom redaktorom!

R a s t a w i e c k i (wściekły). Jesteś pan? Coś pan przyniósł?

R ó ż y c k i. Nic, nic — coś tam z życia młodzieży.

R a s t a w i e c k i. Dlaczego pan nie dowiadywałeś się nic o zbiegowiskach?

R ó ż y c k i. Ja słyszałem w kawiarni... słyszałem.

R a s t a w i e c k i. Czemuś pan nie przyniósł do redakcyi?

R ó ż y c k i. Bo ja sobie pomyślałem: albo to prawda!...

S i e k l u c k i. Idź pan do sądu. Tam znów jest defraudacya... ta...

R a s t a w i e c k i (szybko). Jaka? bankowa?

S i e k l u c k i. Tak.

(Różycki wybiega).

R a s t a w i e c k i. Bez litości... bez litości... wszystko... wszystko drukować—rozu-

mie pan, bez pardonu! My dziś z nimi na noże... Dyrektor, nie dyrektor — wszystko jedno! A—i potem jeszcze... Co do zbiegowisk. Przedstawić rzecz całą, jak ma miejsce; sympatyj, sentymentów nie zaznaczać, żadnej tendencji nie objawiać. Stało się tak i tak... i basta.

S i e k l u c k i. Barwa naszego pisma i jego program musi wziąć jasno i otwarcie stronę słuszności.

R a s t a w i e c k i. Co? jak?... Panu się ciągle zdaje, że Wrangowski jeszcze żyje.

S i e k l u c k i (silnie). On umarł, ale pan, obejmując pismo, kazałeś mi podpisać odezwę do czytelników, iż nie odstępisz ani na jotę od jego kierunku.

R a s t a w i e c k i. Nie odstępuję.... ale w duchu. Ja przede wszystkim muszę pismo postawić na własnych nogach, aby się rentowało. Zrozumiałeś pan?

S i e k l u c k i. Zrozumiałem. (Do Boneckiego). Kolega masz papierosy?

B o n e c k i. Proszę!

R a s t a w i e c k i (podając papierośnicę). Proszę moje.

S i e k l u c k i. Dziękuję...

R a s t a w i e c k i. Lepsze, niż pana Boneckiego.

Sieklucki. Wierzę... ale nie wezmę.

Rastawiecki. Pan masz chimery.

Sieklucki. To jedno, co mi zostało.

Rastawiecki. Nie — to nie powinno w panu zostać. To złe, jeszcze dawne nawyczki. Dziennikarstwo, proszę pana, to wyższa tresura... Narowów żadnych — gładkie chodzenie po zakreślonym terenie. I zmiana tempa... Z prawej, z lewej — czasem galop, to znów stępo...

Sieklucki (zapalił papierosa, włożył ręce w kieszenie i siedzi, patrząc szklanym wzrokiem na stojącego koło biurka Rastawieckiego). Czasem przykleknąć, gdy cukru podają...

Rastawiecki. A zwłaszcza brać przeszkody! hop! hop!... nawet przez ogniste obręcze...

Sieklucki (j. w.) Nawet przez ogniste obręcze... Pan to ślicznie opowiada.

Rastawiecki (dumny, poprawiając okulary). Prawda? co? ja mam styl!

Sieklucki (j. w.). Obrazowo pan mówi... Pan w środku areny, a w koło przez obręcze kłusują, skaczą w takt walca, albo mazura dusze ludzkie. Ha! ha! ha!

Rastawiecki (śmiejąc się). Nie dusze ludzkie, tylko dziennikarskie!

S i e k l u c k i (zanosząc się, nerwowo). Aha! tak—zapomniałem. Etyka dziennikarska i ogólnoludzka. Pan to rozgranicza. Pan nas tresuje... Słyszysz, Bonecki, pan nas tresuje!

R a s t a w i e c k i (trochę zmieszany). No, co znowu... tak nie myślałem.

S i e k l u c k i. Nie wypieraj się pan, nie wypieraj, bo to było genialnie powiedziane. To teraz w modzie; tu już dziś była także taka jedna tresowana dusza—tylko ta harda i znarowiona! Ha! ha!

S C E N A VI

CIEŻ SAMI, PARNES.

P a r n e s (wpada zadyszany). Jest! jest!

R a s t a w i e c k i. Trup?

P a r n e s. Tak! Bardzo porządny — siedem ran. Nie zbadano, kto... zaraz... napiśzę... Pan dyrektor każe wypłacić dorożkarzowi.

R a s t a w i e c k i (skrzywiony). Mogłeś pan piechotę...

P a r n e s. Ta jak? ta co? taże to ze dwie mile.

(Rastawiecki wychodzi, po chwili wraca).

P a r n e s. Zaraz—obrobię taki miechał do kroniki, że wszyscy zdębieją.

(Siada do biurka. Słysząc dzwonek telefonu).

R a s t a w i e c k i. Może rada rozwiązana!!

(Biegnie do telefonu. Wszyscy słuchają).

R a s t a w i e c k i (do telefonu). Co? prostować? paragraf dziewiętnasty? Mój panie, pan kpisz! Skarż pan nas do sądu.

(Dzwoni).

S i e k l u c k i. O co chodzi?

R a s t a w i e c k i. Dyabli wiedzą! Ktoś chce, żeby coś prostować. Także! Niby dziennik jest do prostowania. Sensu niema.

S i e k l u c k i. Jak zaskarżą?...

R a s t a w i e c k i (z głośnym śmiechem). To pan posiedzi. Pan przecież jest odpowiedzialnym redaktorem, a nie ja.

(Idzie do stołu i przegląda dzienniki).

A to psie dusze, znów zaczepiają! Czytałeś pan?

S i e k l u c k i. Co? „Gońca“? nie.

R a s t a w i e c k i (podaje mu dziennik). Czytaj pan!

S i e k l u c k i (czyta). Ależ to zgroza!... ależ to ohydne! Zarzucają nam wprost szan-

taż, przekupstwo, zdradę! Na to trzeba zaraz odpowiedzieć.

R a s t a w i e c k i (zimno). Oszalałeś pan!

S i e k l u c k i (zrywa się). Jakto? puścić to płazem?

R a s t a w i e c k i. Ależ patrz pan... to jest przecież koniec kwartału... Chcą wywołać polemikę i ściągnąć prenumeratorów. To jest taka sama reklama i wożenie plakatów kozami po ulicy...

S i e k l u c k i. Ale ogół co pomyśli?

R a s t a w i e c k i. Ogół pomyśli co chce, a ja polemizować z „Gońcem“ zabraniam. Nie myślę robić reklamy drugiemu pismu. I wogóle proszę panów nie używać tytułów pism. Omijać, ile się da. Pisać trzeba: pewne pismo, pewien dziennik... Jeśli chcą, aby o nich pisać, to do inseratów... do inseratów. Rozumiecie panowie?

B o n e c k i. Z przyjemnością, panie dyrektorze!

S i e k l u c k i. Więc obelgi w kieszeń schować? Nie reagować? Niech pan pamięta, że „Świt“ zawsze reagował.

R a s t a w i e c k i. Tak... i dlatego on spadał, a inne pisma szły w górę.

(Milczenie. Wszyscy piszą. Rastawiecki chodzi od biurka do biurka).

S C E N A VII.

CIŻ SAMI i BRAUN.

Braun---jest to starzec 60-letni, ubrany bardzo ubogo, ale czysto; oczy zaczerwienione, cera twarzy żółta. Jest bardzo nieśmiały i mówi prosto, cichym głosem.

B r a u n. Dzień dobry świetnej redakcyi. R a s t a w i e c k i (opryskliwie). Czego chcecie? Jak po prośbie—tu niema nic.

B r a u n. Proszę świetnej redakcyi, ja tu względem uzalenia się.

S i e k l u c k i. A, to wy, ojciec Braun?

B r a u n. Do usług świetnej redakcyi.

S i e k l u c k i. Chodźcie tu bliżej, do mojego biurka.

R a s t a w i e c k i. Co to za interes?

S i e k l u c k i. Nie wiem jeszcze; gdy się dowiem, poinformuję pana. Proszę, panie Braun, niech pan siada.

(Wskazuje mu krzesło obok biurka. Rastawiecki wychodzi, inni współpracownicy piszą cicho, pogrążeni w pracy).

B r a u n. Dziękuję wielmożemu panu, ja postoję.

S i e k l u c k i (niecierpliwie). Proszę siadać, proszę!

(Braun siada na brzegu krzesła, mruga powiekami i milczy).

S i e k l u c k i. Miał pan jakąś skargę?

(Braun przeżuwa ustami i milczy).

S i e k l u c k i. Na pana Steiermarkta.

B r a u n. Tak; to Steiermarkt, ten, co ma tę wielką cegielnię za rogatkami.

S i e k l u c k i. Cóż on panu zrobił? Nie zapłacił?

B r a u n. Ale, o! zapłacił!

S i e k l u c k i. No, więc cóż? Czemu pan nie mówisz? Boisz się?

B r a u n (tajemniczo). Niby boję się, żeby się w to nie wdał sąd.

S i e k l u c k i. Cóż to, jaka zbrodnia?

B r a u n. Nie—ale widzi wielmożna osoba, biedny to się pary z ust boi puścić... Ot, lękam się, żeby przez to oskarżenie jeszcze jakowego prześladowania na siebie nie ściągnąć.

S i e k l u c k i. Nie bójcie się. Skoro macie sumienie wolne od zbrodni, to o cóż chodzi? Więc byliście u tego Steiermarkta?

B r a u n. A jakże! Niech go tam Pan Bóg sądzi! Dwadzieścia osiem lat byłem przy cegielni i strasznie się, wielmożna osobo, sterałem. Wzrok to mi pył ceglany wyżarł, tak, że wielmożną osobę ledwo widzę. Niby dozorcą byłem. Brałem guldena niby dziennie. Moja dorabiała praniem, to łątała, to szyła; ale na dwoje to niby skąpo, a tu starość przyszła i zabezpieczenia nijakiego. Więc my gadu, gadu i powiada stara: „Idź ze ty do Steiermarkta, do samego niby i powiedz mu, jako się sterałeś na służbie przez te 28 roki i niech ci przyrzuci ze dwie szóstki, to bez jakie parę roków złożymy ta może ze dwie stówki, jak przyńdzie już całe niedołęztwo...”

(Sieklucki notuje).

B r a u n. Może ja wielmożnej osobie przeskadzam?

S i e k l u c k i. Nie, nie, mówcie dalej!

B r a u n. Tak idę. Steiermarkt był właśnie w kancelaryi. Kłaniam mu się i tak pokornie mówię, jak mi moja powiedziała; a on nagle w krzyk: „Jak? co? dorzucić? za co? za to, żeś teraz niedołęga? że nie już nie możesz?” I tak krzyczy, krzyczy! We mnie żółć wezbrała, ale ja milczę, bo to wielmożna osoba wie, że biednemu Bóg dał gębę na to, aby milczała i jeść pragnęła.

Stoję więc i słucham, bo się już tak bez moje pieskie życie tego nauczyłem. Wielmożna osoba się ze mnie śmieje, wielmożna osoba tego nie rozumie, co to słuchać pańskiego krzyku.

S i e k l u c k i (z uśmiechem). Słyszysz, Bonas? My nie wiemy, co to słuchać pańskiego krzyku!... No, no, mówcie dalej — i cóż Steiermarkt? Jakże się skończyło?

B r a u n. Źle się skończyło, wielmożna osobo! Wieczorem zawołali mnie do obrachunku i kazali iść, iść zaraz z cegielni — niby, że jako ja nie zdolny do dozoru. A jakże to? gdzie ja sterał siły? Toć psa dotrzymają w budzie, jak się zestarzeje! Zwlekli my się ze starą, bo niby żartów nie było — i poszli. Ona pojechała za roгатki do kumy, ale tam nędza, ledwo dla niej ciasny kącik na kuferku, a ja tak oto, niby ten pies bez domu. Poszedłem do onego biura dobroczynności, ale do służby gdzie to przystać, kiedy to ani widzę, ani słyszę. Zlitowała się nademną ta dobra pani i dała kątek, ale jakże mi tam u niej siedzieć. Tak ja myśle, że przecie, gdyby panowie choć opisali, jaka mi się krzywda stała... co?

S i e k l u c k i. Opiszemy! opiszemy! Bądźcie spokojni, ojcze Braun.

B r a u n. Ino, że ja za to opisanie... to zapłacić wam nie mogę. Chyba Pan Jezus wam zapłaci.

P a r n e s (który się zbliżył). A może to pijaczyna?

S i e k l u c k i. Parnes, nie obrażaj tego człowieka.

P a r n e s. Jaka to obraza? Lubicie kieliszeczek, ojczy?

B r a u n. Ale zaś... Nigdy nie pijał i pić nie będę.

S i e k l u c k i. Idź do swej roboty, Parnes.

P a r n e s. Dajcie mi go do kroniki. Mam dużo miejsca.

S i e k l u c k i. Nie — ja go sobie zostawię... Napiszę artykuł o konieczności kas emerytalnych. Napiętnuję czyn Steiermarkta, jak na to zasługuje.

(Rastawiecki wszedł i słucha).

R a s t a w i e c k i. Steiermarkta? Można! można! I dobrze go—bez pardonu!

B r a u n. Dziękuję wielmożnym osobom! A to już krzywda moja... to... jeden Bóg wie... i ta Matka Boska...

(Obciera oczy).

R a s t a w i e c k i (do Siekluckiego). Ja dawno już miałem na niego chrapkę. Wy-

bornie się złożyło... bardzo, bardzo w interesie dziennika! Pozwalam panu pisać, jak i co pan chce. On mi dobrze załatwił za skórę—pamięta pan... On „Gońca“ podtrzymał przeciw nam w tej kampanii ostatniej podczas wyborów do rady miejskiej. (Do Brauna). Możecie iść. Jesteście już nie potrzebni.

B r a u n. Bogu wielmożnych panów oddaję! Codzień modlić się będę; dziękuję, pokornie dziękuję! Całuję rączki!

R a s t a w i e c k i (usuwa go za drzwi). Dobrze, już dobrze! idźcie!

(Wraca).

R a s t a w i e c k i. Dziś musi iść ten artykuł, dziś koniecznie. Steiermarkt to siła, to potęga—trzeba ją będzie zgnieść... Tryumf nielada! Właśnie wracam z administracyi—dowiaduję się, że odpadają nam prenumeratorzy. Czemś dziennik trzeba podnieść koniecznie, koniecznie!

(Bonecki wstaje i ze skryptem w ręku idzie ku drzwiom).

R a s t a w i e c k i. Gdzie pan idzie?

B o n e c k i. Idę sam do drukarni. Gdyby to można połączenie zrobić. A to jesteśmy zupełnie odosobnieni od drukarni i administracyi.

(Parnes wstaje i ubiera się w palto).

R a s t a w i e c k i. Zrobi się — myślę
- o tem. (Do Parnesa). Gdzie pan idzie?

P a r n e s. Idę na róg, do handelku, może ztamtąd co przyniosę...

R a s t a w i e c k i (ze skrzywieniem). A idź pan, idź...

(Siada przy biurku Boneckiego. Sieklucki pisze).

S C E N A VIII.

SIEKLUCKI, RASTAWIECKI, później ZIMMERSTOCK.

R a s t a w i e c k i. Pan pisze o Steiermarkcie?

S i e k l u c k i. Tak.

R a s t a w i e c k i. A nazwisko proszę pisać całemi literami. Niech nas pozna, niech wie, kto my jesteśmy. Nazywał nas „chorągwią na dachu“... On się nie podpisywał, ale on te artykuły inspirował. Pokażemy mu chorągiew!

(Telefon).

R a s t a w i e c k i (idzie do telefonu). Halo! halo! Pan Balk? Czemuż pan nie przychodzi do redakcyi? he? A, tak? patrzcie! mają zamiar wejść do miasta! ilu? E! to

niewielu! Idź-że pan z nimi i wracaj na czas...

(Wsuwa się Zimerstock, żyd, ale w surducie, zezowaty).

Z i m e r s t o c k. Niema pana Balka?

R a s t a w i e c k i. Niema.

Z i m e r s t o c k (nieufnie patrzy na wszystkie strony). A pana Parnesa też niema?

R a s t a w i e c k i. Niema.

Z i m e r s t o c k. Ich nigdy niema... To dzisiaj pierwszy.

R a s t a w i e c k i. Wynos się ztąd, lichwiarzu! wynos się zaraz!

(Zimerstock chowa się, przerażony).

R a s t a w i e c k i (zirytowany). Ja nie rozumiem, co to jest! Dlaczego dziennikarze nie mogą żyć bez długów? To coś niepojętego!

S i e k l u c k i. Zostań pan dziennikarzem, to pan zobaczysz, dlaczego.

R a s t a w i e c k i. Jestem dziennikarzem i nie mam długów.

S i e k l u c k i. Pan jesteś chlebobdawcą a my... chlebobiorcy.

R a s t a w i e c k i (siada przy biurku Boneckiego). Ta ta ta... to są frazesy. Główna rzecz, że prenumeratorzy spadają. A to pana wina, pana, pana...

S i e k l u c k i. Moja?

R a s t a w i e c k i. Pana. Po co było da-
wać tę seryę artykułów o mieszkaniach stró-
żów? Przecież „Świt“ prenumerują nie stró-
że, ale właściciele domów...

(Chwila milczenia).

R a s t a w i e c k i (innym tonem). Panie
Siekłucki... Pan, zdaje mi się, jesteś chłó-
pem.

S i e k l u c k i (trochę zmieszany). Tak—
jestem z chłopów.

R a s t a w i e c k i. A jak pan się napraw-
dę nazywasz?

S i e k l u c k i (j. w.). Siekla.

R a s t a w i e c k i. Wie pan... to się wy-
bornie składa.

S i e k l u c k i. Co takiego?

R a s t a w i e c k i. Ja tak myślę... że my
dla zaznaczenia naszej potęgi powinniśmy
nagle wysunąć jakąś sensacyjną kandyda-
turę...

S i e k l u c k i (zdziwiony). Dokąd?

R a s t a w i e c k i. Mniejsza z tem — do
sejmu. Teraz idą wybory. Do rady pań-
stwa, jeśli będzie rozwiązana. Pan ma trzy-
dzieści lat?

S i e k l u c k i. Mam. Ale pan się myli,
panie Rastawiecki, ja nie będę kandydował

R a s t a w i e c k i. Banialuki! Wyborna może być sensacya. Siekla... Antoni Siekla! Ja pana przeprowadzę.

S i e k l u c k i. A ja przeprowadzić się nie dam.

R a s t a w i e c k i. Ciekaw jestem, dlaczego?

S i e k l u c k i. Bo jestem przeciwny tej formie urzędzeń, jakie teraz panują. Dla mnie to smutna komedya a dla kraju kosztowna... za kosztowna.

R a s t a w i e c k i. Pomyśl pan... sytuacya...

S i e k l u c k i. Reklama dla pisma? Dziękuję, kandyduj pan sam. Ja pana przeprowadzę!

(Śmieje się ironicznie. Siedzą obaj przy biurkach, rozparci z rękoma w kieszeniach i mierzą się oczyma).

R a s t a w i e c k i. Nie, to nie mój genre. Mnie zajmuje dopomagać innym wychodzić na... ludzi. Przytem to leży w moim interesie, w interesie wzrostu pisma. Pan jesteś wybornie nadający się do tej sprawy. Siekla! Siekla!... Syn ziemi! syn roli! o!...

S i e k l u c k i (gniewnie). Proszę—pozostaw mnie pan w spokoju!

R a s t a w i e c k i. Przepraszam — ja to mówię seryo. Ja wydobędę to pana pochodzenie...

S i e k l u c k i (gniewnie i chmurnie). I posłużysz się niem pan.

R a s t a w i e c k i (zimno). Nie wiem.... może... kto wie...

S i e k l u c k i (zrywając się). Ja wiem, że tak nie będzie!

R a s t a w i e c k i (zimno, bawiąc się binoklami). A ja się założę, że tak będzie! (po chwili). Kończ pan artykuł, a potem przyjdź pan do administracyi. Tam na pana czekają.

(Siekłucki siada, ociera pot z czoła i pisze dalej. Chwila milczenia).

R a s t a w i e c k i (po chwili). Pan się gdzie rodził?

S i e k l u c k i (zdenerwowany). W chałupie—gdzie było chłodno i głodno... Kontent pan jesteś?

R a s t a w i e c k i. Chciałem się dowiedzieć, w jakim powiecie?

S i e k l u c k i. Tego się pan nie dowiesz.

R a s t a w i e c k i. Ja o wszystkim się dowiem, skoro zechcę.

(Wchodzi telefonista).

R a s t a w i e c k i (do telefonisty). Spóźniłeś się pan. Idź pan prędko do swego telefonu—może tam rada rozwiązana—my nie nie wiemy.

(Telefonista wychodzi).

S i e k l u c k i (odkłada pióro i patrzy na Rastawieckiego). Pan mi przed chwilą za-
imponowałeś.

R a s t a w i e c k i (ucieszony). A! wresz-
cie!...

S i e k l u c k i. Tak—wreszcie. A powiem
panu, dlaczego. Pan zaczynasz być dla mnie
zagadką. Ja pana nie mogę przeniknąć....
Pan zakazujesz mi, gdy nadejdzie naprzy-
kład taka jak dziś sposobność z temi zbie-
gowiskami, zabrać głos swobodnie i zazna-
czyć nasz kierunek. Gazujesz pan — rozsta-
wiasz parawany... a nagle strzela panu do
głowy postawienie kandydatury chłopaka...
prawdziwego chłopaka... Bo ja jestem kość
z kości chłop. Jakże to pogodzić?

R a s t a w i e c k i (dumny i zachwycony
sobą). A! a!... tu pana czekałem! Dlatego,
że pan byłeś prawą ręką Wrangowskiego, że
byłeś jego beniaminkiem i echem — myśla-
łeś, że już jesteś skończonym dziennikarzem.
Ale ani pan, ani twój Wrangowski nie jes-
cieście dziennikarzami. On był utopistą, któ-
remu chodziło o... czytelników a nie o pre-
numeratorów; a pan z utopii nie możesz jesz-
cze się wyzwolić. Zkądże więc pan możesz
mnie zrozumieć!... (Wstaje i chodzi po poko-
ju, wreszcie staje przed Siekluckim). Tak!

chcę, aby „Świt“ wysunął i poparł kandydaturę chłopską, mimo, że nie pozwalam panu rozwijać swoich krzykliwych i utopistycznych frazesów. A to dlatego, że łagodne i umiarkowane pismo zawsze znajdzie uznanie u tych czytelników, którzy płacą—więc przedewszystkiem należy ich ściągnąć i związać z pismem mocą przyzwyczajenia. (Po chwili). Ale... i tu zważ pan cały mój spryt, zważ pan! Taka łagodność i umiarkowanie może przesycić — więc trzeba zrobić coup d'état! zamach stanu.... Wielki, forsowny skok! Wtedy następują dwie ewentualności—albo część lubiących spokój prenumeratorów odpada, na to miejsce jednak przybywają inni, zwabieni hałasem; albo—nikt nie odpada... Jedni są steroryzowani, inni olśnieni. I tu spryt Metternicha... o! Trzeba taki zamach przeprowadzić zaraz po kwartalnej prenumeracie. Kto tam przyjdzie pieniądze za kwartał odbierać!... A potem, po trzech miesiącach, czytelnik o wszystkim zapomni, strawi, przyzwyczai się a pismo urośnie w sławę i w znaczenie. (Z zapalem). Wielki zamach! Coup d'état! voila! (Po chwili). I oto dlaczego Antoni Siekła zostanie posłem a w dniu wyboru „Świt“ bić będzie w 20,000 egzemplarzach!

S i e k l u c k i (ironicznie patrzy na Rastawieckiego, który dumnie stoi przed nim,

z rękami w kieszeniach). Wspaniałe! Pan jesteś Napoleonem dziennikarstwa!

R a s t a w i e c k i. Naturalnie! I powiedz pan, czy pański Wrangowski wymyśliłby coś podobnego? Czy onby coś takiego wymyślił?

S i e k l u c k i. Nie—to mogę panu przyznać, iż Wrangowski nie wymyśliłby nic równie genialnego... panie dyrektorze!

R a s t a w i e c k i (w dobrym humorze). No, wreszcie zdecydowałeś się pan nazwać mnie dyrektorem!

S i e k l u c k i (z ironicznym ukłonem, siedząc w fotelu). Raczej dyktatorem powinienem być cię nazwać, panie Rastawiecki.

SCENA IX

CIŻ SAMI, METRAMPAŻ.

R a s t a w i e c k i (do metrampaża). Co pan chce?

M e t r a m p a ż (trzymając w ręku długie paski z naskładanymi artykułami). Nie wiem, co mam z tem wszystkim zrobić. Ogromny mi się nazbierał zapas.

R a s t a w i e c k i. Schowaj pan; jak będzie miejsce, to się wpakuje.

S i e k l u c k i (przegląda to, co metrampaż przyniósł). To niepodobna. Wszystko to już było w innych pismach od dwóch, trzech tygodni. Nie możemy się narażać na śmieszność!

R a s t a w i e c k i (wpadając w furię). Co? jak? A z tem co się stanie? To ma iść na śmiecie? To są pieniądze! rozumiecie! pieniądze!

(Do metrampaża z furią).

Dlaczego pan tyle naskładałeś? Jakaś pan śmiał?

M e t r a m p a ż. Muszę mieć na wypadek, gdyby linia telefoniczna była przerwana....

R a s t a w i e c k i (z gniewu jakby nieprzytomny). Nie! nie! Pan to umyślnie robisz! Pan jesteś kreaturą Wrangowskiego i chcesz mieć swoją wolę! Pan nie chcesz widzieć we mnie szefa!

M e t r a m p a ż (blady z gniewu i drżący). Nie widzę w panu w tej chwili szefa, ale człowieka, który mnie obraża!

R a s t a w i e c k i (j. w.). Co to jest obraża? co to jest?! Ja panu płacę i pan musisz to robić, co ja każę!

M e t r a m p a ż (j. w.). Pan nie masz prawa mnie lżyć i znieważać pamięć mego dawnego szefa!

R a s t a w i e c k i (j. w.). Powinienem był was wszystkich zmienić, kiedy obejmowałem redakcyę. Wrogów sobie trzymam za moje pieniądze!

S i e k l u c k i. Panie Rastawiecki — pan się zapomina!

R a s t a w i e c k i (j. w.). Ho! ho! gdybym pozwolił, pismoby dawno dyabli wzięli! Ale ja na to nie pozwolę. System! system pana Wrangowskiego! Towarzysze! towarzysze pracy!

M e t r a m p a ż (zdławionym głosem). Proszę zana o natychmiastowe uwolnienie.

R a s t a w i e c k i. Z chęcią! Proszę do administracyi, obliczymy się! Szczęśliwy będę, gdy się od pana uwolnię!

(Wybiega szybko środkiem).

S C E N A X.

SIEKLUCKI, METRAMPAŻ.

Chwila milczenia. Metrampaż stoi blady i przybity.

S i e k l u c k i (cicho). Panie Tuszyński. pan jesteś płatny z dołu, czy z góry?

M e t r a m p a ż (cicho). Z góry.

S i e k l u c k i. To znaczy, że nie dostaniesz pan dziś ani centa.

M e t r a m p a ż. Nie dostanę.

S i e k l u c k i. A masz pan co odłożonego?

M e t r a m p a ż (ze łzami w oczach). Z czego, panie redaktorze? z czego? Żona, dzieci czworo... Dwóch starszych chłopców chodzi do szkoły — pan wie, potrzeba kupić buty, książki, ubranie — bo rośnie to jak na drożdżach. Z czego złożyć? z czego?

S i e k l u c k i. Cóż pan teraz zrobisz? Tak łatwo miejsca nie dostaniesz. Wszystkie pisma mają swoich metrampaży.

M e t r a m p a ż. Powiesić się chyba przyjdzie!

(Siada, płacząc cicho, na szeslongu).

S i e k l u c k i (wstaje i podchodzi ku niemu). Pan musisz się tu zostać, panie Tuszyński.

M e t r a m p a ż. Obraził mnie... Człowiekiem jestem!

S i e k l u c k i. Ojcem jesteś — i to biednym ojcem. Musisz więc zgryźć w sobie tę obrazę! He! he! ciężko? ja wiem. Ale co? Ambicya, to często droga rzecz! My sobie na nią pozwolić nie możemy.

M e t r a m p a ż. I pan także, panie redaktorze? i pan?

M e t r a m p a ż. I pan także, panie redaktorze? i pan?

S i e k l u c k i. Nie mówmy w tej chwili o mnie — mówmy o panu. (Siada przy me-trampażu na szeslongu). To życie, widzi pan, nieubłagane życie. Czepiło pana zębami, jak w tryby... chcesz się pan wydrzeć, coś w panu krzyczy. buntuje się — a tu nie wolno, bo co... buciki drogie, za zelówkę nawet płacić trzeba; a cóż — zelówka spadnie i chłopiec biegnie do szkoły boso... A jak on ukrywa tę nogę, którą obił o kamienie, jak ukrywa pod ławkę, aby się inni nie śmieli, że ma dziurawe, biedne obuwie... To wszystko tragedia... to już dziecinna tragedia...

M e t r a m p a ż. Strasznie ciężko! Wie pan — coraz ciężej. Zamiast się przyzwyczaić, ja się codzień więcej buntuję... a tu ani w prawo, ani w lewo. Och! grzech, ale budzi się we mnie żal, ból, gniew; ot, do krwi ręce gryzę—widzi pan.

S i e k l u c k i. Tak, tak! To jest taka mała tragedia, koło której świat przechodzi i nikt jej nie spostrzega. Wijesz się pan, wijesz — a pod jarzmo pójść musisz... No, idź pan do drukarni; ja się z Rastawieckim zobaczę i tę sprawę załagodzę. Przecież to już nieraz tak było.

GABRYELA ZAPOLSKA.

M e t r a m p a ż. Nieraz, nieraz... (wstaje). Dziękuję panu, panie redaktorze. Pan jesteś dobrym człowiekiem.

S i e k l u c k i (śmiejąc się gorzko). Ja?... człowiekiem? Ależ, panie! dopiero Rastawiecki wy kieruje mnie na „ludzi“... A jakże! on! Co? bajeczne, he?... Na ludzi... I mnie i pana! co?

(Wychodzi środkiem).

S C E N A XI.

METRAMPĄŻ, ZIMERMAN, później SIEKLUCKI i PARNES.

(Metrampaż ociera oczy, wzdycha; zbiera z ziemi rozrzucone kartki i kieruje się ku głównemu wyjściu. Pojawia się Zimmerman; ostrożnie wsuwa głowę i rozgląda się).

Z i m e r m a n. Niema nikomu?

M e t r a m p a ż. Niema. A czego?

(Wychodzi).

Z i m e r m a n. Ja tak sobie... do panów redaktorów z wizytą.

(Wchodzi; obchodzi naokoło biurka, przechodząc koło telefonu; telefon dzwoni; Zimmerman, przerażony, staje i przygląda się tele-

fonowi. Parnes otwiera drzwi a zobaczywszy Zimermana, zatrząskuje i znika. Wchodzi Sieklucki i siada przy biurku).

Z i m e r m a n (zbliża się tajemniczo). Proszę wielmożnego redaktora, coś tam dzwoniło.

S i e k l u c k i. Proszę się wynosić i po redakcyi nie łązić.

Z i m e r m a n. Ja nie... ja tylko, że to pierwszy — więc do pana Balka i do pana Parnesa z wizytą...

S i e k l u c k i. Niema tych panów—proszę sobie iść.

(Siada przy biurku i pisze).

Z i m e r m a n. To ja na ulicy poczekam.
(Wychodzi).

SCENA XII.

SIEKLUCKI, STEIERMARKT.

(Wchodzi cicho Steiermarkt. Jest to niemiecki żyd, rośli, tęgii, ale już zacierający swe pochodzenie. Ma w ustach grube cygaro, ubrany bardzo dostatnio; podchodzi powoli do Siekluckiego i staje obok biurka).

S i e k l u c k i (po chwili, spostrzegając go). Pan—kto?

Steiermarkt. Ja jestem Steiermarkt.
(Siekłucki zrywa się i mimowoli zasłania zapisane ćwiartki papieru).

Steiermarkt (ukośnie patrzy na papier). Pan jest sam pan Siekłucki?

Siekłucki (chłodno). Tak. Czem mogę panu służyć?

Steiermarkt (grzecznie). Ja mam dużo do pomówienia. To w interesie dziennika. Czy to do pana należy?

Siekłucki. Pan się zechce udać do pana dyrektora Rastawieckiego.

Steiermarkt. To pan.... do tego.... nie?

Siekłucki. Nic.

Steiermarkt (arogancko). No — to... nie przeszkadzam...

(Siekłucki zaczyna pisać, Steiermarkt chodzi po redakcyi, gwizdże i ogląda mapę i fotografie).

Steiermarkt. On prędko przyjdzie?

Siekłucki. Kto?

Steiermarkt. No... pan Rastawiecki.

Siekłucki. Właśnie idzie.

(Rastawiecki wchodzi i na widok Steiermarkta staje jak wryty. Siekłucki zabiera swe papiery i zdenerwowany wychodzi na prawo).

S i e k l u c k i. Pan Steiermarkt ma interes do pana dyrektora... Ja pójdę mój artykuł dokończyć w tamtym pokoju. (Ze znaczeniem patrząc na Rastawieckiego). Już mi niewiele brakuje. Udał mi się. Pan dyrektor dał mi *carte blanche*...

(Odchodzi na prawo, patrząc ironicznie na Steiermarkta. Ten, strapiiony, śledzi go wzrokiem, wreszcie powraca do równowagi i zbliża się do Rastawieckiego).

S t e i e r m a r k t (z kurtuazją). Jestem szczęśliwy, mogąc pana poznać, panie Rastawiecki.

R a s t a w i e c k i (siląc się na wyniosłość). Nie widzę przyczyny tego szczęścia.

S t e i e r m a r k t. Ja bardzo lubię moim wrogom spojrzeć prosto w twarz. To bardzo przyjemnie, jak można sobie w oczy powiedzieć: „za co mnie pan nienawidzi?“

R a s t a w i e c k i. W takim razie — i ja mam pewną satysfakcję, mogąc pana zapytać: „za co mnie pan nienawidzi?“

S t e i e r m a r k t. A, kochany panie Rastawiecki, to już bardzo stara między nami historia. Jak ja miałem w *entreprenzie* budowę dworca, to „Świt“ się mnie ciągle czepiał, ciągle czegoś dokuczał. Całe szpalty były pełne Steiermarkta. To była paskudna historia.

R a s t a w i e c k i. Wtedy, gdy pan budowałeś dworzec, to dziennik do mnie nie należał. To była jeszcze własność Wrangowskiego. Dlaczego pan w dwa lata później uczyniłeś mnie odpowiedzialnym za to, co robił Wrangowski?

S t e i e r m a r k t. Ja na pana osobiście nie nie napisałem.

R a s t a w i e c k i. Pan nie — ale z insynuacyi pana „Goniec“ gryzł mnie przez blisko pół roku.

S t e i e r m a r k t. Czemu pan nie nie odpowiadałeś?

R a s t a w i e c k i (z godnością). „Świt“ nigdy się nie zniża do polemiki. Zresztą — my panu odpowiemy prędzej, niż pan przypuszczasz.

S t e i e r m a r k t (obojętnie). Ja to wiem.

R a s t a w i e c k i. Zkąd?

S t e i e r m a r k t. Jak ja wszedłem, to jeden pana oficjalista, o! ten, co tu siedzi pod oknem, pisał coś o mnie. Ja tylko stanąłem przy biurku i spojrzałem. Steiermarkt ma dobry wzrok. Leżała taka długa éwiartka a na niej było ze trzy razy moje nazwisko. Pański oficjalista ma ładny, czytelny charakter... Widzi pan, jaki ja mam dobry węch i jak się to dobrze stało, że ja dzisiaj przyszedłem.

R a s t a w i e c k i. To się na nic nie zda, bo artykuł czy tak czy tak iść musi.

S t e i e r m a r k t (z flegmą). Artykuł nie pójdzie, kochany panie Rastawiecki. My pogadamy a pan sam zrozumie, że pan-by sobie krzywdę wyrządził, będąc ze Steiermarktem w niezgodzie.... (po chwili). Ja usiądę.

R a s t a w i e c k i. Proszę, niech pan siada...

(Siadają przy stole, więcej ku stronie lewej, koło biurek).

S t e i e r m a r k t. Może panu można służyć cygarem?

R a s t a w i e c k i. Dziękuję. Palę tylko papierosy.

S t e i e r m a r k t. Niezdrowo. Mój doktor powiedział, że trzeba tylko palić cygara, dobre cygara. (Zapala świeże cygaro). A teraz — my dwaj będziemy rozmawiać z sobą, panie Rastawiecki. (Po chwili). Kochany pan Rastawiecki — on mnie przez druk nawymyślał... ja jemu—i teraz my siedzimy, jak dwa najlepsze przyjaciół.

R a s t a w i e c k i. O! zaraz najlepsze!...

S t e i e r m a r k t. No... nie wyzwali my się na pojedynek, ani się czynnie nie zelżyli — to już można liczyć, że to duża przyjaźń. Ja do pana jako poseł...

R a s t a w i e c k i. Pan? od kogo?

S t e i e r m a r k t. Od kogoś, komu pan jeszcze więcej dokuczał, niż mnie. Pan ciągle mu dokucza... Pan strasznie wojuje... aj! aj!... to być tak długo nie może... to źle—bo to zupełnie miasto demoralizuje.

R a s t a w i e c k i (bawiąc się binoklami). A! to pan mówi o banku mieszczańskim, panie Steiermarkt.

S t e i e r m a r k t (z fałszywym uśmiechem). A! jak pan zgadł zaraz, kochany panie Rastawiecki!

(Uderza go po kolanie).

R a s t a w i e c k i (z takim samym śmiechem). A! jaki ja jestem domyślny, kochany panie Steiermarkt!

(Uderza go po kolanie).

S t e i e r m a r k t. No — i powiedz pan, czy my teraz nieprzyjaciele? Jedna myśl—w mig się odgadujemy.

R a s t a w i e c k i. No, no, mów pan dalej, panie Steiermarkt.

S t e i e r m a r k t. Ja już powiedziałem bardzo dużo, panie Rastawiecki. Teraz pań powinienes coś rzeknąć i to mądrego.

R a s t a w i e c k i. To ja rzeknę... Bankowi chodzi, żeby teraz trochę przycichł? Co?

Steiermarkt. Tak; bo my wiemy, że teraz będą kontra a pan się czepi, nie czekając i całą winę na nas zwalać zacznie. Co? he? zgadłem, kochany panie Rastawiecki?

Rastawiecki (spokojnie). Zgadłeś, kochany panie Steiermarkt.

Steiermarkt. Tymczasem to wszystko się wyjaśni. Potem, co do tych głodów, to my pierwsi z banku zawiązali komitet ratunkowy, gdzie są: panie i moja żona i dyrektorowa i inne. Wyślemy partyami tych ludzi i będzie znów na cały rok spokój. Dziś nawet posiedzenie komitetu. My prosimy, żeby albo pan, albo kto inny od pana przyszedł.

Rastawiecki. Z innych pism będą?

Steiermarkt. Ze wszystkich. My wybrali na miejsce posiedzenia biuro dobroczynności, bo to teren neutralny—to wszyscy tam się zejść mogą.

Rastawiecki. Ja tam wydeleguję mego naczelnego redaktora. Ale to nie zmienia postaci rzeczy. Tem mnie pan nie ułagodzi. Ja zawsze będę niewzruszony.

Steiermarkt. Panie Rastawiecki! do czego to panu? Pan chce w tem szukać reklamy i sensacyi... Pozwól pan—ja też jestem przedsiębiorca, pan też jesteś przedsię-

biorca — tylko, że ja robię w cegle a pan w bibule. No, tak jest—co robić! Więc ja rozumiem, że pan chce swoje przedsięwzięcie podtrzymać.

R a s t a w i e c k i. Cóż to, pan myśli, że „Świt“ tonie?

S t e i e r m a r k t. Niech Bóg zachował! Ja złego wyrażenia użył. Pan chce przedsięwzięcie... rozwinąć. To rozumna rzecz, bo pański dziennik dobrze stoi. On będzie jeszcze lepiej stał, jak pan zmieni taktykę.

R a s t a w i e c k i. Nie mogę zmienić — postępuję według sumienia i przekonania.

S t e i e r m a r k t. Aj! aj! jakie to są czcze słowa, panie Rastawiecki! Gdyby je wymówił pan Wrangowski, to jabym się z nim nie sprzeczał, bo on był chory na idealizację... ale pan! pan!...

R a s t a w i e c k i. Nie jestem idealistą ale mam przekonania swoje—przy nich stoję i stać będę.

S t e i e r m a r k t. Dlaczego, jak wygodny fotel podsuną, nie usiąść? Przekonania kruki nie rozniosą.

R a s t a w i e c k i. Czy mi pan taki fotel ofiarowuje? Może krzesło prezydenta ministrów?

S t e i e r m a r k t. Nie — ja tak daleko się gać nie mogę, ale ja panu proponuję

sojusz, który dla pisma będzie bardzo skuteczny...

R a s t a w i e c k i (do chłopca, który przeszedł i kieruje się ku drzwiom na prawo). Dokąd idziesz?

C h ł o p i e c. Po artykuł, który pan redaktor Sieklucki ma jeszcze dać przed kroniką.

R a s t a w i e c k i. Zaczekaj... (do Steiermarkta). To się wszystko na nic nie zda, ja jestem człowiek z jednej bryły. (Do chłopca, który chce iść na prawo). Idź do drukarni; przyjdiesz po artykuł za pięć minut.

S t e i e r m a r k t (z uśmiechem do chłopca). Tak, kochaneczku, idź sobie; przeszkadzasz nam, przychodzisz napróżno.

C h ł o p i e c. Proszę pana dyrektora — pan metrapaź powiedział, że to już ostatni czas.

R a s t a w i e c k i. Wynoś się—niech czekają...

S t e i e r m a r k t. Niech czekają.

R a s t a w i e c k i (ze znaczeniem). Aż pan redaktor Sieklucki artykuł dokończy. (Chłopiec wychodzi środkiem. Chwila milczenia).

R a s t a w i e c k i (bawiąc się binoklami). Pan mnie zaciekawił, panie Steiermarkt. Pan mi proponował sojusz...

Steiermarkt. Ja?

Rastawiecki (zbity z tropu). No... przed chwilą.

Steiermarkt. Ach, tak! ale to bez znaczenia. Pan tak wszystko odrzucasz... — i to możesz odrzucić... Ten sojusz, to właściwie koalicja chwilowa... na czas trwania wyborów sejmowych...

Rastawiecki. A!

Steiermarkt. Tak, tak! (porzucając ton nieszczerzy). Ja panu powiem otwarcie— ja kandydować zamierzam. Pan się nie dziwi?...

Rastawiecki (odzyskując pewność siebie). Mów pan dalej.

Steiermarkt. Ja—i mam duże szanse. Nie miejsce je wyliczać... zresztą, pan wie. Dalej będzie kandydował dyrektor banku mieszczańskiego. Pan się nie dziwi?

Rastawiecki (zimno). Mów pan dalej....

Steiermarkt. Mogłoby się w sojuszu znaleźć miejsce i dla pana, względnie dla pańskiego kandydata.

Rastawiecki. Ja jeszcze kandydować nie myślę.

Steiermarkt. Tak, pan ma rację. Pan byłbyś jeszcze między nami homo no-

vus. Ale ręka rękę myje... Widzi pan, agitacya wyborcza to dla pana jest teren. Gdy kandydaci poleceni przez „Świt“ wyjdą, gruntuje się potęga pisma. Pan jest zanadto sprytny, żeby to panu już nieraz przez myśl nie przeszło. Sposobność wyborna. (Po chwili). Chcesz pan iść z nami? Za mną są postępowi żydzi a pamiętaj pan... to dużo... (Chwila milczenia). Pan nic nie mówi? Pan się namyśla? To, panie, więcej warte, niż wszystkie walki z bankami. Pan zaimponuje miastu, krajowi. Pan każe się ze sobą liczyć. O „Świcie“ mówią teraz, że zbladł, że zmalął, że nie ma tej potęgi, co dawniej. A czem „Świt“ stał? Polityką—choć ona była taka rozczochrana — ale była... Ma pan kogo? ma pan jakie nazwisko?... coś, co może przejść?...

R a s t a w i e c k i (ociągając się). Może-bym i miał...

S t e i e r m a r k t. Kto.

R a s t a w i e c k i (krótco). Chłop.

(Steiermarkt otwiera usta i milczy).

R a s t a w i e c k i. A! przybiłem pana? co? No! jak ja mogę połknąć dyrektora banku i pana—to wy musicie mojego chłopca.

S t e i e r m a r k t. Ale po co? Jest przecie tylu porządných ludzi—można wybrać

R a s t a w i e c k i (twardo). Nie, panie—warunek za warunek... Albo mój chłop, albo nic.

S t e i e r m a r k t (ze śmiechem). No.... niech on będzie! Ja wierzę w pana spryt i wiem, że pan masz w tem coś mądrego pod pokrywką. A zresztą, co tam... To tylko na plakacie... my się na tym papierze nie pozjadamy... Prawda? co, kochany panie Rastawiecki?

(Uderza po kolanie Rastawieckiego).

R a s t a w i e c k i (uderza po kolanie Steiermarkta). Prawda, kochany panie Steiermarkt!

SCENA XIII.

RASTAWIECKI, STEIERMARKT, SIEKLUCKI.

Sieklucki przechodzi i chce wyjść głównymi drzwiami; trzyma skrypta w ręku.

R a s t a w i e c k i. Pan idzie do drukarni, panie Sieklucki?

S i e k l u c k i. Odnoszę wiadomy artykuł gotowy, panie dyrektorze — chłopiec się nie zjawił.

R a s t a w i e c k i (od niechcenia). Pokaż go pan!

S i e k l u c k i (blednąc z oburzenia). A!... (po chwili). Pan mi dał carte blanche, panie dyrektorze — dlatego, pan daruje, ale ja odmawiam pana życzeniu. Za artykuł ten odpowiadam ja, jako człowiek! Jeśli się kto będzie nim czuł obrażony—dam satysfakcję!
(Wychodzi środkiem).

S t e i e r m a r k t. Panie Rastawiecki! co teraz będzie?

R a s t a w i e c k i (spokojnie). Niech pan będzie spokojny! artykuł ten nie pójdzie. Niech zecerzy składają — ja go wycofam... A!... niech-no pan załatwi tę sprawę ze starym Braunem... bo to o tę sprawę się rozchodzi...

S t e i e r m a r k t (wzburzony). O to? Ale to najmniejsze—to się zaraz zrobi... To stary niedołęga!... to przekłete bydle... (do Rastawieckiego). No... więc my dwaj przyjaciele! Można na pana liczyć?

R a s t a w i e c k i. A na pana można liczyć?

(Mierzą się oczyma).

S t e i e r m a r k t. Steiermarkt nigdy w interesach nie zawodzi.

R a s t a w i e c k i. I Rastawiecki nigdy w interesach nie zawodzi.

S t e i e r m a r k t. A więc od dziś o banku mieszczańskim już... milczenie.

R a s t a w i e c k i. O tyle... o ile.

S t e i e r m a r k t (natarczywie). Nie....
zupełnie...

R a s t a w i e c k i. No, no.... nie byłem
nigdy nadto srogi.

S t e i e r m a r k t. A więc zasadniczo
ugoda stanęła. Wszystkie szczegóły, detale
omówimy w tych dniach.

R a s t a w i e c k i. W tych dniach....
A! i przedstawię panu mojego kandydata!

S t e i e r m a r k t (przy drzwiach). Po co?
Poznam go na plakatach wyborczych. (Po
chwili). Pan mi się podoba w interesie. Pan
dużo nie mówi, czasu nie zabiera... W lot
pan zrozumiał... W dziesięć minut my zro-
bili coś, co zadziwi cały kraj. A teraz cho-
dzi, żeby to wszystko z taktem... z taktem...
rozumnie. Zresztą, pan to potrafi!

(Wchodzi Sieklucki środkiem, bez skryptów).

R a s t a w i e c k i. A więc—żegnam pana.

S t e i e r m a r k t. Żegnam pana dyrek-
tora!

(Kłania się Siekluckiemu, który nie odpow-
wiada na ukłon i odchodzi).

S C E N A XIV.

RASTAWIECKI, SIEKLUCKI, PARNES,
potem BONECKI.

(Sieklucki idzie do swego biurka, siada i za-
czyna pisać. Rastawiecki siada przy biurku

Boneckiego, wchodzi Parnes, siada przy swoim biurku).

R a s t a w i e c k i (do Siekluckiego). Cóż? nie ciekaw pan dowiedzieć się po co tu był Staiermarkt?

S i e k l u c k i (krótco). Nie.

R a s t a w i e c k i. Słusznie. Bo jeżeli był stary Braun, to dlaczego nie mógł przyjść i Staiermarkt.

S i e k l u c k i. Pan się myli. Stary Braun przywłókł się tu ledwo żywy a pan Staiermarkt przyjechał parą bardzo pięknych koni.

R a s t a w i e c k i. Tem lepiej dla niego.

S i e k l u c k i (ze znaczeniem). Tem gorzej dla Brauna!

R a s t a w i e c k i. Panie Sieklucki, ja uważam, że pan dziś jesteś bardzo rozdrażniony i zmęczony. Pan dziś pracowałeś całą noc. Trzeba żeby się pan położył, pan musi odpocząć—tembardziej, że o siódmej musi pan pójść na posiedzenie komitetu głodowego do biura dobroczynności.

S i e k l u c k i (ze śmiechem). Patrzcie! już i komitet się utworzył!...

(Bonecki wchodzi).

R a s t a w i e c k i. Tak... za inicjatywą banku mieszczańskiego. Ja razem z panem wyjdę. Pan Bonecki zrobi dziś rewizyę—dobrze?

B o n e c k i. Z przyjemnością panie Dyrektorze!

(Siada do biurka).

S i e k l u c k i. Chciałem jednak mój artykuł przejrzeć.

R a s t a w i e c k i. A to po co? Dałem panu carte blanche, więc słowa nie cofam. Możesz pan pisać o Staiermarckie co się panu podoba... Niech pan przejdzie do administracyi, tam wypłacą panu pensyę. Ja się ubiorę i wyjdę za panem.

(Sieklucki wychodzi, biorąc z narazów palto).

R a s t a w i e c k i (szybko do Boneckiego rozkazującym tonem i bardzo dobitnie). Panie Bonecki! artykuł Siekluckiego o sprawie Brauna, proszę usunąć z dzisiejszego numeru i skrypt odesłać mi w zamkniętej kopercie do domu. Z kroniki tak samo wycieczki przeciw dyrekcyi banku mieszczańskiego usunąć zupełnie. Wogóle, w całej rewizyi numeru zwrócić uwagę, aby nie było żadnej zaczepki w stronę tego Banku (z naciskiem). Proszę o to panie Bonecki. Liczę na Pana.

B o n e c k i (z niezmieniającym się wyrazem twarzy). Zastosuję się do rozkazów pana dyrektora!

R a s t a w i e c k i. A artykuł... (gest ręką).

B o n e c k i. Rozumiem panie dyrektorze

(Sieklucki zjawia się we drzwiach).

R a s t a w i e c k i (do Siekluckiego z wyjątkową grzecznością). Gotów pan? Wyplacili?

S i e k l u c k i (ironicznie). Co do centa! U Pana zawsze wypłacają!

R a s t a w i e c k i (tryumfująco). Ha? prawda? co?... no papierosika (częstuje Boneckiego i Parnesa, którzy biorą; Siekluckiego, który nie chce) nie?... no, trudno?... a teraz chodźmy.. chodźmy, kochany panie Sieklo! (Wyprowadza pod rękę Siekluckiego, Bonecki i Parnes piszą).

Kurtyna wolno zapada.

AKT DRUGI.

Jeden z pokoi w biurze dobroczynności. Dość duży pokój, przedzielony forsztowniem nie dochodzącem do sufitu o szklanych szybkach i otwartych okienkach. Drzwiczki w forsztowniu. Po prawej dwa wysokie kantorki, na nich kałamarze i pióra, książki rachunkowe. Pomiedzy kantorkami okno bez firanek, kilka krzeseł. Duży stół pośrodku. Lampa wisząca nie zapalona, powoli ściemnia się. W chwili podniesienia zasłony jest pauza milczenia, poczem ze drzwi na lewo, prowadzących do dalszych pokoi, wychodzi Smolkiewicz.

SCENA I.

SMOLKIEWICZ, ANNA, ZOSIA.

(Smolkiewicz mężczyzna w średnim wieku, układny, grzeczny wobec zwierzchników, w domu brutalny względem Anny. Smolkiewicz w chwili otwarcia kurtyny stoi oparty o okno i patrzy na ulicę. Dzwonek. Smol-

kiewicz idzie otworzyć drzwi, wchodzi Anna z Zosią, obie w kapeluszach i żakietach).

S m o l k i e w i c z. Wreszcie raczyłyście wrócić.

A n n a. Spieszyłyśmy się, w sklepach tłok, trudno się o co doprosić.

(Zdejmuje kapelusz Zosi i swój i odnosi do swego pokoju; przez ten czas Zosia podbiega do ojca).

Z o s i a. Tatuniu! Mamcia nie porządne-
go kupić nie chciała.

(Anna wchodzi, spogląda uważnie na Zosię i Smolkiewicza).

S m o l k i e w i c z. Pokaż co kupiłaś?

A n n a. To, na co nas stać było. Książkę taną i tanio oprawną.

S m o l k i e w i c z (wściekły). Dlaczego nie kupiłaś tej neseserki, którą wybrałem?

A n n a. Uznałam ją za niestosowną.

S m o l k i e w i c z. Zosia nie może dać córce radcy namiestnictwa takiego nędznego prezentu. To niepodobna.

Z o s i a. A widzi Mamcia! Ja mówiłam odrazu, że inne panienki zanosą Loli ładniejsze prezenta.

A n n a. Ty jesteś córką ubogich rodziców. Lola wie o tem.

S m o l k i e w i c z. Jedna racya więcej ażeby zaskarbić sobie dobre względy u osób wpływowych. Ojciec Loli może się nam

przydać... Przez dziecko do rodziców... Tę książkę oddasz a ja jutro sam kupię nese-serkę.

A n n a. Wyjdź Zosiu do pokoju. W kuchni jest kawa, przygotuj wszystko co potrzeba do podwieczorku.

Z o s i a. Czy i ojcu Braunowi dać kawy?

S m o l k i e w i c z. Poco!... (do żony) Ja nie rozumiem co ci przyjdzie z żywienia tego niedołągi.

A n n a. Wyjdź Zosiu!

(Zosia wychodzi, zamieniając z ojcem porozumiewawcze spojrzenie).

S C E N A II

SMOLKIEWICZ, ANNA

A n n a (ze łzami) Proszę cię, proszę cię... zastanów się, co robisz! ty mi deprawujesz dziecko. ty niszczysz całą moją pracę nad wyrobieniem w niej uczciwego i szlachetnego sposobu myślenia.

S m o l k i e w i c z. Milczeć! co to za komedye!.. Zosia będzie praktyczną, rozsądną kobietą a nie jakąś fiksatką, jak ty

A n n a. Rozwijasz w niej fałsz, obłudę, chęć podchlebstwa tym, którzy mogą jej coś dać w przyszłości.

S m o l k i e w i c z. A komuż mamy się podchlebiać, może tym, którzy nic dla nas uczynić nie mogą?

A n n a. Nie powinniśmy się przed nikim płaszczyć.

S m o l k i e w i c z. Aj! aj! co za Kato w spódnicy!.. (chodzi po pokoju i ustawia stół i krzesła tak jak do posiedzenia, nakrywa stół suknem, stawia dzwonek, kładzie papier, pióra i kałamarze). Ludzie biedni muszą wyznawać zasadę, gdzie nie można przeleżć, tam trzeba podleżć...

A n n a. To darmo, mnie nigdy nie przerobisz!

S m o l k i e w i c z. Przerobię aniele! przerobię!... zobaczysz! będziesz tak tańczyć jak ja ci zagram. A!... co do Brauna. Dość już długo rezydował w kuchni. Niech idzie na cztery wiatry.

A n n a. Dokąd chcesz ażeby poszedł?

S m o l k i e w i c z. A mnie dyabli do tego. Niechcę ażeby pan Steiermarkt dowiedział się, że go u siebie trzymamy. To może nam zaszkodzić w oczach pana Steiermarkta.

A n n a. A ten do czego ci znów potrzebny?

S m o l k i e w i c z. Dziś do niczego... Ale kto wie, jak i co może być w przyszłości. Ja jestem przezorny. Zabezpieczam się. Steiermarkt potęga, Braun zero. Wybieram potęgę. Nie jestem tak jak ty. Niemam wszędzie wrogów.

A n n a. Ja mam wrogów? ja?

S m o l k i e w i c z. Ty, zadzierasze ze wszystkimi—ludzie nienawidzą cię.

A n n a. Jak jacy ludzie.

S m o l k i e w i c z (z naciskiem). Ja nie mówię o hołocie—ja mówię o ludziach. I proszę z Braunem skończyć. Czy słyszane?

A n n a. Cała sprawa Brauna przybiera inne rozmiary. Sieklucki wziął ją w swe ręce. Braun uzyska to co mu się należy.

S m o l k i e w i c z (wściekły). Pan Sieklucki? On bierze w ręce sprawę Brauna!.. To pyszne!.. On się stawia! Błazen!

A n n a. Milcz! nie obrażaj człowieka godnego szacunku.

S m o l k i e w i c z. Błazen mówię! Kreatura Wrangowskiego, tego waryata, który swego idealizmu strawić nie mógł i umarł z tej idealno-teoretycznej niestrawności.

S C E N A III.

CIEŻ SAMI, STRÓŻ REDAKCYJNY.

S m o l k i e w i c z. Co tam?

S t r ó ż r e d a k c y j n y. To do pani Smolkiewiczowej, list od pana administratora.

A n n a (szybko). Dobrze. . zostaw.

(Stróż wychodzi).

(Anna otwiera list, czyta, błędnie, pociera ręką po czole i milcząc, siada na krześle).

S m o l k i e w i c z. Czego mi psujesz symetryę krzeseł?. co?.. Cóż to za list? dostałaś podwyżkę?... Zdałoby się. Dwa lata siedzisz na jednej pensyi. Nie umiesz chodzić koło swych interesów... No... cóż? czegoś siedzisz jak martwa?

(Chce wziąć list z ręki).

A n n a. Zostaw. Albo nie, czytaj, lepiej że się odrazu dowiesz.

S m o l k i e w i c z (czyta). Co?.. co?... jak?.. dymisya!.. oddalają cię stante pede?... co to znaczy?... co ty zrobiłaś?...

(Anna milczy).

S m o l k i e w i c z. Co ty zrobiłaś? mów!... chcę wiedzieć!...

(We drzwiach ukazuje się strwożona Zosia).

A n n a. Puść mnie! nie szarp! nie masz do tego prawa!

S m o l k i e w i c z (wściekły). Mam prawo! mam! jestem twój mąż.. do mnie należysz.. wszystko moje, więc i twoje postęпки. Zdaj mi z nich rachunek... odpowiadaj!.. co robiłaś że cię wypędzają z redakcyi?

Z o s i a (przybiega i tuli się do matki). Ta tasiu!... nie krzycz na Mamcią!

S m o l k i e w i c z. Nieodpowiesz?... nie chcesz odpowiedzieć?... dobrze—ja i tak się dowiem!... Idę sam do redakcyi, idę... idę...

(Chwyta za kapelusz).

Z o s i a Tatusiu!

S m o l k i e w i c z. Puszczaj mnie.

SCENA IV.

ZOSIA, ANNA.

(Anna opiera głowę o poręcz krzesła i zakrywa oczy).

Z o s i a (podchodzi do niej). Ty płaczesz Mamusiu?

A n n a (smutnie). Nie dziecko... nie płaczę.

Z o s i a. Przecież jesteś zmartwiona.

A n n a. Tak... i właśnie dlatego płakać nie mogę. Głowa mnie boli... pójdę, położę się trochę. Posiedź tu cichutko. Masz, przejrzyj tę książkę. Jeszcze dość widno.

Z o s i a. Dobrze Mamo!

(Anna powoli wychodzi na lewo. Zosia chwilę siedzi spokojnie na krzeselku, potem słyszy ciche pukanie do drzwi wchodowych, biegnie i otwiera. Wchodzi Braun).

Z o s i a. Wy tędy ojcze Braunie?

B r a u n. A no, pukałem do kuchni, nikt się nie odezwał, to przychodzę przez biuro. Tato jest?

Z o s i a. Wyszedł.

B r a u n. Tem lepiej... Boję się go.

Z o s i a. O! Tato bardzo się gniewać lubi. O teraz... strasznie się na Mamcię rozniewał, krzyczał i polecał...

(Po chwili).

Ach Boże! mnie tak strasznie smutno jak się tak Mama z Taciem pogniewa. (Braun chce iść do pokoju na lewo). Niech Braun tam nie idzie. Mamcia się położyła.

Braun. A no — to chyba mi panienka pójdzie cichutko i do kuchni otworzy
(Kieruje się ku wyjściu).

SCENA V.

BRAUN, STEIERMARKT.

Braun (zobaczywszy Steiermarkta, staje przerażony). To pan?... wielmożny pan?...

Steiermarkt (z niechęcią, którą stara się pokryć). Ja przychodzę, bo mam tu interes w biurze... muszę się coś dowiedzieć... Nawet to dobrze, że ja was tu spotkałem... Ja mam wam coś powiedzieć.

Braun (cicho i trochę hardo). Wielmożny pan przecie już swoje słowo powiedział, jak mnie kazał precz z miejsca wygonić... i to po dwudziestu ośmiu latach służby.

Steiermarkt. Pleciecie jak na mękach. (Do Zosi). Panienka nas zostawi? co?... My tu mamy z Braunem o czymś ważnem powiedzieć.

Zosia. Ale pan ojcu Braunowi nic złego nie robi? bo my ojca Brauna bardzo lubiemy. Mamcia by się gniewała.

Steiermarkt. Nic złego nie zrobię.

Przeciwnie, ja chcę nawet mu dużo dobrego wyświadczyć.

(Zosia wychodzi).

St e i e r m a r k t (ostro do Brauna). Co to Braun? ty po redakcyach na mnie na skargę chodzisz? Jak ty śmiałeś zrobić coś takiego?

(Braun milczy i tylko oczami mruga, nie patrząc na Steiermarkta).

St e i e r m a r k t. Tyś mi się tak wywdzieczył? To dwadzieścia osiem lat chleb mój jadłeś a za te moje dla ciebie względy na starość skargi na mnie rozpościerasz? co?

B r a u n (mrucząc). Jeślim chleb pański jadł, tom na niego ciężko robił, ciężko, od świtu do zmroku warowałem i użerałem się za pana dobrem. Darmo nic od pana nie brałem.

St e i e r m a r k t. To też miałem cię za dobrego sługę i szanowałem cię więcej niż innych.

B r a u n (ośmielając się). Pięknie mnie pan uszanował, aż mnie pan na starość wygonił.

St e i e r m a r k t. Nie wygoniłem was, ale oddaliłem. No powiedzcie, wziąłem kij? wygoniłem?

B r a u n. Tego nie powiem, kija ta pan na mnie nie brał, ale niby, żeby...

St e i e r m a r k t. A... więc przyznajecie

żem was szanował i uczciwie, porządnie się z wami obliczyłem i jak przystało oddaliłem. No co? przyznajecie?

B r a u n. Tak niby. (Po cichu). Ale to niby na jedno wychodzi. Ja i moja, zostaliśmy przez wielmożnego pana na bruku i to na starość.

S t e i e r m a r k t. Trzymałem was przez dwadzieścia osiem lat! Czy to nie dosyć z mej strony? Inny oddaliłby was po dwudziestu latach. Nie?... czy u Rosenberga tak się nie dzieje?

B r a u n. Rosenberg jest żyd a wielmożny pan niby się honorowo nosi.

S t e i e r m a r k t. I też honorowo postępuję. Może wam nie wypłacali przez te dwadzieścia osiem lat sprawiedliwie? No?

B r a u n. Wypłacali.

S t e i e r m a r k t. Nie dostawaliście z kasy chorych lekarstwa?

B r a u n. Dostawałem! (Po cichu). Alem na tę kasę sam płacił.

S t e i e r m a r k t. Nie wyście płacili tylko kasa moja płaciła a Wam tylko strącali.
(Po chwili).

No więc widzicie, że nie macie się na co użalać. A że was na starość trzymać nie mogłem... to już nie moja wina. Ja sam ciężko pracuję i ledwo mam na życie.

B r a u n (podnosząc głowę). Wielmożny

pan sobie ze mnie żartuje... Pies u wielmożnego pana lepiej je, niż my we święta.

S t e i e r m a r k t. Naturalnie!... Jeżeli nie macie teraz nic odłożonego, to wasza wina. Wy wiecie ile wzięliście przez ten czas u mnie? Wzięliście przeszło siedemnaście tysięcy koron!!!.. siedemnaście tysięcy... rozumiecie?

B r a u n (niedowierzająco). O! jakże to?

S t e i e r m a r k t. Zliczcie sobie. Po guldenie dziennie przez dwadzieścia osiem lat! Jeżeli z tych 17,000 nie odłożyliście nic, to już nie moja wina. Ja wam nie setkami ale tysiącami płaciłem, tysiącami a wyście te tysiące z dymem puszcza!...

B r a u n. Z dymem! Panie Jezu!... Ledwo my się zmogli na kruszynę mięsa raz na tydzień. Dziecko my wychowali, cóż! kiedy nam zmarło jak miało już dziesięć lat... Wielmożny Pan mówi, że były tysiące... ja wiem, że ja nigdy razem dziesiątki całej nie widział.

S t e i e r m a r k t. A ja wam to udowodnię książkami. Wyście na mnie chodzili na skargę do gazet, to i ja pójdę na Was. Ja każę podrukować wszystko co wam było płacone i ludzie zobaczą jaki z was stary kłameca i niewdzięcznik. A za kłamstwo i oszczerstwo jeszcze są kary i dochodzenia sądowe.

B r a u n (przerażony ale nadrabiając mi-

na). Niech ta... ja się swojej prawdy nie uleknię i choćby przyszło przysiądz, to ja przysięgnę przed Jezusem rozpiętym na krzyżu, żem dla was panie Steiermarkt sterał zdrowie a teraz bez przytułku jestem i żeby nie miłosierdzie ludzkie, do ust bym włożyć co nie miał.

Steiermarkt. No... jakoś to już tam będzie, to już rzecz sądu a nie wasza...

Braun (ze łzami). Do sądu nie pójdę, bo dosyć tej nędzy mojej. Jakem żyw w sądzie nie byłem i nie chcę iść.

Steiermarkt. Pocóście do gazet chodzili!

Braun. A no... namówili mnie jako co trzeba to wszystko opisać, jaką mi to pan krzywdę wyrządził.

Steiermarkt (patrzac na niego ironicznie). No!... a co ci zato dali? Może ci dali przytułek na starość? Może ci dali tysiące, tak jak ja ci dałem. No? co ci dali?

Braun. A no... nic nie dali!

Steiermarkt. A no!... widzisz!.. opiszą cię i potem cię wyrzucą jak drugi raz przyjdiesz. A co oni dla ciebie? Bracia? przyjaciele twoi? Troszczyli się o ciebie przez twoje życie?

Braun. Nie!

Steiermarkt. Dostałeś od nich kiedy choćby cent jeden? no! odpowiedz!

B r a u n. Nie dostałem.

S t e i e r m a r k t. A ja się o ciebie troszczyłem dwadzieścia osiem lat. Sypałem na ciebie tysiące... płaciłem z twojej pensyi kasę chorych—w niadzieję nie kazałem ci przychodzić do służby, słowem, byłem dla ciebie jak ojciec... A ty poszedłeś tam, do nich i teraz sam nawet nie wiesz w co oni ciebie wplaczą. Zobaczysz!..

(Chwila milczenia).

S t e i e r m a r k t. Ja przecież taki zły jak ty myślisz nie jestem i mnie was żal, żeście się tak na starość w głupstwo dali wciągnąć i tyle sobie kłopotu narobili. No, może, ja tam niewiem... ale ja jakośbym zrobił żebyście się z tej brzydkiej historii wydostali. A to na starość dla was mieć takie sądowe sprawy i swoje uczciwe nazwisko po gazetach publikować... to nie ładnie.. Może jabym co wymyślił... czy ja wiem.

B r a u n (cicho). Jakby wielmożny pan chciał toby mógł...

S t e i e r m a r k t. Ja niepowinienem nie dla was zrobić, bo wy jesteście niewdzięczni i niepoczcwiwi. Tak! tak! nie takiej się od was wdzięczności spodziewałem. Ale trudno... serce mam dobre. Nietylko, że was wyciągnę z tej biedy, ale jeszcze dam wam coś na wasze potrzeby. Tylko ten raz jeden, pamiętajcie... ten jeden raz. Mówiliście, żeście

nigdy nie widzieli dziesiątki całej... o... (wyjmuje z pugilaresu trzy dziesięcio-reńskowe papiery) tu są trzy takie dziesiątki. Przyrzycie się temu i weźcie...

(Braun się waha, widać nieufność na jego twarzy).

Możecie odemnie wziąć. Ja nie jestem taki pan z redakcyi, który was zbędzie tem, że wasze uczciwe nazwisko opublikuje i w pośmiewisko poda. Pieniądze macie dla siebie i dla żony, na chleb i na mieszkanie. Jak tam potem będzie, to już sobie myślcie, to wasza rzecz. No, bierzcie... (Wciska mu w rękę pieniądze).

(Braun po chwili wahania chowa pieniądze szybko do kieszeni).

Steiermarkt. A nie zgubcie i jakby ci panowie z gazety chcieli żebyście im co za opublikowanie zapłacili, nie płacie.

Braun. E!... oni powiedzieli że tak podadzą i że się nic nie należy.

Steiermarkt. Tak! tak! oni tak mówią... a potem jak wydrukują, to chcą żeby im płacić. Gotowi z was koszulę ściągnąć. Najlepiej pieniądze gdzie schowajcie.

Braun. Ja zaniósę do mojej.

Steiermarkt. To, to... najlepiej... Im powiedźcie, że dostaliście odemnie dużo. Ile—nie mówcie, tylko że dużo i że tych pienię—

dzy już nie macie... Tak!... a! jeszcze coś. Tu jest także kwitek, jako, że nie macie do mnie pretensyi, że postąpiłem z wami uczciwie i że nie czujecie się pokrzywdzeni. To mi podpiszcie.

B r a u n (nieufnie). A na co to wielmożnemu panu?

S t e i e r m a r k t. To mi potrzebne nie dlamnie, ale dla was. Jakby was do sądu przez to co będzie w gazetach zawołali i tam was prawowali, to ja stanę i pokażę ten świstek, jako, że to nieprawda, że ja do was nie mam żadnego żalu i tem was obronię. Rozumiecie?

B r a u n. Rozumiem... proszę łaski pana. (Steiermarkt przynosi atrament, pióro i kładzie pióro w rękę Brauna).

S t e i e r m a r k t. No... podpiszcie stary głupcze... o tu... tak, jakeście w ksiązkach kwitowali...

(Braun podpisuje).

Tak!... dobrze! (klepie Brauna po plecach). No! widzicie, kto wasz opiekun, kto się o was troszczy... kto wam przebacza... co?

B r a u n. Wielmożny pan daruje!... tak mi głowę zamroczyli...

S t e i e r m a r k t. No!... pamiętajcie... nie dajcie się więcej złapać. A teraz bądźcie zdrowi!

B r a u n (kłaniając się). Niech tam pan sto lat żyje, dziękuję łaski pana i niech wielmożny pan niema do mnie urazy.

(Steiermarkt wychodzi).

S C E N A VI.

ANNA, BRAUN, później ZOSIA.

(Anna staje we drzwiach z lewej strony).

A n n a (do Brauna). Kto jest ten pan?

B r a u n (wymijająco). Taki jeden wielmożny pan... ot... sobie.

A n n a. Czegóż chciał?

B r a u n. Bo ja ta wiem... ot... gadał zemną i tyle.

(Zabiera się do wyjścia).

A n n a. Gdzie idziecie ojcie Braunie!

B r a u n. A no... pójde się trochę przejść... może do mojej zajde...

A n n a. Nie wychodźcie, bo ten pan, redaktor, który o was miał pisać przyjdzie, chciałby się was jeszcze o coś spytać.

B r a u n (niechętnie). O... ja tam nie mam już nic do opowiadania.

A n n a. E! macie jeszcze nie jedno (idzie na lewo). Zosiu!

Z o s i a (wbiega). Mamusiu, tu był jakiś pan do ojca Brauna z interesem i mnie kazał ztąd iść.

A n n a (do Brauna). Więc to do was był

ten pan? Dlaczegoż mi tego odrazu nie powiedzieliście.

B r a u n (zły). O!... albo to się zaraz mam spowiadać? Panienska też plecie... o! pójdę sobie... lepiej sobie pójdę... o! niechcę.

(Wychodzi zły, potrząsając kijem).

A n n a (patrzając za nim). A jemu co się stało?

Z o s i a. Niewiem Mamusiu. Tylko ten pan powiedział, że on chce coś dobrego ojcu Braunowi wyświadczyć, ale nie musi to być nic dobrego, kiedy ojciec Braun taki zły...

A n n a. Piłś Zosiu kawę?

Z o s i a. Nie mamusiu, teraz sobie dopiero przyrzędziłam. Pójdę do kuchni Mamusiu!

A n n a. Idź moje dziecko!

(Zosia wychodzi. Anna siada zamyślona przy ścianie i zamyka oczy, drzwi od biura się otwierają i wchodzi Sieklucki).

SCENA VII.

SIEKLICKI, ANNA, potem ZOSIA.

S i e k l u c k i. Dobry wieczór Anno!

A n n a (wyciągając ku niemu rękę). Dobry wieczór panie redaktorze!

S i e k l u c k i. Przyszedłem zobaczyć się z Braunem. Chciałem pomówić z nim przed posiedzeniem komitetu.

A n n a. Braun wyszedł przed chwilą. Może powróci.

S i e k l u c k i. Ja poczekam.

(Po chwili).

Czy wiesz Anno co zrobiłem do tej chwili? Oto spałem.. spałem jak zabity. Była to reakcja po wysiłku na jaki się zdobyłem. Bo... wiesz... dokonałem dziś coś bardzo ważnego i to dzięki tobie. Zbudziłem się choć częściowo, chodź na chwilę... Napisałem artykuł o Braunie, o Steiermarkcie.

(Chodzi po pokoju ożywiony)

Włożyłem w ten artykuł dużo mej dawnej werwy i zapachu. Tak! tak! zacząłem znów pisać prawie po dawnemu. Z notatek szeptał do mnie duch Wrangowskiego. I wiesz! tak się jakoś wszystko dobrze złożyło, że nawet Rastawiecki dał mi carte blanche i pisać według woli pozwolił.

A n n a. Jak ja się cieszę! jak ja się serdecznie cieszę!...

S i e k l u c k i. Ja nie robię sobie iluzji, że to będzie na długo. Nie. To prosty wypadek. Jutro, pojutrze, wprzęgną mnie znów w ten handlowy kierat ..

(Po chwili, stojąc na środku pokoju).

To będzie jeszcze gorsze, Anno .. jeszcze gorsze.

A n n a. Co będzie jeszcze gorsze?

S i e k l u c k i. To, że mi dziś na chwilę

zostawili wolę i duszę moją wypuścili z cyrku. Będzie mi teraz jeszcze ciężiej. Nie wiem—czy potrafię wrócić do dawnego.

A n n a. Czy nie możesz pan wystąpić z redakcyi?

S i e k l u c k i. Nie. Wrangowskiemu pracowałem całą duszą, ale pracowałem prawie za darmo. Namnożyło się długów. Przyszedł Rastawiecki i kupił mnie z długami. Sprzedałem siebie, swą duszę, niewiedziałem komu się sprzedaję. Zapewniał, że przyjmuje dawny program pisma. Dziś mi nie wolno opuścić „Świtu“, aż wszystkie długi spłacę. Tak mi każe honor i sumienie.

(Siada i opiera się o stół).

A n n a. Jak pan to możesz znieść! jak pan to możesz znieść!...

S i e k l u c k i. Muszę! Mam pełną duszę guzów, sińców, ale trzymam ją na uwięzi. Czasem mi się rozplamieni nagle, ot, jak dziś w tym artykule. Ale w tej chwili chwytam ją za skrzydła: „do klatki ślepy ptaku! milcz! milcz“!...

(Zrywa się).

Wszystko jedno... dziś przynajmniej przez dwie godziny żyłem po dawnemu.

A n n a. Dziękuję, dziękuję panu!

S i e k l u c k i. Za co mi dziękujesz Anno!

A n n a. Za to, że temi kilkoma słowami rozświeciłeś sytuację. Tak mi się często

psuła twoja sylwetka. Myślałam — dlaczego on to znosi?

S i e k l u c k i. Sądziłem że wiesz od dawna. Honor, spłata długów, to wiele... ho! ho!... dla nas mężczyzn utartym szablonem to wszystko. Lichwiarzowi, aby spłacić dług, własną duszę się katuje... Ale to honor tak chce... Strupieszale to Anno a tak silnie w nas wrosło.

(Patrzy uważnie na nią).

Błada jesteś Anno... i nie widzę jakoś zwykłej twojej energii w oczach. Czy czujesz się wreszcie i ty zmęczoną?

A n n a. Nie, nie, to chwilowe. U mnie stan zmęczenia trwa krótko. Silna jestem taka, że się sobie samej dziwię. Ot, spadła na mnie katastrofa.. Nie złamała mnie — ogłuszyła — nic więcej. Powoli przychodzą do równowagi i rozmyślam co mam dalej robić.

S i e k l u c k i. Czy nie możesz mi powiedzieć co się stało?

A n n a (z serdecznem uczuciem). Po co? Pan mi nic w tem pomódz nie możesz a zatrujesz sobie chwilę radości, jaką ci sprawia budząca się w tobie energia. Jesteś tak wrażliwy, iż moja katastrofa może cię wtrącić w ciemnię i zwątpienie.

S i e k l u c k i. Jednakże...

A n n a. Nie myśl o mnie! Ściemnia się,

za chwilę „Świt“ pojawi się w agencjach. Pośle natychmiast Zosię po numer. Przeczytamy wspólnie twój artykuł, tak jak czytawaliśmy dawniej oboje zgorączkowani i pełni wiary.

S i e k l u c k i. Artykuł już musiał się ukazać...

A n n a. Zaraz się dowiemy. Zosia! Zosia!
(Zosia wybiega z pokoju).

Z o s i a. Mamusiu! ojciec Braun przyszedł do kuchni, niechce pić kawy, zbiera swoje manatki i mówi, że idzie ztąd precz.

A n n a (patrzy na Siekluckiego). Co to znaczy? Przed chwilą był tu, rozmawiał zemną, ale był jakiś dziwny, niewyraźny, pomieszany... Tu nawet był u niego jakiś pan z wizytą.

S i e k l u c k i (jakby uderzony jakąś myślą). Kto wie, czy Steiermarkt nie był u niego.

A n n a. Zaraz się dowiemy. (Woła). Ojciec Braunie? idź Zosiu, każ mu tu przyjść...
(Zosia wybiega).

S C E N A VIII.

ANNA, SIEKLICKI, BRAUN.

(Braun wchodzi, ogląda się podejrzliwie na wszystkie strony).

S i e k l u c k i. Jak się macie Braunie.

B r a u n. Całuję rączki wielmożnemu Panu.

A n n a. Co to! chcecie już od nas iść?

B r a u n. A no... wiekować tu nie mogę. Wielmożny pan sekretarz na mnie niechętny, siedzieć tak na łasce to nieładnie. A potem, ja mam już kąt dla siebie i dla swojej.

A n n a. Czemże mieszkanie zapłacicie. Chyba, że macie pieniądze.

B r a u n (patrzając z podełba na Siekluckiego). Nie mam ani centa złamanego.

S i e k l u c k i (poważnie patrząc mu w oczy). Czy moglibyście na to przysiąc ojcze Braunie?

B r a u n. O! zaraz tam do przysięgi. Kiedy mówię, że nie mam to nie mam. A zresztą co mam się panu spowiadać, o!...

S i e k l u c k i. Ojcze Braunie, Steiermarkt był tu dzisiaj u was.

B r a u n. A no... co się będę zapierać... Wielmożny pan Steiermarkt tu zachodził.

S i e k l u c k i. I Steiermarkt dał wam pieniędzy?

B r a u n. Dał, albo i nie dał.

S i e k l u c k i. Dlaczego kłamiecie.

B r a u n. Nie mówię tak, nie mówię nie.

S i e k l u c k i (szybko). Gdzie macie te pieniądze!

B r a u n (cofając się). Nie mam już nic, ani centa. Dałem na schowanie. I żeby pan wiedział, że niezapłacę za to co pan tam

o mnie w gazecie opublikował — nie zapłacę..

S i e k l u c k i. Ja niechcę żebyście mi zapłacili.

B r a u n. Abo to prawda. Tak przed opublikowaniem a jak już wydrukowane—to potem każecie płacić! Ja was znam!

A n n a. Człowieku! co wy pleciecie! Toć pan redaktor tylko dla waszego dobra.

B r a u n. E! co mi tam z tego dobra przyszło, albo i przyjdzie. Pan redaktor napisze, ludzie przeczytają a mnie nędza zeżre.

A n n a. Opamiętajcie się!

B r a u n. A no... tom się właśnie opamiętał. Jakem miał 17,000 koron, to się nie opamiętałem, ale teraz to już i centa nie puszcze z ręki, ani centa... bo to już wszystko co mam.

S i e k l u c k i. I nie wstyd było wan od niego brać?

B r a u n. Jaki wstyd?. Jak nędza dożre to i wstydu niema. Panu dobrze, bo pan się na pieniądzech przewala i nic nie robi, ale ja, co mi pył ceglany i wapno oczy i płuca wyżarł, to się tam na ambit tak bardzo oglądać nie mogę.

S i e k l u c k i. Ojczy Braunie! co ty możesz wiedzieć jaką jest moja nędza. Ty cierpisz tylko ciałem, u mnie duszę pył i błó.

to wyżera. Jak twoje oczy zakrwawione tak i u mnie mózg i oczy takie od pracy często krwią zalane. Ty i ja, my dwaj jednacy nędzarze, w służbie dziennej wyrobnicy, bez jutra i bez zabezpieczonej starości. Nie patrz na mój surduty, patrz na mój schylony kark, patrz na me odcisnięte palce od trzymania pióra, patrz na mnie całego, jakim złamany i jak we mnie dusza omdlewa.

(Braun milczy).

S i e k l u c k i. Ojcie Braunie, Steiermarkt chciał cię skusić i skusił twoją biedną spracowaną duszę... Pokazał ci trochę pieniędzy i tyś przeciw nam wszystkim się zwrócił!

(Braun milczy).

Ojcie Braunie, tak więc łatwo zapomniałeś swej krzywdy? tak łatwo?

B r a u n (cicho). Biedny jestem... pieniądze mi dał.

S i e k l u c k i. I tem cię wziął... wziął ciebie całego...

B r a u n (cicho). Żona chora, tułamy się jak psy...

S i e k l u c k i. Oddajcie mu te pieniądze!

(Żywy gest ze strony Brauna).

A n n a. On nie odda. Próżne słowa.

S i e k l u c k i (patrzając na Brauna, który

znów przybrał postawę nieufną i skuloną). Dziwić się trudno! Ten człowiek po raz pierwszy w życiu może ma pieniądze. Wystarczy na niego spojrzeć, aby się przekonać jak wielka w tem słowie tkwi potęga...

(Po chwili do Brauna).

Ojcie Braunie — nikt od ciebie już żądać zwrotu tych pieniędzy nie będzie—tylko powiedzcie mi... powiedzcie przynajmniej ile wam dał Steiermarkt. Ja chcę mu sam za was te pieniądze zwrócić. Rozumiecie? Pieniądze wam zostaną a wy przez to na honorze nic nie stracie. Dobrze!

B r a u n (nieufnie). A dlaczego pan to wszystko robi?

S i e k l u c k i. Wy tego nie zrozumiecie nigdy ojcie Braunie. Może mam w głowie, ile i dlatego tak mi chodzi o to, aby Steiermarkt nie mógł się pochwalić, że wam pieniędzmi usta zamknął. Powiedzcie mi przynajmniej ile wam dał?

B r a u n (typiąc oczami). O! dużo!... dużo!...

S i e k l u c k i. Ile?

B r a u n. Dużo!...

A n n a. Mnie powiedzcie... przecież mnie wierzycie. Ja byłam dla was dobrą... bardzo dobrą, dzieliłam się z wami wszystkim.

B r a u n. Wielmożnej pani powiem, kie-

dy chce wiedzieć, ale tylko wielmożnej pani. Niechcę żeby i to publikowali po gazetach. Zwiedzają się i jeden i drugi... a potem jeszcze człowieka zabiją, albo co...

A n n a. Nikt o tem pisać nie będzie.

B r a u n. No... no... już niech nic o mnie nie piszą... (cicho) dał mi trzy dziesiątki... no! (głośno) teraz już pójdę... Wolę ja być zdaleka od gazet i publikacyi. Stara mi mówiła—że to nic z tego dobrego nie będzie...—Wielmożnej pani rączki całuję... Wielmożnej osobie się kłaniam... (idąc do drzwi) całuję rączki...

(Wychodzi).

S C E N A IX.

ANNA i SIEKLUCKI.

A n n a. Dał mu trzydzieści guldenów!

S i e k l u c k i. Trzydzieści guldenów! Jaka nędza! I za to... za to... (gorączkowo przewraca w pugilaresie). Mam zaledwie dwadzieścia siedem guldenów.

A n n a. Dodam panu brakujące, wzięłam pensję w redakcyi.

S i e k l u c k i. Dziękuję ci Anno! muszę, muszę to uczynić. Pomyśl—jaki to tryumf dla Steiermarkta—pomyśl... Artykuł mój jest

napisany z całą energią, na jaką się mogłem zdobyć. Wbrew zwyczajowi podpisałem się imieniem, cowiecej, rzuciłem Steiermarktowi niemal wyzwanie, wychodząc z redakcyi. A on miałby prawo naigrawać się, że Brauna kupił za trzydzieści guldenów i moje słowa, w jakim przeciwnym nam dzienniku, obróciłby w żarty!

S C E N A X.

CIŻ SAMI, SMOLKIEWICZ.

(Wpada, zobaczywszy Siekluckiego przygryza usta, wściekły).

S m o l k i e w i c z (z przymuszoną uniżonością). Sługa pana redaktora!

S i e k l u c k i. Dzień dobry! kiedy się zacznie posiedzenie?

S m o l k i e w i c z. Niebawem, niebawem. A ja prosto z redakcyi...

S i e k l u c k i. Pan tam? po co?

S m o l k i e w i c z. Tak wypadło... Skoro ma się żonę, która widocznie buntowana złemi radami niedba o swoją i rodziny sytuację, trzeba ratować.

A n n a. Proszę cię, przejdźmy do naszego pokoju.

S m o l k i e w i c z. Dlaczego? pan redaktor odpowiedzialny zapewne na tyle, że wie

co się w redakcyi dzieje. Pan wie naturalnie, że moja żona dostała dymisyę.

S i e k l u c k i. Dymisyę? o tem nie wiedziałem. Za co?

S m o l k i e w i c z. Za swój twardy i nieugięty kark, za swą głupotę, za te dumne jakieś fummy, które jej każą być impertynentką wobec ludzi

A n n a. Nieznasz sytuacji, nie masz prawa mówić do mnie w ten sposób.

S m o l k i e w i c z. Znam sytuację... pan dyrektor Rastawiecki mnie o niej objaśnił. Pan dyrektor był bardzo dla mnie uprzejmy. Dla mnie są wszyscy ludzie uprzejmi. Ja nie mam aroganckiego obejścia.

S i e k l u c k i. Arogancya i ambicya to są dwie rzeczy różne, panie Smolkiewicz.

S m o l k i e w i c z. Może być... (do Anny) Gdzie Braun? proszę, żeby się zaraz ztąd wynióśł... proszę bardzo... Pan dyrektor Rastawiecki natrącił mi, iż nie życzy sobie ażeby ktoś należący do jego redakcyi zajmował się tą sprawą.

A n n a. Przedewszystkiem już do redakcyi „Świtu“ nie należę. A potem, „Świt“ w dzisiejszym numerze bierze właśnie w obronę sprawę Brauna.

S m o l k i e w i c z (ironicznie). Proszę ..

tak sądzisz!... widocznie więc źle „Świt“ czytałem.

S i e k l u c k i (blednąc). Co? co Pan mówi?

S m o l k i e w i c z. Nie, tylko to, że tam pańskiego artykułu o Braunie niema.

S i e k l u c k i. Co?... ależ to niepodobna. (Chwyta za kapelusz). Sam oddałem do drukarni.

S m o l k i e w i c z. Widocznie wycofano!

S i e k l u c k i. Muszę się przekonać!... Ja tu za chwilę powrócę—pomówimy o tej dymisji. Mój artykuł—twoja dymisja. . To byłaby zbyt wielka podłość! (wybiega).

A n n a (szybko) Czy rzeczywiście tego artykułu niema?

S m o l k i e w i c z (gwałtownie) A tobie co do jego artykułów? Ty raczej troszcz się o to, czy cofną dymisyę, którą dostałaś. Nie wniosłaś mi posagu, ale wziąłem cię już zajmującą w administracyi „Świtu“ posadę z pensją 50 guld. miesięcznie. To był twój posag—i tego nie masz prawa tracić lekko-myślnie... Ja na to nie pozwolę

A n n a. To moja własna praca i ja nią rozporządzam, ja jedna!

S m o l k i e w i c z. Rozporządzam — ja pracą całego domu — ja głową tego domu! Za harda mi jesteś moja pani... my jesteśmy na dorobku, rozumiesz.. na dorobku... wszyst-

ko znieść musimy, aby się wybić z tej wstętnej miernoty—w jakiej żyjemy.

A n n a. Mnie ona wystarcza!

S m o l k i e w i c z. Ale mnie nie wystarcza. Ja niechcę całe życie gnić za temi kratkami i użerać się z tą bezdomną hołotą, która mi tu zapowietrza całą kancelaryę. Ja muszę dostać inną posadę—muszę wypłynąć na wierzch. Wtedy będziesz mogła pokazywać fumy i brać dymisyę. Do tej chwili będziesz robić to, co ja każę... Jutro wrócisz do redakcyi!

A n n a. Nigdy!!!

S m o l k i e w i c z. Wrócisz—i w dodatku przeprosisz Rastawieckiego.

A n n a. Ja?

S m o l k i e w i c z. Tak! tylko pod tym warunkiem weźmie cię z powrotem. Ja mu to obiecałem.

(Zapuszcza rolety i zapala lampę).

A n n a (drżąc cała ze wsruszenia, zdławionym głosem). Ty... ty mu to przyrzekłeś?

S m o l k i e w i c z. Tak, w twojem imieniu.

A' n n a. Jak śmiałeś? jakim prawem?

S m o l k i e w i c z. Prawem twego męża.

A n n a. Prawo męża rozciąga się jedy-

nie do pewnych granic. Tam, gdzie już objawia się podłość, prawo to ustaje.

S m o l k i e w i c z. Nie podłość, ale prze-zorność i rozsądek.

A n n a. Podłość, podłość, mówię!... Rastawiecki mnie obraził, ciężko obraził.

S m o l k i e w i c z. Przesada!

A n n a. To ja sądzić mogę, nie ty! bo ty zatraciłeś już poczucie godności... Ach, dość tego! Dłużej twojego narzucania mi woli nie zniosę. W tym fałszu, w tej obłudzie żyć nie chcę, nie będę...

S m o l k i e w i c z (spokojnie), Musisz...

A n n a. Nie muszę, nie. Ochronię siebie i dziecko przed zatrutym wyziewem fałszu i obłudy. Spełniam mój obowiązek—względem naszych dusz... Nie tobie nami kierować, nie tobie!...

S m o l k i e w i c z. Właśnie że mnie, że-lazną mam rękę i potrafię cię poskromić.

A n n a. Jak? biciem?

S m o l k i e w i c z. Nie, bez tego się obej-dzie. Ja nie fizycznie ale moralnie cię po-prowadzę, przekonasz się...

(Mierzą się chwilę oczami).

(Chwila milczenia).

S m o l k i e w i c z. Widzisz, już zamil-kłaś... dobrze... ślicznie... A jutro pójdziesz do redakcyi, ja tak chcę!—i tak być musi... (Od chwili Zosia wbiegła i stanęła w kącie).

(Smolkiewicz wychodzi na lewo).

Z o s i a (przybiega do matki). Mamusiul
znów się tatuś na ciebie gniewał?

(Anna stoi przez chwilę nieruchoma, wreszcie
porywa się zdeterminowana i prawie sp-
kojna).

A n n a. Zosiu! Zosiu! biegnij do mego po-
koju, cicho wyjmij z pudełek nasze kape-
lusze. Okrycia leżą na łóżku. Przynieś
wszystko jaknajszybciej.

Z o s i a. Idziemy gdzie mamusiul?

A n n a. Tak! tylko spiesz się!

S C E N A XI.

ANNA, SIEKLUCKI.

S i e k l u c k i (wchodzi szybko, porywa
Annę za ręce, jest zmieniony, rozgorączko-
wany). Niema mego artykułu! niema! za-
drwili ze mnie, oszukali mnie! trzydzieści
srebrników musiało i tam przejść, musiało...

A n n a. Ja spodziewałam się tego... nie-
chciałam ci psuć radości... Czułam, że gło-
su prawdy nie dopuszczą, czułam to instynk-
tem. A teraz posłuchaj co ci powiem! Nie
zobaczymy się już może nigdy...

S i e k l u c k i. Anno!

A n n a (gorąco). Tak! uciekam ztąd, idę
w świat, zrywam nienawistne mi pęta, wktó-

rych mogłabym tylko spodleć i zatracić poczucie własnej godności. I tobie to mówię w tej chwili—uczyn to samo!... Musisz uczynić to samo. Inaczej, spełnisz zbrodnię na własnej duszy, zbrodnię sto razy gorszą niż gdybyś uczynił trupem kawał niepotrzebnego na świecie mięsa! Duszy swojej strzeż Sieklo! duszy twojej strzeż. Ja ocalam moją i mego dziecka duszę. Bądź zdrow. Byłeś mi drogim, bardzo drogim, byłeś mi więcej niż mąż, niż brat, niż kochanek. Byłeś dla mnie wszystkim.

S i e k l u c k i. Gdzie idziesz?

A n n a (gorąco). Wyjadę, dokąd niewiem jeszcze. To mniejsza. Ja wszędzie znajdę kawałek chleba. Ale ty mi przyrzeknij, że zbudzisz się z letargu, że odżyjesz i nie dozwolisz duszy twojej konać powoli. Przyrzeknij mi to... przyrzeknij.

S i e k l u c k i (z uniesieniem). Przyrzekam ci to Anno! I wierz mi, dotrzymam. Tyle bólu, tyle goryczy wezbrało we mnie, że nie już nie zdoła uśpić jej. Widzę teraz jasno, co ze mną robiono. Aż wre we mnie wszystko... cały jestem jak jeden płomień. Podłością swą dopełnili miary!

A n n a. Tak! takim cię chcę widzieć w tej ostatniej chwili. Takiego, wspomnienie poniosę ze sobą na resztę życia.

(Zosia wbiega z kapeluszami, Anna chwyta je, ubiera gorączkowo Zosię, nakłada kapelusz.)

Z o s i a. Czy nie powiemy Tatusiowi dowidzenia?

A n n a. Nie możemy mu powiedzieć—dowidzenia... Bądź zdrów Siekło, ja już zdeptałam w proch mego Rastawieckiego, uwolnij twoją duszę od swego Rastawieckiego! (Wybiega wejściowemi drzwiami razem z Zosią. Równocześnie we drzwiach od pokoju staje Smolkiewicz).

S m o l k i e w i c z. Anno! Anno! dokąd? cóż to znowu! wychodzić wieczorem z domu?...

S i e k l u c k i (zastępując drzwi wejściowe). Pozwól pan tej kobiecie wyjść spokojnie z tego domu!

S m o l k i e w i c z. Mój Panie, jakim pan prawem mieszasz się pomiędzy mnie i moją żonę?

S i e k l u c k i. Prawem istoty dręczonej duchowo, która rozumie co to bunt... ducha... rozumiesz pan?

S m o l k i e w i c z. E! mój panie, ja nie umiem odgadywać waszych przemądrych narad. Ja jestem człowiek trzeźwy...

S i e k l u c k i (zdenerwowany). A ja i pańska żona jesteśmy dwoje nałogowych pijaków! A pan wie, czem my się upajamy? Oto

swobodą myśli, wolnością duszy, poczuciem własnej godności... (kładzie kapelusz)! Do-widzenia!... ja tu powrócę na posiedzenie!... porozmawiamy wtedy ze sobą mój trzeźwy panie!

(Wychodzi środkiem, we drzwiach spotyka damę, wystrojoną, piękną kobietę trochę zmanierowaną.

D a m a. Przepraszam, czy tu posiedzenie komitetu głodowego?

S i e k l u c k i (z gorączką i zdenerwowania). Ależ naturalnie... Tu... niech się pani spieszy... tu przybytek głodu ciała, głodu duszy... Przytułek... przytułek... nocleg... tu spały głodne dusze... zbudziły się... ha! ha!...

(Wychodzi środkiem).

D a m a. Co to! jakiś szaleniiec?

S m o l k i e w i e z. A!.. to pani radczyni! Rączki całuję! Jakże mąż?... Na radzie? wiecznie zajęty! Niezmordowany. Proszę, proszę, pani pozwoli, tylko na chwilę, przebiorę się, zaraz będę służył...

D a m a. Tak mnie zdenerwował ten pan...

S m o l k i e w i e z. Och! to nie... to taki dystrakt!... to naczelny redaktor „Switu“... pani radczyni wie, literaci, ludzie poetyczni... dystrakt! dystrakt!... o proszę tu krzesesko! Ja zaraz, zaraz będę z powrotem.

(Wybiega na lewo).

S C E N A XII.

DAMA 1. później JUSZKA, DAMA 2, MŁODA PANNA, PARNES, MECENAS SZUMAN, LEWANDOWICZ, DR. PILEROWICZ, SMOLKIEWICZ, STEIERMARKT, STEIERMARKTOWA, DAMA 3, RÓŻYCKI, kilku reporterów, kilka pań i panów.

D a m a 1. Cóż to za oryginał!

(Dama siada przy stole, wyjmuje z woreczka breloki, lusterka, flakoniki, układa, nie zważając na scenę).

(Wchodzi Juszka, młody, ogolony chłopiec, silnie wymawiający literę r).

J u s z k a (witając się z damą). Panią radczynię powitać.

D a m a 1. A i pan tutaj. Cieszę się.. będziemy przynajmniej pomiędzy znajomymi.

J u s z k a. Jak to dobrze, że są głodni na świecie. Będę miał przynajmniej przyjemność spędzić ten wieczór z panią.

D a m a 1. Pan nie masz serca.

J u s z k a. Właśnie, mam go za dużo.

D a m a 1. W nowelach pana, tego dostrzedz nie można.

(Dama 2 i młoda panna wchodzą i witają się z damą 1)

D a m a 1. Décidément jesteśmy en pays de connaissances.

D a m a 2. Tem lepiej. Wzięłam moją siostrzenicę, niech się młode serce kształci w szkole miłosierdzia.

(Tymczasem weszli: mecenas Szuman postawny, siwy mężczyzna; Lewandowicz wysoki, ogolony; młody człowiek i Różycki).

J u s z k a (zbliża się do Różyckiego). Jak się macie.

R ó ż y c k i. Nieźle! nieźle!... dziś mi się udało ze sądem

J u s z k a. Parnesa niema?

(Parnes wchodzi).

J u s z k a. Jak się masz zielona małpo!

P a r n e s. Cicho! tu są damy!

J u s z k a. Czy wy nigdy nie odpowiecie nam w „Świcie“? A toż już dzisiaj tak wam nawymyślałem, iż chyba kamień by się poruszył a wy nie...

P a r n e s. Plantator nie każe.

J u s z k a. A mnie, mój, znów każe wam wymyślać.

P a r n e s. To wymyślaj ..

J u s z k a. Chciałem was ostrzedz. Jutro się zabiorę do ciebie. Nazwę cię idyotą.

P a r n e s (filozoficznie). To nazywaj.

J u s z k a. Bo... żebyś to nie wziął na seryo.

P a r n e s. Głupi jesteś.

D a m a 2 (do damy 1). Czy pani wie dokładnie po co nas wezwali?

D a m a 1. Dokładnie niewem. Ale ja już tak przywykłam do tych posiedzeń, że mi to obojętne.

M e c e n a s S z u m a n (do Lewandowicza). Ja z zasady jestem przeciwny wszelkim komitetom.

L e w a n d o w i c z. Po co więc Pan tu przyszedł?

M e c e n a s S z u m a n. Żeby im to powiedzieć.

(Weszli: Pilerowicz i Smolkiewicz).

M e c S z u m a n. Witam konsyliarza!

D r. P i l e r o w i c z. Witam mecenas.

M e c. S z u m a n. Zdaje się, że wybrano tu rozmaite warstwy społeczeństwa, ażebyśmy się lepiej klócić mogli.

D r. P i l e r o w i c z. Szanowny mecenas wiecznie oponuje.

M e c. S z u m a n. Inaczej nie rozumiem dyskusyi.

(Bierze Pilerowicza pod ramię, odprowadza i mówi, wskazując na Lewandowicza).

Powiedzcie mi, poco ten tutaj?... Obecność takiego, to zaraz nadaje nieprzyjemną barwę zebraniu. Nie będziemy pomiędzy swemi.

D r. P i l e r o w i c z. Ma duże wpływy, nie mogli go pominąć.

M e c S z u m a n. Aż dreszcz przechodzi

skoro się człowiek z takim panem spotka w jednym pokoju.

D r. P i l e r o w i c z. E! tak źle nie jest. Wygląda wcale przyzwoicie.

S m o l k i e w i c z (spogląda po zebranych). Jakkolwiek nie jesteśmy w komplecie, musimy zacząć posiedzenie. Godzina dziewiąta, każdy z nas ma jakieś zajęcie i mało czasu do stracenia.

D a m a 2 (do damy 1). Kto to?

(Lornetuje Smolkiewicza).

D a m a 1. Zdaje się, że sekretarz biura.

S m o l k i e w i c z. Panie! panowie! raczcie zająć miejsca.

(Wechodzi dama 3 i Steiermarkt z żoną).

S C E N A XIII.

CIŻ SAMI i STEIERMARKT z ŻONĄ.

(Steiermarktowie witają się dość hałaśliwie).

M e c. S z u m a n (do Steiermarkta). Proszę koło mnie!

S t e i e r m a r k t. Dobrze! będziemy robić opozycję we dwóch... będziemy wesola dwójka ..

(Juszką, Różycki, Parnes i dwóch reporterów siadają osobno, wydobywają notesy i zaczynają się przygotowywać do notatek).

(Panowie, panie wchodzą, siadają przy stole. Steiermarkt sadowi się po prawej stronie Smolkiewicza. Obok niego Szuman. Dalej panie i panowie dowolnie).

P a r n e s (do Juszki). Jakie stanowisko zajmiecie w „Gońcu“?

J u s z k a. My?... niewiem jeszcze. Plantator się namyśli.

P a r n e s. U nas... neutralne.

J u s z k a. Zkądże? przecież wy z ulicą.

P a r n e s. E!... to już oddawna w łeb wzięło. Teraz mamy inny rozkaz.

J u s z k a. Że się też wam w głowach nie poprzewraca. Gdzie Siekla?

P a r n e s. Miał być. Nie widzę go?... O! wchodzi!...

J u s z k a. Fatalnie wygląda. Błady jak trup.

P a r n e s. Zły. Ma ciągle z plantatorem awantury.

J u s z k a (wzruszając ramionami). Dlaczego to? Jeszcze z miejsca wyleci!

(Sieklucki wchodzi i zajmuje miejsce w końcu stołu, po lewej stronie. Jest blady, zdenewrowany i widocznie wzburzony).

S m o l k i e w i c z (wstaje i mówi słodkim tonem). Panie i Panowie!.. Ośmieliłem się zwrócić ku wam, w chwili, która całe nasze miasto wprawia w wzburzenie i nie-

mał stawia na wulkanie. Chwila ta przyszła... przyjść musiała.

L e w a n d o w i c z. Mogła jednak nie przyjść.

S m o l k i e w i c z. Mogła nie przyjść... zgoda! Ale przyszła. Jesteśmy więc po nad brzegiem przepaści, na dnie której huczy rozhukany potok, ten potok płynie bystreml falami i może nas zalać.

L e w a n d o w i c z (zimno i spokojnie, z rękami założonemi na piersiach). A że tego się najwięcej lękamy!...

S t e i e r m a r k t (niechętnie do Lewandowicza). Prosiemy nie przerywać.

J u s z k a (uszcześliwiony trąca Parnesa) Pycha! będzie awantura!

L w a n d o w i c z (jak wyżej). Ja nie przerywam, ja tylko myśl szanownego pana sekretarza biura dopełniam.

M e c. S z u m a n. Jednak to dopełnianie przeszkadza obradom.

L e w a n d o w i c z (j. w.) Jeszcze nikt nad niczem nie radził.

D a m a 1 (do damy 2). Kto jest ten pan?

D a m a 2. Och! to redaktor takiego pisma, którego się w porządnym domach nie czyta...

D a m a 1. Po co go tu poprosili!

S m o l k i e w i c z (stojąc). Jakkolwiek p. redaktor Lewandowicz podsuwa nam czyisto egoistyczne pobudki, jednak zdaje mi się,

ż wiodły nas na to zgromadzenie nietylko egoizm ale i inne, wyższe cele. Miłość cierpiącej ludzkości...

Steiermarkt (hałaśliwie). Pięknie powiedziane... brawo!

(Sieklucki patrzy na niego ironicznie).

S m o l k i e w i c z. Była głównym czynnikiem, która nas tu zgromadziła. I dlatego... pozwalam sobie losy owej cierpiącej ludzkości złożyć z ufnością w ręce szanownych pań i panów, wiedząc z góry, że wy potraficie...

L e w a n d o w i c z. Zastąpić w tym względzie sprawiedliwość!

(Milczenie).

S i e k l u c k i (ironicznie). Brawo panie Lewandowicz!

(Milczenie).

S m o l k i e w i c z (siada). Sądzę, że najlepiej przystąpić do wyboru przewodniczącego.

S i e k l u c k i (ironicznie). Ja proponuję pana Steiermarkta.

(Milczenie)

Dlaczego nikt nie podtrzymuje mej myśli? Pan Steiermarkt ma wszelkie dane na to, aby przewodniczył obradom, w których sprawiedliwość powinna stać na pierwszym planie.

M e c. S z u m a n. Ja oponuję przeciw

wszelkim przewodnictwom i innym formom. Zeszliśmy się tu na poufną naradę a nie na żadne formami skrupowane posiedzenia.

L e w a n d o w i c z. Przedewszystkiem, zanim zaczniemy nad czemś radzić, bodaj nawet nad wyborem przewodniczącego, proszę mnie objaśnić jaki jest właściwie ton tego zgromadzenia. Czy jest tu tendencya i kierunek ściśle filantropijny? czy mamy rozważać nad przyczynami zła i zadowolnić się rozumowem i trzeźwem przejrzeniem stanu rzeczy i radykalnem zapobieżeniem na przyszłość podobnym faktom?

S t e i e r m a r k t. Pan relaktor zdaje się słyszał, że Pan Smolkiewicz w pięknych bardzo słowach określił, iż ponad wszystko kierować będzie nami miłosierdzie.

S i e k l u c k i (dobitnie i ironicznie). I panem także, panie Steiermarkt?

S t e i e r m a r k t (zmieszany). I mną także... Dlaczegoż nie? A więc powtarzam raz jeszcze z naciskiem... miłosierdzie.

L e w a n d o w i c z. W takim razie ja nie mam tu co robić. Ja mogę zabierać głos tam, gdzie jest mowa o porządnej, gruntownej robocie, która wyda jakieś owoce. Ale w paplaninę filantropijną, w loterye i faramuszki, bawić się nie mam ochoty. Szkoda czasu i atłasu! Bądźcie zdrowi!

(Wychodzi środkiem. Chwila milczenia).

Steiermarkt. Dzięki Bogu, że sobie poszedł! To jakiś waryat! Aż lżej się zrobiło że go już niema. Odetchnąłem!

Sieklucki. Niech Pan nie oddycha panie Steiermarkt, bo ja jeszcze zostałem!

Mec. Szuman (do Steiermarkta). Czego chce ten pan, on widocznie jakiejś z panem awantury szuka.

Steiermarkt (cicho). Może pijany! Ci dziennikarze to podobno nigdy trzeźwi nie są!

Smolkiewicz. Proponuję na przewodniczącego panią radczynię Okońską.

Wszyscy. A! a! prosimy!...

Dama 1. Ja? ależ cóż znowu! ja nie potrafię.

Mec. Szuman. Ja oponuję!
(Wszyscy się śmieją, dama 1 zajmuje miejsce przewodniczącego; stawiają przed nią dzwonek).

Smolkiewicz. Na sekretarza proponuję szanownego pana doktora Pilerowicza.

Wszyscy. Prosimy!...

Steiermarkt. Ja proszę o głos!

Dama 1. Pan Steiermarkt ma głos.

Steiermarkt (wstaje). Piękna jest rzeczą miłosierdzie! Piękna i potężna. Każdy z nas wie o tem i każdy z nas osobno stara się je w czyn wprowadzać. Lecz cóż są usiłowania pojedynczych osób? Cóż są nasze

pojedyncze usiłowania? Nic.. nic.. i jeszcze raz nie. Dopiero gdy wszystkie miłosierdzia razem połączą się ze sobą tak jak w tej chwili, jakie piękne możemy wydać rezultaty. Więc... oto... chodzi właśnie, ażebyśmy wszyscy, nie bacząc na to, czy ci ludzie, dla których dobra pracować będziemy, zasługują na to, w pracy tej nie ustali. Bo niestety, wiadomo, że jest to zbiór wyrzutków społeczeństwa, którzy z nami, ludźmi pracy i hartu nie mają nic wspólnego.

S i e k l u c k i (trzymając ręce w kieszeniach i odsuwa się cokolwiek z krzesłem od stołu, patrzy uparcie w Steiermarkta i gryzie nerwowo usta). Czy pan liczy także i siebie do tych ludzi hartu i pracy, panie Steiermarkt?

S t e i e r m a r k t (stropiony). Zapewne... jestem człowiekiem pracowitym i wypełniam moje obowiązki względem społeczeństwa.

S i e k l u c k i. (jak wyżej). Panu się zdaje, że pan wypełnia obowiązki względem społeczeństwa?

S t e i e r m a r k t. Zawsze!

S m o l k i e w i c z. To nie należy do obrad, panie redaktorze Sieklucki. Jeśli pan żądasz głosu to zapisz się, będziesz miał prawo mówić skoro pan Steiermarkt skończy.

S i e k l u c k i (jak wyżej). Tu nie chodzi o to, żebym mógł pomówić, tu chodzi o to,

żebym mógł pomówić z panem Steiermarktem, który zaczyna bardzo szeroko i pięknie wyklądać, jak on rozumie miłosierdzie. Jestem wzruszony jego wykładem i chciałbym się go jeszcze o coś zapytać...

S m o l k i e w i c z. To w domu...

S i e k l u c k i. Nie, ja u pana Steiermarkta nie bywam... a pana Steiermarkta nie wpuściłbym do siebie.

(Szmer niezadowolenia między zebranymi).

Ale chodzi mi o to, czy p. Steiermarkt, który z takim miłosierdziem chce zająć się zgłodniałemi, niema na sumieniu sam takiego nędzarza, który przez niego tułał się bez dachu i chleba, pomimo że na niego właśnie przeszło ćwierć wieku pracował jak wół roboczy.

S m o l k i e w i c z. Daruj pan, ale tu nie miejsce!...

S i e k l u c k i (zrywając się z miejsca). Przepraszam... tu właśnie miejsce! Tu obraduje komitet. Więc taką właśnie głodową sprawę ja wytaczam tu, wobec was wszystkich. Oskarżam tego, blisko milionowego filantropa, że wyrzucił na bruk człowieka, który służył u niego dwadzieścia osiem lat. To podchodzi pod waszą kompetencję... panowie i panie!... sami osądź-

cie teraz, czy słowa, któremi on do was przemawia są czyste i jaki fałsz ziele z nich, jak straszna obluda!

St e i e r m a r k t. (blady z gniewu). Pan nadużywasz praw gościnności tego biura, pannie Sieklucki.

S i e k l u c k i. Mylisz się pan. To jest biuro dobroczynne, więc jesteśmy zupełnie w porządku.

St e i e r m a r k t. Niepowinienem здаwać sprawy z mych czynności... tak mi się przynajmniej zdaje. Moja ofiarność jest znana...

S i e k l u c k i. Tak, gdy idzie o ogłoszenie swego nazwiska w dziennikach... Ale tu nie idzie o filantropię... tu idzie o sprawiedliwość... tu idzie o to, że temu człowiekowi należał się od pana dach i strawa, skoro sterzał siły i zdrowie na pana usługę. Dlatego pan się lepiej tą sprawą nie zająłeś, zamiast przyjść tu i grać rolę pawia, wołając: „miłosierdzie! miłosierdzie“!

St e i e r m a r k t. Pobiję pana natychmiast pańską własną bronią. Ja zająłem się tą sprawą, zająłem się trochę inaczej... niż pan myśli. Pan chce wywołać skandal, pannie Sieklucki... i pan myśli, że się to panu uda... ale się to panu nie uda... tak, jak się panu nie udało dziś mnie oszkalować w „Świcie“... Oto pokwitowanie od tego osobnika,

że mu się nie odemnie nie należy, że ja mu zabezpieczyłem byt i on dziękuje mi za moje dobre serce... proszę, niech państwo czytają...

(Podaje kwit Brauna, wszyscy cisną się i oglądają; przez chwilę słychać szmer głosów „prawda“!... „podpisane“).

J u s z k a (do Parnesa). Ładny skandal!

P a r n e s. Rastawiecki się wścieknie. Wydał rozkaz, żeby nie o Steiermarkcie złego nie pisać.

J u s z k a. Kombinacye?

P a r n e s. Zdaje się.

S t e i e r m a r k t. Oto... widzą państwo najlepiej, kto tu ma rację... i jak mnie niesłusznie oczerniono. Tak się nie robi panie Sieklucki! tak się nie robi!

M e c. S z u m a n. W istocie, to bardzo nieprzyjemne... Ja sądzę, żebyśmy nad tem przeszli do porządku dziennego.

S i e k l u c k i. Zapozwoleniem... Ja jeszcze nie skończyłem! Ja mam jeszcze coś do powiedzenia. A! trudno... jesteście tu reprezentantami społeczeństwa, które raczy czuwać nad biedakami. Otóż musicie wysłuchać losów takiego biedaka. Oglądaliście jego pokwitowanie. Napisane na niem ręką Steiermarkta... „niemam żadnych pretensyj“ .. „zabezpieczono mi los“. A wiecie jak zabezpieczono ten los?

S m o l k i e w i c z. Po co to wszystko!

S i e k l u c k i. Po co? Po to, ażebyście wiedzieli jak ojcowsko p. Steiermarkt opatrzył na resztę życia nędzarza o wyżartych płucach i oczach. Dał mu... aż trzydzieści guldenów!!!

(Szmer pomiędzy zgromadzonymi).

S i e k l u c k i. Tak!... trzydzieści guldenów!... na długie lata, na zimy głodowe, na jesień bezdomne, na całe lata, dla niego i żony... No... i cóż? Panie Steiermarkt, czemuż pan nie zaprzeczasz?... czy nie dałeś mu tylko trzydzieści guldenów? odpowiedz!

S t e i e r m a r k t. Dałem mu tymczasowo!

S i e k l u c k i. Kłamiesz pan!... zakazałeś mu więcej zwracać się do siebie... dowodem pokwitowanie! Ale ja więcej panu powiem. Braun zwraca panu trzydzieści guldenów, zwraca przez moje ręce... (kładzie na stole trzydzieści guldenów). Rachunek więc z nim nie załatwiony. I rachunek ten załatwi z panem opinia, bo tak jak dziś powiedziałem, całą tę sprawę wam wszystkim, tak jutro ogłoszę ją drukiem i poddam ją pod sąd całego ogółu.

(Po chwili).

A teraz.. ciągnijcie państwo dalej swoje brady filantropijne, tylko już bezemnie. Ja

spełniłem to, co mi spełnić kazało moje sumienie i... obowiązek!

(Wychodzi).

(Chwilę wszyscy siedzą w milczeniu, patrząc po sobie, damy zaczynają się uśmiechać, wzruszać ramionami. Steiermarkt chwilę szepcze z mec. Szumanem, wreszcie wstaje).

S t e i e r m a r k t. Panie i panowie! Przeprawić was muszę! przeprosić że z mojej winy, choć winien tu nie jestem, zaszły takie nieprzyjemności. Pan redaktor Sieklucki, zdaje się, jest trochę chory, czy może niewyspany i tak nam zamącił harmonię. Żebyście jednak słów jego nie wzięli na seryo, żebyście wiedzieli, że moje serce jest zawsze dla biednych całe gotowe do usług i na ofiarę... ja.. do tych trzydziestu guldenów, które tu leżą, dokładam jeszcze czterysta siedemdziesiąt i razem pięćset guldenów składam w ręce pani przewodniczącej na cele komitetu, prosząc aby je zapisała na czele listy składek pod mojem całym nazwiskiem i nazwiskiem mej żony.

(Wielki szmer zadowolenia, wszyscy „brawo“, „ślicznie“, „wybornie“... Juszka pyta: „ile dał“?... „ile“?... Reporterowie zapisują, wszyscy winszują Steiermarktom).

S t e i e r m a r k t (z uśmiechem do przewodniczącej). A teraz, kiedy rozmaite Don-

Kiszoty szczęśliwie nas opuścili, czy mogę prosić o głos?

D a m a 1 (uprzejmie). Oh! comment donc!... (dzwoni). Pan Steiermarkt ma głos!... *

(Brawo).

(Steiermarkt się kłania).

S t e i e r m a r k t (stojąc). Panowie i panie! sprawa, która nas zgromadza, ma znaczenie społeczne, doniosłe i...

Zasłona spada.

AKT TRZECI.

(Ta sama dekoracya co w akcie pierwszym. Ciemno zupełnie na scenie i pusto, po chwili dopiero słyhać w sieni zgrzyt klucza, poczem widać przez szklane szyby drzwi, jak w sieni ktoś zapala elektryczność, potem wchodzi Parnes w palcie, z kołnierzem podniesionym do uszów, dalej, za nim, Juszka, także w palcie i w kapeluszu. Parnes zapala elektryczność i idzie do swego biurka. Juszka z papierosem w zębach, błydy aż zielony, stoi na środku sceny).

SCENA I.

JUSZKA, PARNES.

P a r n e s (także wyblady, wymięty i trochę pijany, włosy mu spadają na nos). Po-
czekajcie kolego... tylko napiszę sprawozda-
nie z dzisiejszego posiedzenia.

J u s z k a. Padam do nóg... to ładnie po-
trwa. Czemużeś w kawiarni nie pisał?

P a r n e s (pisząc). A no... niewiem. Starzeję się, czy co... ale już nie umiem w tym krzyku i hałasie pisać. Strasznie mi to na... uważasz kolego, na nerwy działa.

J u s z k a. Mnie tam wszystko jedno! Ja mogę między stadem hippopotamów pisać. Taką mam demoniczną wprawę.

P a r n e s. To i ja miałem.. ale widzisz kolego w dziennikarstwie to najwięcej się zużywa i tępi... rozum i nożyczki... o!..

(Juszką wyjmując z kieszeni skrypt i czytając).

J u s z k a. Wiesz co czytam?

P a r n e s. To z kąd mogę wiedzieć?

J u s z k a. Mój jutrzejszy artykuł o tobie!

P a r n e s. Czemużeście się mnie czepili?

J u s z k a. Po kolei każdego się będziemy czepiać z waszej redakcyi. Ty trochę się wybiłeś swoją niedzielną kroniką, więc musimy cię zniszczyć.

P a r n e s. E! całujcie psa w nos!

J u s z k a. Ileś ty klas skończył?

P a r n e s. A co ci do tego?

J u s z k a. Bo ja tak tu o tobie napisałem: „Człowiek bez wykształcenia, o krety-nim mózgu, który skończył zaledwie pięć klas ośmiela się“...

P a r n e s (z flegmą). Nie pięć klas ale cztery skończyłem. A potem... co mi tam... pisz sobie co chcesz.

J u s z k a (chowa skrypt i wzdycha). Psie

życie!... człowiek chętnieby wyspał się raz porządnie a tu trzeba się całą noc włożyć i za skandalami, albo za sensacyami polować.

P a r n e s (sentencyonalnie). To zawsze lepiej niż być diurnistą.

J u s z k a. A!... (ziewa). Ile ja już nocy nie spałem...

P a r n e s. Poczekaj... pójdziemy jeszcze do „Grandu“. Może tam się co dowiemy. To na jutro nic niema. Będzie plantator znów darł włosy z głowy.

(Chwila milczenia).

J u s z k a (zaczyna chodzić po redakcyi). Co piszesz?

P a r n e s. A no... sprawozdanie z tego posiedzenia.

J u s z k a. Ja już napisałem. Tak, kropnąłem skandalicznie Siekluckiego, że chyba mi wreszcie odpowie.

P a r n e s. Nic ci nie odpowie. (Wstaje). Masz papierosa?

J u s z k a. Mam! (zapalają papierosa) idziemy?

P a r n e s (siada na stole). Zaraz!... (Ziewa) A!.. spać mi się chce Juszka.

J u s z k a (siada obok niego). A!... (ziewa). Spać mi się chce Parnes.

P a r n e s (sentymetalnie). Wiesz... my

to gorzej górników w kopalniach... cały dzień... całą noc... i tak ciągle w kółko...

J u s z k a (smutno). A... no... tak ciągle w kółko.

P a r n e s (sennym głosem). Po tych knajpach...

J u s z k a (sennie). Po tych szynkach..

P a r n e s (jak wyżej). Ciągle tropić...

J u s z k a (jak wyżej). Ciągle węszyć...

P a r n e s. Psie życie!

J u s z k a. Psie życie!...

(Siedzą, paląc machinalnie papierosy i patrzając na końce butów).

P a r n e s (cicho). Niedługo świtać zacznie.

J u s z k a. Ha... no... (po chwili mówi cicho). „Tak, jasny świt, tak jasny dzień“.

P a r n e s. Zmęczony jestem Juszka! Trumnę mam w sobie!

(Palą, wreszcie cicho obaj gwizdać zaczynają „Ja beim Supé“, wreszcie Parnes wali się na stół).

J u s z k a (siłą woli nabiera energii, zeskakuje ze stołu i targa Parnesa). Chodź!... pójdziemy do „Grandu“...

P a r n e s. Spać chcę!...

J u s z k a. Chodź! wypijem ze dwa kapucynery i będzie ci zaraz dobrze... Wstawaj... ty... dekadencie!...

P a r n e s (mówi pół dziecinnym głosem, naciągając pod głowę dzienniki). Zimno mi!

J u s z k a Chodź, rozgrzejesz się w knajpie.

P a r n e s (jak wyżej). Poczekaj!

J u s z k a. Dymę dostaniesz... kronik nie-ma... chodź... musimy jeszcze iść do inspekcji policyj po notatki.

P a r n e s (z żalem podnosząc się). Psia krew...

J u s z k a. No... dalej... ruszaj... ty... socius doloris...

P a r n e s (zapina się w palto). Oj.. doloris.. (Po chwili). Wiesz Juszka, trumnę mam w sobie.

J u s z k a. Zapnij palto i chodź galerniku.. no... (Bierze go pod rękę) dalej... pod ziemię! w chłód, w zimno, przez morze alkoholu, do inspekcji policyjnej!... (wywłóczy Parnesa, który powtarza „trumnę mam w sobie!“ wychodząc gaszą elektryczrość i w sieni słysząc łomot drzwi, potem słysząc jak przechodzą pod oknami i Parnes mówi „to poczekaj! trumnę mam w sobie“!... Juszka śmieje się przeciągle, potem gwiżdżąc na dwa głosy „Ja bei'm supéim chambre separée“... i nastaje milczenie“).

S C E N A II

(Słysząc zgrzyt klucza, otwierają się drzwi, w sieci błyszczy światło; szybko wchodzi Sieklucki, zapala elektryczność u góry i przy swoim biurku, wyjmując z kieszeni skrypt, czyta go. Jest rozgorączkowany, ma wypieki, oczy mu błyszczą, pali papieros za papierosem, robi poprawki na skrypcie, po chwili, słysząc w oknie pukania o szybę. Sieklucki nie słyszy, za chwilę wchodzi Bonecki i niezdejmując palta, podchodzi do Siekluckiego).

BONECKI, SIEKLUCKI, STRÓŻ.

B o n e c k i. No... wreszcie cię znalazłem...
S i e k l u c k i (który drgnął). Co? co?...
a! to ty? co przyniosłeś?

B o n e c k i. Już numer ułożony. Linia telefoniczna przerwana, więc sam Rastawiecki był tu i zarządził. Zdaje się, iż jest jeszcze coś w tece (szuka na swoim biurku). A... Parnes włożył sprawozdanie z posiedzenia komitetu.

S i e k l u c k i (chrypliwie). Pokaż to!
(Bierze szybko Boneckiemu z ręki skrypt).

B o n e c k i. Sieklucki!... oczy ci błyszczą niezdrowym światłem. Co ci jest? Czyś ty przypadkiem...

S i e k l u c k i (wybuchając śmiechem). Nie

pijany? co? prawda?... Cudowne! wyborne!... jak Parnes, jak Juszka... po knajpach za sensacyami... i tu... i tu... przecież coś trzeba pić... więc się te tragiczne dzieciaki popijają... ha!... i ja tak samo? co?

B o n e c k i. Jeśli nie piłeś... to jesteś w każdym razie silnie podniecony nerwowo.

S i e k l u c k i. O! o! to właśnie. Jestem podniecony nerwowo i to cię przeraża... ciebie... co! he... he!... tyś taki zawsze grzeczny... zawsze jednaki... O twoją marmurową twarz odbija się nagle mój grymas, moje nerwowe drganie... Więc co? więc co?... och! jakiś ty niespokojny!.. W tej klatce posłyszałeś nagle łopot skrzydeł... wśród nocy zrywa się ptak...

B o n e c k i. Oprzytomnij!

S i e k l u c k i. Ptak, któremu wydzierano pierze codzien... a tu szum... ptak bije skrzydłami... strach! strach!... (Przeciera ręką po czole i zmienia głos). Ja sam dam sprawozdanie z posiedzenia komitetu.

B o n e c k i (zakłopotany). Słyszałem, że miałeś tam podobno zajście...

S i e k l u c k i. Już wiedzą... już biegnie po mieście szepeząca wiadomość... Sieklucki zwymyślał Steiermarkta, wyciągnął pół umarłego, wygnanego sługę i przyprowadził go jako gościa do stołu, na którym tak ślicznie przed przewodniczącą błyszczał miedziany

dzwoneczek... A jakże!... I teraz szu, szu, szu... ach! ach!... co za skandal... Sieklucki musiał być pijany, ordynarny ten Sieklucki... ach! ach!...

B o n e c k i. Lepiej jednak ażebyś w tym stanie rozdrażnienia pozostawił sprawozdanie Parnesa. Jest krótkie i nie ma w nim wzmianki o całym zajściu.

S i e k l u c k i (uderzając pięścią o biurko). Wzmianka będzie... musi być...

(Wchodzi stróż).

S t r ó ż. Proszę wielmożnego pana redaktora, tu pan dyrektor przysłał list do pana redaktora i kazał mi go zaraz panu redaktorowi wręczyć. Szukałem wszędzie pana redaktora we wszystkich kawiarniach i nigdzie znaleźć nie mogłem.

S i e k l u c k i. Daj!

(Bierze list).

S t r ó ż. A to do pana metrapaży.

S i e k l u c k i. Daj!... (widząc wahanie stróża, bierze mu z ręki kopertę i mówi). Schodzę do drukarni, sam oddam panu metrapażowi. Idźcie spać!

S t r ó ż. Dobranoc wielmożnym panom.

(Wychodzi).

(Sieklucki rzuca swój list do kosza, list metrapaży kładzie na biurku i siada w fotelu).

B o n e c k i (po chwili). Nie czytasz listu dyrektora?

S i e k l u c k i. Nie.

B o n e c k i. Może tam jest jakie rozporządzenie.

S i e k l u c k i. Skończyło się... czy ty nie czujesz, że się to już skończyło?

B o n e c k i. Co takiego?

S i e k l u c k i. To... o... (robi ręką ruch, jakby uderzenie spicrutą), to... hopla!... powiem ci Bonas... to nie moja вина... Ja bym jeszcze tak w takt biegał... ale... (tajemniczo) ona niechce.

B o n e c k i. Kto... ona?

S i e k l u c k i. (z głową pochyloną na poręcz krzesła). Och! taka wielka, przemożna władczyni, którą ja rozpieściłem i hodowałem w precudownej, brylantowej szklarni... Powiadam ci... dałem jej suknię z tęczy a aureolę z własnego technienia, naszyjnik z mych krwawych łez... Takim ją wywiódł z kurnej chaty do ogrodu, w którym kwitły lilowe, o złotych żyłach irysy i nad niemi bujały aksamitne, czarne motyle. Tam ona bładziła w błękity spowita... potem przykułem ją tu (wskazuje głową na biurko) zasłoniłem jej świat temi płachtami (wskazuje na story) i kazałem jej cierpieć... za 150 guldenów miesięcznie. Wynająłem ją!... wynająłem.. ją... słyszysz...

(Po chwili).

I to... ona dziś już nie chce. Rozumiesz?

B o n e c k i. Ani słowa!

S i e k l u c k i (wstaje, zbiera skrypt i kieruje się ku wyjściu). Bądź zdrów!

B o n e c k i. Pozostanę tutaj jeszcze!

S i e k l u c k i (ironicznie). Jeśli się boisz że się rozchoruję... to możesz nademną nie czuwać. Masz młodą żonę... w domu ci będzie lepiej... Bądź zdrów! ja idę do drukarni oddać moje sprawozdanie.

(Wychodzi).

S C E N A III.

BONECKI później STEIERMARKT.

(Bonecki chwilę patrzy na drzwi, które wyszedł Sieklucki, potem mówi „no! no!” zapala papierosa i siada na fotelu, nagle słysząc turkot, potem szybkie kroki i wchodzi do redakcyi Steiermarkt).

S t e i e r m a r k t. Przepraszam pana! czy tu niema pana Rastawieckiego?

B o n e c k i (wstając). Nie, pan Rastawiecki o tej godzinie nigdy nie przychodzi. Pan dyrektor z pewnością jest w domu.

S t e i e r m a r k t. Ja tam byłem dwa razy ale mi stróż na dole powiedział, że pan Rastawiecki wyszedł i jeszcze nie wrócił.

B o n e c k i. Taki jest ogólny rozkaz. Pan Rastawiecki jest cokolwiek cierpiący i nie-

chce aby go w sprawach redakcyjnych po nocy budzono.

Steiermarkt. Ale to jest bardzo ważna sprawa. Tu chodzi o mnie!... Pan Rastawiecki może się narazić na dużą nieprzyjemność, jeżeli nie wyda odpowiedniego rozporządzenia... Ten pan Sieklucki coście go dzisiaj na posiedzenie przysłali, to ordynarny waryat. On się mnie czepił, on całą komedję zagrał... on się odgrażał, że o tem napisze... Ja na to nie mogę pozwolić.

Bonecki (zakłopotany). Co ja panu na to poradzę.

Steiermarkt (wściekły). Jak się to stanie to ja was wszystkich zgniotę i zniszczę...

(Po chwili).

Tu jest telefon? Może u Rastawieckiego w domu jest telefon?

Bonecki. Jest.

Steiermarkt (siada i dzwoni). Halo! Halo!... proszę mnie połączyć... (odwraca się do Boneckiego). Jaki numer?

Bonecki (przez zęby). Trzysta osiemdziesiąt dwa.

Steiermarkt. Dziękuję! (Telefonuje). Trzysta osiemdziesiąt dwa... (Mówi). Pan nie wie może, ale my z panem Rastawieckim dwa przyjaciele. Żeby ten waryat co

zrobił głupiego mnie, to Rastawiecki by mu tego nigdy nie darował. (Telefonuje). Halo! Halo!... kto!... Steiermarkt mówi... w redakcyi, pan Steiermarkt... proszę zbudzić pana... to pilne... Pan może się nie ubierać... to nie nie szkodzi... to pilne... to nie nie szkodzi... to pilne... (Mówi).

A co! jest!... jest!... Żeby tylko nie było zapóźno! (Telefonuje).

Halo! Jest pan?... dobry wieczór!... to ja... a?... Tak! tak!... słyszał pan!... tak!... a! wydał pan rozporządzenie?... list?... e! to nie-pewne! może lepiej samemu... co?... co?... ale dla mnie! proszę bardzo!... zaraz przyjechać!... I tak już szusta... Będę wdzięczny!... przepraszam... przyjdzie pan?... dobrze!... dziękuję! dziękuję!...

(Oddzwania i odchodzi od telefonu, nie widząc, że we drzwiach stoi Sieklucki i ironicznie patrzy na niego).

SCENA IV.

SIEKLUCKI, BONECKI, STEIERMARKT.

S i e k l u c k i (ironicznie). Czego się pan tak kłania? Za co pan tak pięknie dziękuje?

S t e i e r m a r k t. Ja z panem nie mam nic do gadania.

S i e k l u c k i. Pan zapewne dziękuje za

ten mój artykuł, który się w tej chwili składa tam, na dole w drukarni? co?... a! śliczny artykuł, wart, żeby mi się w pas pokłonić. Dziś, za kilka godzin, cały kraj będzie mówił o panu Steiermarkcie, o starym Braunie...

(Idzie do biurka, siada przy niem, kładzie ręce w kieszenie od spodni i tryumfująco patrzy na Steiermarkta).

Steiermark t. Pan dyrektor Rastawiecki, wydał rozporządzenia, żeby nikt nie śmiał mnie dotykać w waszem piśmie!

Sieklucki. A pan redaktor odpowiedzialny, Sieklucki, wydał rozporządzenie, aby pana postawiono pod pręgierz opinii publicznej w naszym piśmie.

Steiermark t. (blady z gniewu). Pan nie będziesz śmiał tego uczynić!

Sieklucki. Będę śmiał i śmiałem! Czy ja wyglądam na takiego, któryby „nie śmiał“, panie Steiermarkt?

Bonecki (zmieszany). Ja idę już ..

Sieklucki. Najlepiej idź! .. zawsze to nieprzyjemnie dla kogoś dobrze ułożonego patrzeć, jak drugi na kiel bierze... Idź! idź...

(Bonecki wychodzi. Chwila milczenia)
(Sieklucki siedzi nieruchomy, zapatrzone przed siebie. Steiermarkt układa fizyognomię uprzejmie i z widocznym wysiłkiem podchodzi ku niemu).

S t e i e r m a r k t. Panie Sieklucki! pomówmy rozsądnie... Pan jesteś bardzo nerwowo człowiek i bardzo prędki... (bierze krzesło, przysuwa do biurka i siada obok). Ja się jeszcze dziś u ludzi o pana informowałam. Mnie wszyscy mówili, że pan to strasznie zapalczywy... i że pan jest bardro zdolny, tylko pan taki gorączka. Ja wiem, to u młodych ludzi, to taka zawsze choroba... To każdy przechodzi. Ale potem rozum i dobre urodzenie przewyższa i już się w starszym wieku nikt nie chce bratać z hołotą. (Ośmielony milczeniem Siekluckiego).

I pan kiedyś będziesz się wstydził tego, coś pan dziś zrobił...

S i e k l u c k i (patrzac na niego wzgardliwie). Jeśli się będę czego wstydził to tego, żeś pan ośmielił się do mnie mówić.

S t e i e r m a r k t (hamując się i udając wesołość). Aj! Aj! jakie to zaraz słowa... I po co? Co panu z nich na przyszłość przyjdzie? Przecież każdy z nas powinien dążyć do tego, żeby sobie jakąś przyszłość zapewnić. Jaką pan sobie zapewnia? Żadną. Jak pan się skompromituje z tą moją aferą, to pana żaden dziennik z takich co mają pieniądze i prenumeratorów nie weźmie. Pan będzie pisał po takich szmatkach co to czytają obdartusy albo porządne ludzie po kątach.. no i będzie pan w nędzy..

(Po chwili).

Pan mnie słucha?

(Siekłucki patrzy przed siebie).

I za kim się pan ujmuje? za kim?... Za takim Braunem co to panu powinien chyba buty czyścić... Przecież pan jest z pięknego rodu... pan jest szlachcic, pan powinien moją stronę trzymać przeciw takiej kanalii...

S i e k ł u c k i. Ja taki sam kanalia jak i Braun... Mnie i jego rodziła matka-nędza. On gdzie tam w przytułku a ja w kurnej chacie... My się musimy trzymać za ręce... to łańcuch panie Steiermarkt, łańcuch... słyszy Pan... a cement? he he! nędza, głód...

S t e i e r m a r k t (uderzony myślą). Toś pan... chłop?

S i e k ł u c k i. Z najciemniejszych, najbardziej bosych chłopów... co?... gnojem trączę?... jaśnie pan się cofa... eau de cologne?... niepotrzeba!... obmyłem się najprzód memi rodzonemi łzami a następnie potem, z którym zdobywałem moją... kulturę a teraz już ze mnie taki sam pan jak wy wszyscy...

(Po chwili).

Z pozorów... bo w głębi duszy ja zawsze jestem... ha! ha!.. jestem cham!

S t e i e r m a r k t. Aj! widzi pan... widzi pan... jak to źle... a my dziś właśnie o panu radzili. Ja nie wiem czy to rzeczywiście było o panu, ale zdaje mi się... Aj! panie Sieklucki... jak mnie to cieszy...

Sieklucki. Co? że jestem cham?

Steiermarkt. Nie... ale to... że ja mogę coś dla pana zrobić.

Sieklucki. I mnie to cieszy, że ja mogę coś dla pana zrobić.
(Wchodzi metrapaź z rewizją numeru).

Sieklucki (biorąc artykuł). A wie pan co panie Steiermarkt? Oto taki artykuł!... o! patrz pan!... jeszcze świeży... Tytuł?... prosty... nie więcej... tylko... Steiermarkt... Taki skromny tytuł... he... he... widzi pan co ja mogę dla pana zrobić.

Steiermarkt (blady i przerażony). Niech pan tego nie robi... Pan straci miejsce.

Sieklucki. Drwię dziś z tego! Dziś już o nic nie dbam!

Steiermarkt. Braun jest łajdak... Braun mnie przeprosił... Braun pieniądze wziął...

Sieklucki. Sameś tak duszę Brauna wytresował, że teraz w stanowczej chwili, pod twoją ręką, znów ci do stóp przypadła! Milcz! obelgami na ten wyschły szkielet nie ciskaj, uszanuj to, czemuś sam winien... A teraz... idź ztąd! Za długo cię znosiłem!...
(Szeptem) idź! idź!...

Steiermarkt. Idę... pójdę po Rastawieckiego... niech on tu przyjdzie... niech on panu zakaze... niech on z panem skończy!

S i e k l u c k i. Precz!... w tej chwili ja tu pan! precz!...

(Steiermarkt nakłada kapelusz i wychodzi, pozostaje Sieklucki i metrapaź).

S C E N A V.

SIEKLUCKI, METRAMPAŻ.

(Sieklucki chodzi chwilę po redakcyi widocznie wzburzony, wreszcie staje przed metrapażem).

S i e k l u c k i. Panie Tuszyński!... spójrz mi pan w oczy. Pan widzisz co się we mnie dzieje! Pan czujesz co się we mnie dzieje!

M e t r a m p a ż. Widzę panie redaktorze! Ja rozumiem, że pana... o! niech pan daruje, że ja tak mówię... że pana musi boleć, iż pan dyrektor rano wycofał pana artykuł. I teraz pan chce na swoim postawić.

S i e k l u c k i. Widzisz dobrze panie Tuszyński, ale jeszcze mnie nie rozumiesz. Mówisz, że chcę na swoim postawić? A wiesz dlaczego? Nie przez upór, nie przez ambicję... ale przez to, że sprawa, z którą ja na szpalty wchodzę, jest czystą i słuszną sprawą.

M e t r a m p a ż. I ja tak myślę panie Sieklucki.

S i e k l u c k i. A tu... takich dwóch jak Steiermarkt i Rastawiecki biorą się za ręce

i ten głos mój stłumić chcę, stłumić pragną...

M e t r a m p a ż. Tak... tak... ja to widzę... ja to czuję... To bardzo smutne. Roztrząsa mi pan duszę tem co pan mówi, wyrazy pana w serce mi się wpijają... Słucham, cierpię... widzę przyszłość...

S i e k l u c k i. Przygotowałem cię... A teraz posłuchaj mnie uważnie. Nic od ciebie żądać nie będę, nic od ciebie wymagać. Stań sam ze swą duszą i milcząc porozum się z nią. Ale, każ jej, by na chwilę przestała być tresowaniem zwierzęciem. Weź ją czystą, jasną, prostą... naiwną duszę smutnego człowieka i posłuchaj jej rady. Rastawiecki niechce aby mój artykuł ukazał się dziś w druku.

M e t r a m p a ż (cicho). Tak mi się здаje, ale mówić nie śmiałem.

S i e k l u c k i. Tak jest. On niechce! On zabrania! Oto jego... rozkaz.

(Podaje metrapażowi list adresowany do metrapaża, ten chce kopertę rozewnać, Sieklucki wstrzymuje jego rękę).

S i e k l u c k i. Zatrzymaj się! chwilę... patrz! (pokazuje mu kosz stojący przy biurku) ja otrzymałem także taki rozkaz, ale oto leży podarty na strzępy. Nie czytałem go! Sam sobie wydaję rozkaz. Wydaj i ty sobie rozkaz! Bądź swym własnym panem!...

Milcz! .. zastanów się... pamiętaj... Lear, albo Łazarz przydrożny... pamiętaj... jeden szept... jeden głos... jeden gest... Starcze... ja czekam na objawienie się pierwotnej duszy twojej...

M e t r a m p a ż (chwilę walczy ze sobą, potem drze list na kawałki i wrzuca do kosza). Artykuł pana pójdzie, panie Sieklucki, tak mi Boże dopomóż!

(Ociera oczy).

(Sieklucki milcząc ściska dłoń metrapaży, odwraca się, aby ukryć wzruszenie, potem siada, szybko robi rewizję; metrapaż ociera ponownie oczy podartą chustką i zawałaną farbą. Sieklucki pisze, słysząc w oddaleniu turkot powozu. Sieklucki oddaje metrapażowi artykuł i odprowadza go szybko do drzwi).

S i e k l u c k i. Nie lękaj się! On nie dowie się żeś jego list w ręku miał. Idź!... idź... przyspiesz numer... porozdawaj roznosicielom jaknajśpieszniej... wypędź ich na miasto.

M e t r a m p a ż. Wiem!... wiem!... (Ode drzwi). O! panie redaktorze! to jakiś jasny, piękny dla mnie dzień!...

S i e k l u c k i. Duszę swoją odnalazłeś starcze! duszę swoją taką, z jakąś ty na świat przyszedł!

(Wychodzi szybko, słysząc zatraskujące się drzwi, Sieklucki idzie do telefonu, przerywa połączenie, bierze sztyfty do kieszeni i rzuca telefon na ziemię, potem staje i czeka).

S C E N A VI.

SIEKLUCKI, RASTAWIECKI.

(Rastawiecki wpada szybko, jest w nocnej koszuli, kamizelce, kurtce; ma na ramionach palto i szyję owiniętą białym fularem. Wszedłszy, zatrzymuje się chwilowo we drzwiach, patrzy ostro na Siekluckiego).

R a s t a w i e c k i. Co się tu dzieje?

S i e k l u c k i (ironicznie, ręce trzyma w kieszeniach spodni, nienawisć widać z twarzy i oczy ma krwią nabiegłe). Nie wielkiego!... wściekłem się!

R a s t a w i e c k i. Pan oszalałeś!

S i e k l u c k i. Bunt w cyrku! Ha!... bunt... rejtyreyer na ziemi.

(Wychodzi do sieni, zamyka pierwsze drzwi na klucz, potem wchodzi do redakcyi zamyka drzwi od redakcyi, bierze oba klucze, podchodzi do okna, uchyla roletę, otwiera okno, wyrzuca klucze, zamyka okno i staje pomiędzy dwoma oknami, rolety są zapuszczone. Okna są tak blisko siebie, że Sieklucki może rękami do rolet dosięgnąć).

R a s t a w i e c k i. Co to jest? co się to ma znaczyć?

S i e k l u c k i. Teraz będziemy się liczyć ze sobą mój... panie.

R a s t a w i e c k i. Jesteś pan bezczel-

nym zuchwalcem. Ja pana przyprowadzę do porządku.

S i e k l u c k i. Jak? telefonuj pan... widzisz że niepodobna. Drzwi nie wysadzisz, bo nie masz dosyć siły a od okien wara, bo przy nich ja stróżuję. A wiesz dlaczego to robię? Oto dlatego, że lękam się, ażebyś nie zeszedł do drukarni i nie przeszkodził...

R a s t a w i e c k i (wściekły). Co się tam dzieje? ja muszę wiedzieć!

S i e k l u c k i. Ja ci to powiem! Tam, twoi zecerzy złożyli twojami czcionkami, na twoim papierze „mój“ artykuł! Ten artykuł nazywa się... Steiermarkt. Nie tylko... Steiermarkt! Ale dla ciebie to dosyć. Ty wiesz co ja tam napisałem. Ty to przeczuwasz, bo ty mnie znasz.

R a s t a w i e c k i (odchodząc od siebie). To być nie może! ja na to niepozwolę! to musi być wstrzymane... mnie to zgubi...

S i e k l u c k i. A zczeźnij raz ty i twoje dzieło! Chciałeś chłopą, masz chłopą! A zczeźnij! Chciałeś mnie wywiesić na plakatach wyborczych, chciałeś wywlec moją sukmanę i nią zwabiać prenumeratorów, ale ci cham pierwszej zęby pokazał... Patrz, listy twoje przejąłem i podarłem sam! O leżą tu... leżą tu...

R a s t a w i e c k i. Tyś podlec, tyś rene-

gat... tyś wziął szlacheckie nazwisko... wstydzileś się swego.

Sieklucki. A wiesz przez co... Bo chciałem żyć w mych pracach a wiedziałem, że Rastawieccy mnie Sieklę zagryzą, gdy się ośmielę pisać i prawdę im w oczy mówić. Dla Siekluckiego mieliście respekt! Sieklę bylibyście ścierali w proch, jeśliby mody na nas, na Sieklów, na nasze sukmany nie było. A dziś my w modzie!... a jutro? Cham! caca... cham... jego piórka, kery... ha... ha... wywlekli, bo już sami nie wiedzą czem się bawić. Ostawcie nas! my sami bez was do światła trafiemy. My tylko chcemy tych, którzy do nas idą z czystym sercem a nie z geszeftu, jak ty... hadlarzu dusz.

Rastawiecki. Nie bluzgaj frazesami. Tyś sam czepiał się mnie. Dla ciebie także dziennikarstwo było tylko rzemiosłem. A więc równiśmy sobie. Ja handlarz, ty rzemieślnik.

Sieklucki. Twoje dziennikarstwo... tak... to rzemiosło! Nie więcej. I dlatego zrywam z tobą i nie chcę być więcej u ciebie w terminie. Zabieram ci moją duszę... wysłużyła ci się dostatecznie.

Rastawiecki. Jak paw roztacza swój wachlarz, tak ty roztaczasz mi ciągle twą duszę. A trzymaj ją sobie w zanadrzu. Po dyabła mi ona. Duszą się nie pisze...

S i e k l u c k i. A!... tum cię czekał panie Rastawiecki. Chciałeś abym ci dystylował z retorty po uncyi na zimno, jak aptekarz za ladą i z tego tworzył to, czem ty później żywisz tłum. Nie do mnie po to się zwracaj. Ja pisząc, wyżywam mą duszę... ona na tych kartkach piętno swoje kładzie i duszą moją przemawiam do dusz.

R a s t a w i e c k i. To wszystko są frazesy. Ja wydałem rozkazy panu i metrampażowi, rozkazy listowne, pan nie śmiałeś je przekroczyć.

S i e k l u c k i. Ha! ha! twoje rozkazy leżą tu... ot... podarłem je w szmaty... zrobiłem z niemi to, na co zasługują słowa takiego... ciebie. Wszak sam powiedziałeś—daję panu carte blanche—pisz!

R a s t a w i e c k i. Powiedziałem—„pisz”—ale nie zobowiązałem się drukować tego co napiszesz!

S i e k l u c k i. Tkacz! tkacz!... wieczysty tkacz. Mota, mota... a potem odwołuje. Penelopa dziennikarska! Kłamstwa wieczysta sieć! A tu (wskazuje pokój) ciemna nora, w której warsztat tego tkacza.

(Po chwili tryumfująco).

A dziś nagle warsztat zmienił się w pułapkę. Dwa małe zamki, dwa nędzne zamki i okna, które strzeże twój sługa... a tam pod nami odbywa się tajemnicza praca... prawda

biegnie.. biegnie... i nie ją zatrzymać nie zdoła.

R a s t a w i e c k i. Precz od okien... ja muszę się ztąd wydostać.

S i e k l u c k i (straszny, chwyta marmurowy przycisk ze stołu). Wara... bo poznasz co chamska dłoń...

R a s t a w i e c k i (cofając się). Ty... żmijo w zanadrzu chowana!

S i e k l u c k i. Ty mnie chowałeś w zanadrzu? ty? A toć byłbym z tej zgnilizny, która idzie z twojej moralnej głębi zdechł. Nie!... (prostując się) mnie chował na swej piersi ten (wskazuje na portret Wrangowskiego), który był samą szczerością, który miał prawo do sukman, bo na nich szukał śladów łez... a nie krajał je na szmaty, które potem taki ty na pieniądź zamienia. Liczman! liczman!.. Srebrniki... A teraz sprzedażne... my... Steiermarkty! Rastawieccy wyciągają po nas dłonie! Och! skurczone palce... sępie szpony... Precz... Widma przeniewiercze! Ale nie wy! nie wy!... Wara od naszych dusz!

(Sieklucki opiera się głową o ścianę i pozostaje tak chwilę nieruchomy).

R a s t a w i e c k i (zgnębiony). Sieklucki! opamiętaj się!... gubisz „Świt“, gubisz mnie!

S i e k l u c k i (ożywiając się). Ciebie, tak!... Pismo, nie! Dźwigam je! wznoszę z ka-

łuży nicości, brudu, podchlebstw czerni, sprzedajności.. jednym dźwignięciem stawiam je na jasnej wyżynie! Dziś poznają ludzie, że Siekla ma duszę obitą, osmaganą, zdrećzoną, ale taką, z jaką na świat przyszedł. Patrz!... ty!... kacie.. oto stoję przed tobą.. ja! twój parobek, twój sługa, twój cyrkowiec i ciskam ci w twarz twe błazeńskie szaty, któreś na mnie wdział. Miast szychu, mam strzęp odzieży, ale mam hardy kark!.. na szychu krew... mojej duszy, krew... mej twórczej duszy... krew..

(Szmer za oknami, Rastawiecki padł zgnębiony na krzesło).

S i e k l u c k i. Cicho!... nadchodzi chwila!... Oto, z czeluści, z błotnej twojej bramy płynąć zaczyna prąd krystalicznej czystości, prąd słów miłości i prawdy...

(Rastawiecki się podnosi).

Nie zbliżaj się!... jeszcze nie czas... dozwól prawdzie popłynąć w dal... i trafić do ludzkich dusz!... Fiat justicia!

(Rastawiecki nadśluchuje).

(Chwila milczenia, gwar coraz silniejszy).

R a s t a w i e c k i (w rozpacz). To roznosiciele!... pismo! pismo!...

S i e k l u c k i. Tak! tak!... idą! idą!... słyszysz... o!.. oddalają się!... giną!... nareszcie!... nareszcie stało się!!!

(Nagle zdziera rolety; strugi słonecznego

światła zalewają całą redakcję... Rastawiecki cofa się i zasłania oczy).

Sieklucki. „Świt“! słońce! prawda!... co? razi cię?... W norę błotną i ciemną weszło słońce! płachta z poza krat opadła!... Patrz! patrz!... tam na rogu ulicy giną już roznosiciele... Za chwilę wszyscy przeczytają me słowa. Raz jeden! Jeden, jedyny raz!...

(Sieklucki opiera się wycieńczony o ścianę. Rastawiecki cofa się z sykiem).

Rastawiecki. Zgubił mnie!

Sieklucki. Alem siebie ocalił! Ocaliłem ją! ocaliłem mą duszę!... ty zgiń, boś ty nie prasą, ale jej kałem, w tobie toną ludzkie sumienia, w tobie toną konające dusze!... A ja! w słońce! w tryumf mej duszy... w świat!... w nędzę i w jasność sprawiedliwej myśli!...

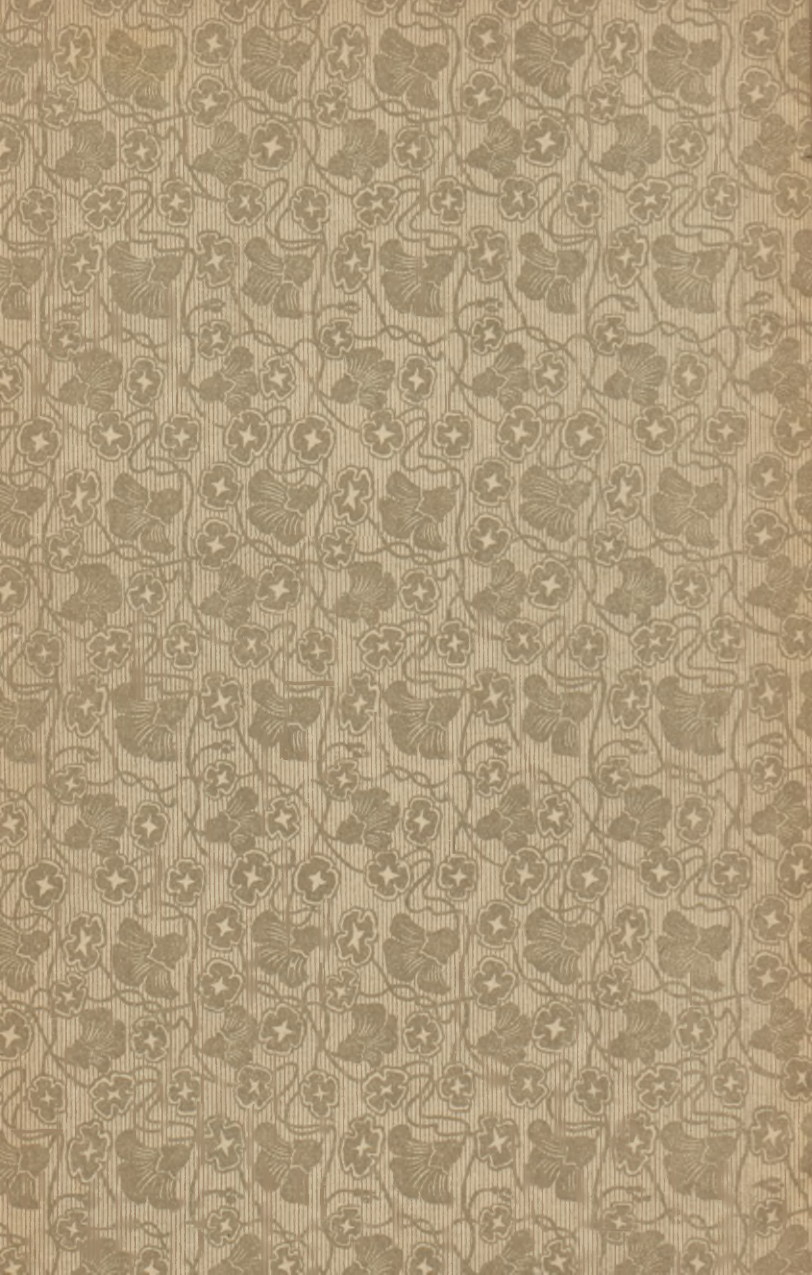
(Sieklucki wskakuje na okno, chwilę widać go w oświetleniu słonecznym).

Sieklucki. Zczeźnij pogromco dusz.
(Wyskakuje oknem).

Kurtyna wolno zapada.

K O N I E C .







Biblioteka WSP Kielce



0226998